

BERNARD NOWAK

CZTERY DNI  
ŁAZARZA

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1990



# CZTERY DNI ŁAZARZA

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 459

ISSN 0406-0393  
ISBN 2-7168-0127-4

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

BERNARD NOWAK

# CZTERY DNI ŁAZARZA

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1990



*Non fui, quod eram,  
nunc sum, dum morior.*

## I

Umówił się z Dorotą koło przystanku; dziewczyna już czeka, Andrzej nie podchodzi jednak od razu, lecz dawszy z daleka znak, że zauważył, skręca do księgarni.

Ma szczęście — akurat przywieziono towar; zdążyłby jeszcze zobaczyć blaszane pudło stojącego na zapleczu samochodu. Znużony kierowca siedzi w szoferce i oparłszy się na plastikowym kole kierownicy, dopala resztkę papierosa. Ten od noszenia paczek uprzęta papiery i wypcha je do pełnego już kubła. Strużka trocin na brudnych resztkach śniegu znaczy drogę; robotnik jest jak goniec poruszający się po utworzonej z rozkładu domów, trawników i parkingu szachownicy. Widziany z góry obraz ulega skróceniu i chwilami z całej postaci zostaje tylko główka, linia ramion i stopy; tak jest wtedy, gdy wysuwając się na przemian nogi znajdują się blisko pojemnika; gdy podchodzi do wozu, kąt widzenia ulega zmianie i można widzieć niebieski drelich i zamazane rysy twarzy.

Andrzej stoi w kolejce po książki dla dzieci. Zbliżywszy się do lady rozmawia o czymś ze sprzedawczynią (słowa giną w przytłumionym gwarze sklepu), ta kręci przecząco głową, on robi zrezygnowaną minę, sięga po portfel i płaci — teraz idzie ku wyjściu. Nie; dołącza do drugiego z ogonków, kupuje podwójną płytę Demarczyk i owinięty w groszkową obwolutę tom opowiadań Babla. Przez szybę księgarni widzi spacerującą tam i z powrotem dziewczynę; „Nieźle dziś opakowana...” — myśli przebiegając wzrokiem postawną figurę i długie, zgrabne nogi. Dorota jest akurat na wysokości przystanku; zatrzymuje się i robiąc coś na kształt skręcającego się wokół własnej osi półobrotu, siada założywszy nogę na nogę.

Patrzy z wyrazem zniecierpliwienia w stronę sklepu; Andrzej zauważa to, waha się przez chwilę — i prosi ekspedientkę o jeszcze jeden album.

Jest teraz w drzwiach księgarni; prawa ręka podnosi brzeg kurtki i wkłada portfel do tylnej kieszeni spodni, lewa ściska pod pachą ryzę papieru; sama dłoń zajęta jest płytami i książką. Andrzej robi — zanim udaje mu się do końca zorganizować — małą pantomimę i usuwa się przed idącymi ku wejściu ludźmi.

Dorota spieszy z pomocą, uśmiechając się do niego jakby całym ciałem — sygnał i znak jednocześnie. Odwzajemnia uśmiech patrząc jej w oczy i znów przebiega wzrokiem od stóp do głów. Mówi coś; Dorota kiwa głową, on pochyla się w jej stronę i wolną ręką dotyka ramienia. Dziewczyna słucha uważnie, a gdy on kończy, uśmiecha się znowu, podnosi dłoń jak na znak pożegnania i rzeczywiście robi krok do tyłu. Jeden, drugi, potem większy, a teraz odwraca się do niego plecami i odchodzi. Andrzej patrzy za nią przez chwilę („Zdrowe ma turbo ta mała, no...”) i odwraca się także — rusza w przeciwną stronę.

Dziewczyna idzie wzdłuż wystaw sklepowych, rzucając na nie w przelocie okiem; światełka pierwszych choinek oprószają lekkim blaskiem papierowe dekoracje. Już prawie wplątała się w zajęty przedświątecznymi zakupami tłum. Andrzej w tym czasie dochodzi do rogu budynku i skręca przy samej ścianie; zza następnego wyjeżdża właśnie aluminiowa buda samochodu i ostrożnie, by nie oberwać narożnika, wytacza się ku głównej ulicy. Winrych mija pierwsze trzy wejścia ustawionego na zapleczu sklepów bloku i znika w czwartym, od lewej strony licząc. Nie korzysta z windy: wchodzi na drugie piętro i zatrzymawszy się naprzeciwko schodów naciska na guzik dzwonka.

Przyciska jeszcze raz, rozgląda się dokoła, a teraz wyjmuje klucze i nerwowymi ruchami manipuluje przy zamku; wygląda trochę jak przedpołudniowy złodziej. Przekracza szybko próg i zamyka drzwi nie przekraczając zasuwki. Zagląda do dużego i małego pokoju — pusto.

Ściąga szalik, czapkę i rzuca je na etażerkę; w tym momencie otwierają się drzwi — staje w nich Dorota. Przynaglana ruchem ręki przekręca za sobą klucz — na klatce słychać jego krótki chrobot. Po minucie wszystko cichnie; gdzieś na górze stuka blaszana winda, szyb wypełnia się szumem, potem drugie stuknięcie, krótki pisk wyjściowych drzwi — i cisza.



Najpierw zdjąć pościel, wyjąć z łóżka materac i położyć go na parkiecie. Postawić na tym stolik, przykryć blat kocem, na kocu rozpostrzec folię — i dopiero na to maszynę. Dorota robi resztę: włącza radio i otwiera na oścież drzwi łazienki — tak, by oparły się na wejściowych, tworzyły wraz z przewieszonym przez nie kocem izolującą od klatki schodowej warstwę. Dla dodatkowego szmerku odkręca lekko kran nad wanną, a następnie — nastawiwszy wodę — zanosí do pokoju popielniczki i wyklada na drugą z etażerek zapas papierosów.

Andrzej kończy mieszanie farby i przelewa ją ostrożnie do butelki, na którą nakłada spęczniały od niewłaściwego używania smoczek.

— To niemowlę musiałyby mieć ze czterdzieści kilo — śmieje się Dorota.

— Weź, proszę, rozpakuj i roztrzep papier, dobrze?

— Co pijesz, herbatę czy kawę? — słyszy w odpowiedzi.

— Teinę, ale za chwilę. „Nie chce się dać, suwerenna...”

— I głośno: — Chodź, pomożesz naciągnąć.

Dziewczyna — przerwawszy posłusznie wyjmowanie czworokątnych (jak cegły pod nową budowę) ryz — podchodzi do powielacza. Kręci powoli korbką, gdy on rozprasowuje matrycę na wałku.

— Chińska? — rzuca instynktownie; czuje, że powinna coś powiedzieć.

— Uhm.

Poprawia coś przy powielaczu, gdy ona przynosi herbatę, stawiając jedną szklankę na stoliku, drugą na etażerce. Rozklada ponownie na papier; z wiszącego na ścianie portretu patrzy na nich nieznaną mężczyzna — jego oczy śledzą każdy ich ruch, obojętnie w którym miejscu.

— No, można zaczynać... — i bierze do ręki butelkę z farbą.

Dorota podnosi się z kucek i ostrożnie, jakby bała się coś stłuc, zagląda mu przez ramię. Papier szeleszcząc wysuwa się z drugiej strony, jeszcze nie bardzo zadrukowany. Dziewczyna bierze kartkę i przygląda się wydrukowi.

— Następne będą lepsze — mówi Andrzej trochę za szybko, najwidoczniej chcąc uprzedzić jej ewentualne uwagi.

— Chcesz papierosa? — Dziewczyna podchodzi do niego z paczką w ręku.

— Później. Gdy się rozhušta. Wyjmij z szafy śrubokręt i kombinerki.

— Straszne z ciebie skorpionidło — próbuje jeszcze raz, ale Andrzej nie pozwala jej dokończyć.

— Przestań z tymi bzdurami, weź się do roboty.

Dorota znika w drugim pokoju, on zatrzymuje powielacz i pociąga ze szklanki mały łyk herbaty: gorąca, musi jeszcze odczekać. Sięga po zapalnik i papierosa, ale nie zapala; trzymając go w opuszczonej ręce zbliża się teraz do etażerki i miesza farbę dolewając rozpuszczalnika tak długo, aż uzyskuje konsystencję śmietanki. Podnosi kijek i patrzy, jak reszta smółkowego likworu spływa do słoika; odstawia go na wyścieloną gazetami półkę. Torba służąca do ekspedycji stoi przy ścianie; podchodzi i szuka czegoś — wyciąga krem. Niewielka ilość pod paznokcie, na dłonie kartoflanka, zakładanie rękawiczek — i już na dobre może się wziąć do druku.

— Lubisz to robić, nie? — Dorota wyjmuje mu z ręki papierosa i podpala; zwraca go z delikatnym śladem szminki.

— O czym mówisz? O tym, czy o tym?

— No, co do tego, to nie mam wątpliwości... — śmieje się, zadowolona z symetrii.

Lubię tylko rzeczy zakazane — kończy rozmowę pochylając się nad maszyną. Zdejmuje sweter, koszulę i nie patrząc w stronę dziewczyny podaje jej skłębiony tłumoczek. — Gorąco tu jak w kotle — mówi czując, że Dorota mierzy go taksującym wzrokiem; obnażony tors porusza się w rytm dobrze już rozkręconej korbki. — Byle się nie zaczęło chrząknąć — dodaje, mówiąc bardziej do siebie niż kogokolwiek; nie może się uspokoić. — Spójrz — zwraca się teraz do dziewczyny — ten już całkiem elegancki. Będzie dla pana porucznika... Do Izby Pamięci.

Dorota milczy; najwyraźniej nie ma zamiaru śmiać się z jego żartów. Andrzej zmienia temat:

— Ułóż wydrukowane na półce, dobrze?

Widzi ją kątem oka; dziewczyna wstaje, zgniata żar papierosa i wzięwszy z odbiornika zadrukowane kartki stuka nim o brzeg stołu. Jest wyraźnie zła: to za brak dostępu.

Kończą druk pierwszej strony, dziewczyna pomaga założyć nową matrycę; zużyta zawija w niedodruki i wrzuca do kosza. Mała przerwa: Andrzej ostrożnie, by nie pobrudzić paczki, sięga po papierosa. Mieszkanie przesiąknięte już odorem farby, dymu i rozpuszczalnika; chłopak wstaje i narzucający na ramiona sweter, otwiera balkonowe drzwi. Ona obserwuje go zmrużonymi oczyma, jakby chcąc zorientować się w szansach. Wyczuwając to, mówi trochę spłoszony:

— Wiesz, ostatnio jak tu byłem... Acha — przerywa sam sobie — nie zapomnijmy o kuble; właściciel miał pretensje, że zostawiłem pełno śladów. No więc ostatnio — peroruje dalej — wyobraź sobie, że ktoś dzwonił. Pukał do drzwi, próbował też otworzyć kluczem — możesz sobie wyobrazić, jak się czułem...

Podwójny błąd; wcale go nie słucha: stoi przed umieszczonym na drzwiach szafy, odbijającym ostatnie promienie zachodzącego słońca, lustrem.

— Zawsze zostawiam klucz w zamku — trzyma się kurczowo zadanego sobie raz na zawsze tematu. — Jednak wtedy od razu wiadomo, że ktoś jest. Myślałem: „Trzy latka, czy pięć?...”, nic więcej. Drugie piętro, pod oknami niby trawnik... ale ucichło. Poszedłem do ludzi, którzy pośredniczyli w załatwianiu tej mety — nie miałem siły kończyć — wiesz, co się okazało? Wyobraź sobie — zwraca się do dziewczyny jeszcze mocniej, ta siada z rezygnacją — że zapomnieli powiadomić o dniu druku i gospodarz dobijał się do własnego mieszkania! Nie zdążyli, kurwa, no!...

Czuje, że przesadził: przez ostatnie zdanie przebija egzaltacja. Wstaje, by zatrzeć wrażenie, dopala papierosa i zamyka balkonowe drzwi. Dorota podnosi się także — jakby chciała spróbować, czy jednoczesność ruchów może choć trochę przybliżyć; z lustra patrzy na niego dwoje czujnych, pełnych wyrzutu oczu.

— Podłóż czysty, a zadrukowany od razu do nesera — ściąga ją z obłoków na ziemię. Dziewczyna bierze się do roboty, znowu zborna i sensowna.

Druga strona idzie lepiej: z przyjemnością kręci korbką, czując w dłoni jej wyslizgany przez poprzedników owal. Najlepiej byłoby robić wszystko samemu, obywając się bez towarzysztwa i niepotrzebnych komplikacji. „Idealna konspiracja, tylko że w razie wypadki...” Tak mu się wydaje; zapomniał, że bez pomocy i opieki innych nie mógłby — jak przez wiele lat — zrobić nic.

Kończąc, pakują biuletyn do torby i biorą się do porządków tak samo, tylko w odwrotnej kolejności. Wyciera powielacz nasączoną denaturatem szmatką, owija w koc i wstawia do szafy.

— Czyścioszek z ciebie; musi błyszczeć jak lusterko...

— No, właśnie: jedno więcej.

Andrzej przechodzi do łazienki, ona siada na krześle — najwyraźniej nie ma zamiaru wychodzić.

Pochylony nad wanną zmywa farbę z rąk: wokół skórek nagromadziła się cienka warstewka czerni, która dla wpraw nego oka nie zostawi żadnych wątpliwości. Na dokładne oczyszczenie nie ma jednak czasu, doszoruje w domu. „Dowód dla Ewy... Jeszcze trochę, a będą jak pozorujący pracę malarze”. Wodospad z kranu splukuje wymieszaną z proszkiem farbę i płynąc do kratki, pozostawia na bokach wanny brudny, przyczepiający się do zdartej emalii ścianek ślad. „Pamiętać o piecyku, bo wypieprzy całą chałupę. Dopiero by się wybebeszyło!... I kosz”. Jak praczki nad strumieniem bierze do ręki prysznic i zmywa dno — jest czystsze niż przedtem. „Pewnie ją jednak bzyknę — koncypuje — coś jej się należy. Usługa za usługę..” Opuszcza klatkę łazienki i wraca do pokoju.

— Masz pilniczek? — rzuca w stronę dziewczyny; będzie brał na błysk. Dorota podaje bez słowa, zajęta oglądaniem papierosa i paznokci. Podchodzi z boku i omijając szyję opuszcza rękę na jej piersi; nie musi hipnotyzować rozmową, zrobił to zupełnie nieźle parę miesięcy temu. „Sama wchodzi w ręce, więc co?...” — wymyśla najłatwiejsze usprawiedliwienie.

— Łaskocze... — Dorota przyciska rękę przechyloną głową, udając, że papieros i dłoń są nadal bardzo interesujące. Andrzej czeka, dopóki ona nie wstanie i nie zadeklaruje się całkowicie; obejmuje ją tak, że wygląda to na czułość. Ale trwa krótko. Teraz dziewczyna otacza go ramionami w pasie, a głowę opiera na obojczyku; spadające włosy zakrywają twarz. Jego rękę wędrują pod sweter i przesuwają się na wysokość stanika: jedna zostaje tam, a druga — wydostawszy się na światło — zmierza bez dłuższych ceregieli do powiększonego materiałem dżinsów wzgórek. „Nieźle wykombinowane: twarda osłona i te delicje. Zna się Stary na kontr punkcie...” Zapuszcza palce we włosy i nawijając na nie kosmyki pociąga leciutko, by połączyć chwile oczekiwania z małymi, zapowiadającymi możliwość większych, dawkami bólu. Nie trzeba nawet zerkać na twarz — efekt pewny.

Środkowy palec trafia na mały supełek — oblubienica wdryga się, jakby ktoś dotknął jej mózgu.

Przechodzą do małego pokoju. Andrzej dotyka jej pleców tak długo, aż ciało nastroszy się małąkami basztami gęsiej skórki. Rzuca okiem na odbicie w lustrze, ile w nich było napięcia. Czuje się tak, jakby podglądał sam siebie.

Oczy Doroty są szczelnie zamknięte. Wysyła następny

pocałunek; dopiero w tej chwili przegina się w jego stronę i przyciska kurczowo, prawie że bez wyrzutu — zastyga oparta i wtulona. Stoją na środku, o krok od z lekka katafalkowatego łóżka, pochłaniani powoli przez szarówkę dnia — Andrzej czeka, aż Dorota wygrzebie się z sentymentalizmów i będzie w stanie przejść do rzeczy. „Noo, zanosi się na dłuższe mizdrzenie, nie zdążę rozwieźć. Może maleńkie przyspieszonko?...” — i podrażnia powiększone już sutki. Nawet one stwardniały, chcąc w przyspieszonym kursie dorównać sytuacji, tylko dziewczyna nadal niezdecydowana. Próbuje przechylić ją w stronę postania.

— Nie, proszę cię...

Przełamując opór dziewczęcego kręgosłupa kładzie ciało na chłodnawy koc. Przysuwa się szybko — jak mistrz ceremonii, który boi się wypaść z rytmu — i stara się wsunąć kolano między podkurczone nogi. Uda są ściśnięte, trzeba więc odwołać się do wypróbowanego sposobu: wypcha kolano na wysokości łydek i rozszczepując uścisk rozluźnia zwanie. Teraz drugie — i po kłopotcie.

Dorota ulega z zamkniętymi oczyma. Leży nieruchoma, jakby w innym porządku — piersi rozpadły się na boki, ręce są bezużyteczne, a włosy strzegą wyrazu odwróconej twarzy. Ukryty przez dom i zmierzch, zwolniony od patrzenia w jej oczy, odwraca dziewczynę na bok i, pochyliwszy sylwetkę ciała w przód — prawie jakby się chciał wdrapywać na szczyt — bodzie głową w niewidoczną przeszkodę. Dorota nie wytrzymuje i poddana regule bezwarunkowego refleksu znów bierze go w ramiona.

Nie tak mocno, kochanie.

Zwalnia usatysfakcjonowany — teraz może chwilę odetchnąć: „Nieźła próba na zawory”.

Do akcji wchodzi dłoń; jedna zajmuje się obróbką piersi, palce drugiej przebiegają wzdłuż szczytów i z wysokości kontrolują sytuację.

— Ściśnij mocniej, dobrze? — dolatuje ją z góry, teraz pomruk aprobaty, nagroda za dobrze wykonane polecenie.

Przysuwa ją sobie bliżej; tak jest idealnie. Przyciska wargi do szyi i podążając skokami przyssawki w górę, błdzi językiem po pokarbowanych labiryntach zagłębień, grzbietów i przełęczy — różowy płatek małżowiny zdaje się być stworzony specjalnie do schrupania. Zerka na twarz: zamknięte oczy, rozpalone policzki, uchylone usta — zupełnie rozbrojona. Tylko zaciśnięte na plecach ręce ograniczają swobodę:

Andrzej czeka, aż dziewczyna zluzuje nelsona i umożliwi dalszy ciąg.

Teraz idą równolegle; Andrzej przesuwa się w dół i przystępuje do decydującej fazy — przez gorącą twarz dziewczyny przebiega grymas. Prawie ugotowana, brakuje kilkunastu sekund, które trzeba wytrzymać — nie będzie czasu na powtórki. „Byłem zdążył wyskoczyć...” Nie pytał czy można, a teraz jakoś głupio: nawet nie miał czasu włożyć pod poduszkę. Trudno, będzie leciał na bosaka.

Łuk kręgosłupa napina się, filtry z trudem trzymają — obydwójce dochodzą do zenitu.

— Nie, Andrzej, błagam — dziewczyna wyrzuca z siebie ostatnie rezerwy. Zaciska zęby, oczy miotają się po orbitach z białym błyskiem strachu, ciało wykręca się, zastyga i prawie natychmiast rozluźnia; mięśnie rezygnują z dalszego stawiania oporu. Andrzej zamyka oczy i przyciąga ją jeszcze bliżej; Dorota całuje obnażony tors jakby łapała oddech — każde dotknięcie ust kończy się ledwie słyszalnym świstem. Teraz przyspiesza: skoncentrowany na podnieceniu uderza raz za razem, kurczy się i drętwieje, aż nagle odskakuje jak oparzony i natychmiast pada na dziewczynę ściskając penis dwoma podbrzuszami.

Sperma zlepia ciała mażąc brzuchy i sklejąc polokowane włosy wzgórków. Chwila na dojście do siebie — i podnosi powieki. Koniec.

Zaczynają się pocałunki: obejmuje go dłonią za szyję, a przyciśnięte do policzków usta przesuwa ostrożnie w stronę warg. Pozwala na to i zamyka oczy. Palce przesuwiają się po brwiach — i schodząc łukiem na kość policzkową — wracają wierzchołkiem nosa i wąskim przesmykiem między brwiami na rozległe płaty czoła. Nie broni się zbyt, wiedząc, że to nieuniknione; potrzebuje zresztą chwili odpoczynku.

— Wiesz — dolatuje go z przysuniętych do ucha ust — mogłabym cię tak całować całe życie.

„Hm, trochę długawo...” Powstrzymuje się jednak od komentarza: „Parę tekstów musi sprzedać, trudno”. Czeką na więcej, ale ona nie mówi już nic. Splata palce z jego dłonią i w atawistycznym odruchu podnosi całość konstrukcji do ust. Spogląda zawstydzona w kierunku głowy, tam jednak nic się nie dzieje; widziana od dołu broda porusza się jednostajnie, jakby żuł gumę.

— Bardzo mi z tobą dobrze, wiesz? — wypuszcza z siebie i przycicha; on milczy. „Wstaw jakiś bałach, bo aż nieprzyzwoicie. Co ją dziś wzięło?”

Nie musi: zorientowała się i zaprzestaje dalszych prób. Leżą w milczeniu czekając, aż upłynie zezwalający na pozbieganie się z barłogu czas; lustro ogląda obojętnie uchylające się parzystości ciała. Dorota z głową odwróconą patrzy w ścianę.

— Wiesz — odzywa się dziewczyna dziwnym tonem. — Nie chcę się już więcej spotykać.

Andrzej sięga po papierosa.

— Nigdy mnie nawet nie przytulasz... Daj mi też — próbuje włączenia w akcję; Andrzej podaje jej małą paczkę. Dym unosi się pod sufit i rozsnuwa w ledwie widoczną mgiełkę.

— Przestańmy się widywać — dawkuje dalej. — Nie dzwoń już do mnie, dobrze?

Zerka w jej stronę; popiół z papierosa może w każdej chwili spaść. Ostrożnym ruchem przysuwa popielniczkę bliżej — tak jakby ten gest miał starczyć za pojednanie.

— Dochodzę do wniosku, że... Żeś taki sam, jak inni.

Andrzej milczy. Teraz, ponieważ, ma do siebie pretensję, że znów dał się wciągnąć; czuje się jak oblepiony ławicą remor.

— Kiedyś sądziłam — zaczyna po księżowsku i urywa. — Powiedz coś, bo nie wytrzymam! — hamuje wybuch, a teraz, oparłszy się na łokciu (piers wisi jej śmiesznie) prawie krzyczy:

— Czy choć raz pomyślałeś, co ze mnie robisz? Pogotowie seksualne znalazłeś, czy co?! — Ze złą, opiętą mięśniami twarzą opada na poduszkę i naciąga koc aż pod brodę. — Nie rozumiem, jak ona to znosi.

— Kto?

— No, twoja żona. To jakiś anioł... Tylko nie zaczynaj tu żalów!

— Nie wiem. Myślę...

— Myślisz? To nie do wiary!

Teraz Andrzej podrywa się i opiera na przedramieniu.

— A ty nie wiesz, czemu to robimy?! „My”, bo przecież cię nie gwałcę! Więc mi tu nie moralizuj i nie rób ze mnie skurwysyna. Obydwojeśmy dobrzy, jeśli już. Tyle tytułem ustaleń.

Zaciąga się dymem i zaczyna tekst innej bajki.

— Nie widzisz, że robimy to, by czuć się bezpieczniej? Znana sprawa; jesteś po trochu jak tamte łączniczki...

— Jędrusiu, co mi tu będziesz opowiadał — znam tę taśmę na pamięć — wyhamowuje jego zapędy. — Wykładowca się znalazł! — prycha z lekceważeniem.

— To miło, że pamiętasz... Robiliśmy to, bo mieliśmy ochotę — i ty, i ja. A teraz zaczynasz się boczyc, że niby samo ciupanie.

— Nie bądź przynajmniej trywialny.

— Wiesz, kiedy ci się zmieniło? Stary chwyt... Jak ci powiedziałem o Ewie. Więc powiem ci jeszcze, że robię, by było ciekawiej. Mniej nudno, wiesz?

— Nudzisz się ze mną?

— Ach! Nudzę się już i ze sobą! Zobacz: jest miło? Przyjemnie? To dobrze, to już coś. Po co od razu wyciągać najcięższe armaty? Trochę radości, oddechu, luzu — chyba każdy ma prawo, co?

— Wiesz — odzywa się, jakby go w ogóle nie słuchała. — Nie jestem przekonana, czy to lepiej dla twojego dziecka... Że będzie z tobą, ale bez miłości.

— Lekturę pedagogiczną czytałaś? — odpala bez namysłu.

Dziewczyna podnosi się gwałtownie i sięga po sweter.

— Pardon, nie chciałem... — I próbuje przełamać sytuację jeszcze inaczej: — Oczywiście, można spytać, jak to łączę z... no, z kręceniem korbką. Ale to się miksuje samo, nie za darmo zresztą.

— Mówisz to każdej? — Spuszcza nogi na parkiet. — I dają się złapać? Ze mną w każdym razie koniec: to masz z głowy.

Pochyla się i szuka w ciemności wyłącznika lampy: światło. Ubiera się; szuranie stóp, trzask gumek i elastycznej bielizny.

— Zapomniałbym...

— Jeszcze coś niejasne?

— Proszę, to dla ciebie — i podaje jej album Demarczyk.

— Ach, rozumiem; na otarcie łez!

Nie reaguje.

Na klatce odpowiada mu krótkim „Cześć” i kieruje się do drugiego wyjścia; symetria zostaje złamana do reszty.

Zrobiło się późno; trzeba rozwieźć nakład taksówką.

Jadą teraz na Czuby, prosto pod prąd wracających z kościoła samochodów i nieprzebranych szpalerów ludzi, tak gęstych, że wylewających się chwilami na jezdnię. Jest przekonany, że to w związku z jakimś świętem, lecz kierowca



wyprowadza go z błędu; na dwa dni przyjechał do miasta Nardelli i prowadzi tu uzdrowicielskie seanse. Mrowie chorych i cierpiących idzie przez cały dzień jak do cudownego źródła.

— Myślałem, że pan także — zagaduje taksówkarz, przyglądając mu się w lusterku.

Koło samego kościoła zmuszeni są przystanąć — tutaj ulice należą już całkowicie do pieszych. Światła samochodu uderzają w las ciemnych sylwetek, które — prawie że dotykając maski — opływają go ze wszystkich stron.

— Dobrze, że to peryferie — odzywa się znów kierowca. — Zablockowały całe śródmieście.

— I tak zablokowane — odpowiada Andrzej. Jest zadowolony, że za pomocą banalnej rozmowy może się oderwać od związanych z Dorotą myśli.

— Tak? A co znowu?

— Feralna trzynastka.

— Ach rzeczywiście! Jeszcze tam dziś nie przejeżdżałem.

Za oknem kłębi się jak w ulu. Porządkowi z białoczerwonymi opaskami sprawdzają karty wstępu i wpuszczają kandydatów na przykościelny cmentarz. Tłum potencjalnych ozdrowieńców przyciska się przez wąską gardziel przejścia i zajmuje miejsce w kwadratowych sektorach. Przypominają mu się inne opaski, ale nic nie mówi; w najlepszym wypadku facet weźmie go za kapusia.

— Na czym właściwie polega jego metoda?

— Dokładnie nie wiem, ale moja mówiła, że to inaczej niż u Harrisa.

— Żona była?

— Oczywiście. — Kierowca odwraca głowę i uśmiecha się porozumiewawczo. — Ona musi być wszędzie. Ustawiają się w szeregi i podają sobie ręce, a on kieruje z platformy i ten jego duch płynie aż do ostatniego.

— I to się jakoś czuje?

— Panie, nie wiesz pan? Ludzie chcą w coś wierzyć.

— No tak — zgadza się na zakończenie. — Terapia grupowa; razem czują się lepsi — dodaje trochę na wyrost.

Przypominają mu się dwaj koledzy, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego rzucili się w wir działalności, a potem — nie widząc natychmiastowych efektów — zaczęli przesiadywać całymi popołudniami w kościele. Już nawet ksiądz ich wyganiał („Kobietom byście pomogli!”), więc zapisali się do chóru i trzy razy w tygodniu ćwiczą suplikacje.

— Dalej pana nie zawiozę — szofer zatrzymuje wóz. — W tamtym tygodniu musieli mnie wyciągać traktorem.

— Miasto błotem brukowane — zgadza się Andrzej i płaci. Bierze nesesor i rusza ku blokowi.

Na górze krótki dzwonek, potem dłuższy, hasło, podanie paczki — i wraca do czekającej windy.

Idzie teraz w kierunku postoju. Z daleka widzi, że tamtej taksówki już nie ma, może być spokojny.

Wraca tą samą drogą; samochód z trudem przedziera się przez tłum. Dopiero za rondem wjeżdżają w prawie pustą, wiodącą ku dworcowi arterię. „Tu, potem Tatarzy i nigdzie więcej nie dam rady. Na Czechów wezmę razem z maszyną... Poszła, to poszła, Bóg z nią — wraca myślami do Doroty. — Szkoda, bo w tych grzechach była przednia”.

Bijący w nozdrza odór cukrowni informuje, że znajdują się blisko celu. Wysiada wcześniej niż potrzeba, przecina mały placik i dochodzi do tylnej części okolonego ogródkiem domku. Przedarłszy się przez zaniedbany sad, wystukuje znak na znajdującej się tuż nad ziemią szybie okienka. Zasłona odsuwa się, w żółtym świetle miga czyjaś twarz, firanka opada; teraz szuranie kroków w drewnianej sionce. Drzwi się uchylają — mężczyzna z kłódką staje na progu.

— Noo — mówi podając dłoń. — Zaczynałem się już denerwować. — I wskazuje na widoczny przez zasłonę drzew stacyjny zegar.

— Wszystko w porządku — uspokaja Andrzej. — Małeńka awaria.

— Człowiek czeka ponad godzinę.

— Co ja za to mogę? Przepróż go.

— A ty przeprosisz jego starą, dobra? — Bierze dwie duże paczki i salutując do pustej głowy odwraca się na pięcie. Będąc już w sionce, dorzuca jeszcze przez ramię:

— Idź lepiej koło bazy — jest ich dziś pełen dworzec.

— O kay — mówi Andrzej z uśmiechem; zwiadowcze nawyki eks-sierzanta przyprawiają go o dobry humor. — Słuchaj — przypomina sobie w ostatniej chwili. — Miałeś mieć coś dla mnie.

Tamten zatrzymuje się i drapie z zafrasowaniem po karku.

— Powiem ci szczerze: mam, ale... Ledwie dla moich starczy.

— Ci twoi chodzą do bibliotek, a tamci...

— No zgoda.

Znika w sieni i za chwilę wraca z dwiema niewielkimi paczkami. Andrzej bierze i — wbrew przestrodze — kieruje się w stronę dworca; musi kupić papierosy.

A tam rzeczywście aż niebiesko. Ściśnięte paskami brody srożą się na każdym kroku, ale oczy — jeśli spojrzeć uważniej — są już tą zabawą najwyraźniej znudzone. Wzięci w żołdacy chłopcy łążą po stacji bez większego przekonania, starając się pozostać choć kilka kroków w tyle za służbowo wyprężonym szefem odwachu; tylko on jeden przejął się nowym ukazem. Równie znudzeni są pasażerowie — ani jedni, ani drudzy nie zwracają na siebie większej uwagi. Ten okupant czy inny, wszystko jedno — miną jak poprzednicy.

Andrzej wciska się między załadowane ludzkimi chmarami ławki i staje w kolejce. Nagle czuje, że ktoś chwyta go za łokieć.

— Panie szanowny, bilety do Hrubieszowa to tu?

Opanowuje się prawie natychmiast; okutana w chustkę babina przygląda mu się z zainteresowaniem.

— Nie, proszę pani, to tamta kolejka.

— O Jezu, jak dużo — wzdycha kobiecina patrząc na niego chytrymi oczyma małej kombinatorki. — A w tej by nie można?

Andrzej śmiejąc się kręci głową; już odreagował.

— Gdzie oni, panoczku, tak jadą? — dziwi się, towarzyska.

— Pewnie na ziemię odzyskane... To są, proszę pani, repatrianci — żartuje.

— To na tej wojnie też my coś zyskali? — pyta się szybko stara i chowa uśmiech za osmoloną chustkę. — Do widzenia panu, wesoły z pana człowieczek. Dobrej żony panu życzę, wesoły panie... — i odchodzi szurając walonkami.

Najbliżsi z repatriantów podnoszą na chwilę głowy, patrzą półprzytomnym wzrokiem i chowają się na powrót w głębiny szarych gałganów.

Kupiwszy zapas tytoniu przeciska się do wyjścia, okraczając porozstawiane wszędzie tobołki; nesesor i paczki z papierosami upodobniają go do zwyczajnych podróżnych.

Stoi w drzwiach patrząc z góry na przykryty kopułą światła plac; teraz idzie niespiesznym krokiem w dół, grając instynktownie rolę niepewnego na obcym terenie przybysza, W ostatniej chwili wskakuje do autobusu.

Tłum o łożowanej cerze — jakby tu wszyscy pracowali w kopalniach — popycha go raz do przodu, raz do tyłu;

pod nogami płacze mu się nesesor. Dopiero przy bazarze robi się luźniej: siada przy oknie, starając się upchnąć bagaż pod siedzenia — to w nadziei, że w razie czego będzie się mógł go wyprzeć.

Przed czerwonymi światłami zrównują się z czekającym na zmianę sygnału trolejbusem; Andrzej z ciekawością zagląda do tych, z którymi, oddzielony podwójną szybą, jechać będzie przez chwilę w jednym kierunku. Natrafiwszy wzrokiem na kobietę o rysach tak nieregularnych, że byłaby wymarzonym modelem dla Picassa, z trudem powstrzymuje uśmiech. Reszta zamkniętych w szklano-blaszanym inkubatorze androidów nie wygląda zbyt interesująco; poddani codziennej putryfikacji, upodobniają się w marnym świetle do zrezygnowanych pasażerów wjeżdżającej w fantasmagoryczny krajobraz więźniarki. „Nic to — myśli Andrzej. — Idą święta: naród się obmyje, poubiera, podje — będą wyglądać jak żywi”.

Trolejbus rusza pierwszy — ma niespodziewanie lepszy start — i trzymając się drucianej orbity z każdą sekundą przesuwa się o kilka centymetrów do przodu. Andrzej odnosi wrażenie, że jakiś kosmiczny nauczyciel chce mu przypomnieć einsteinowską zasadę względności. W ostatniej chwili widzi jeszcze dwóch gestykulujących ku niemu z tylnego siedzenia chłopców — rozbawieni przesyłają mu tajemnicze znaki i próbują wyrazić coś rozhuśtanymi w dowcip minami. Ich usta wykrzywają się w niesłyszalnych, dramatycznie wykrzykiwanych słowach. Zdąża jeszcze odwzajemnić się porozumiewawczym uśmiechem; na skrzyżowaniu autobus skręca w lewo i zaimprovizowane doświadczenie dobiega końca.

Bogdana nie zastaje — ma drugą zmianę. W domu jest tylko żona. Wyjąwszy z torby przeznaczone dla punktu paczki kładzie je na blokującej przedpokój lodówce.

— Niech pani to dobrze schowa, pani Zosiu. Zawsze myślę, że dzieci państwa wiedzą za dużo.

— Pan się nie martwi, panie Radku — nie znają tu jego prawdziwego imienia. — Prędzej pan sygnie, niż one... — ukazuje w uśmiechu przerzedzone zęby i natychmiast ściąga wargi. Znają się prawie dwa lata, ale ciągle jest skrępowana. Drucikami. — Napije się herbaty?

— Nie, dziękuję bardzo, muszę lecieć.

— Jak zwykle — ośmiela się. — Przekazać coś Bogdanowi?

— Tylko to — wskazuje ręką na pakunki. — Będzie wiedział. Ale lepiej niech pani to sprzątnie; będziemy spać spokojniej.

Nie ma mowy o zdążeniu gdziekolwiek więcej: „Najważniejsze objechałem — stara się zbagatelizować opóźnienie. — A z czwartego biorą i tak jutro”.

Na placyku przed sklepami — po drodze z fabryki do osiedla — mija go znajoma sylwetka.

— Cześć Radek — mówi z mroku czarny kadłub; dopiero wszedłszy w światło wystawy objawia się jako Bogdan.

— Ty nie w pracy?

— Wróc za chwilę — rzuca i nie zatrzymując się omija go jak nieznanego.

Kiwa głową na zgodę i skręca, by nie deptać tamtemu po piętach, do spożywczego. Zdegustowany, z obojętną miną — jak ubek, którego bawią już tylko polowania na ludzi — przechodzi wzdłuż regałów. Cztery oparte o ścianę panienci zerkają na niego z niechęcią; zbliża się osiemnasta. „Co one tu robią, lubelskie krasawice? — myśli. — Chyba pracują; gdyby one nie pracowali, to by one tak nie stali...”

— Majonez u was jest? — pyta znienacka.

— Już zamykamy — to ta wyższa, bystrzejsza. — Nie ma.

— A co jest?

Patrzą na niego, jakby spadł z księżycy.

— To, co widać.

— Acha... — odpowiada błyskotliwie. Chce dodać coś jeszcze, ale nic szczególnego nie przychodzi mu do głowy; zresztą tamten już chyba doszedł. Zostawiwszy pusty koszyczek przy kasie (kasjerka w ciąży) wychodzi.

Bogdan siedzi przy stole i zajada makaron z jajkami. Na jego widok podnosi się i idzie do kuchni po popielniczkę.

— Stało się coś? — pyta Andrzej.

— Zapomniałeś o zasadach?

— Co ty? Noc, że oko wykol...

— No, no, złe nie śpi.

Zapalają. Bogdan patrzy na tylko co przyniesione paczki, zerka na Andrzeja, a teraz — odwróciwszy wzrok — pyta:

— Co tam znowu masz?

— Gazetę i dwie rzeczy; referat Chruszczowa i o rewolucji na Węgrzech — odpowiada udając, że nie zauważył jego niechęci. — Co ty dzisiaj tak wcześniej?

— Nie mają co robić — wyjaśnia żona. — Materiału brak. Ile pan słodzi, panie Radku? — Zaparzyła nie pytając.

— Półtorej, jeśli można.

— Można, można, czemu nie? — błyska oczyma z konwencjonalną zalotnością, którą może teraz kokietować; mąż w domu.

— Po ile? — Bogdan wydyma wargi, robiąc zawczasu pełną dezaprobaty minę.

— Dziękuję bardzo — mówi do kobiety stawiającej na blat stołu dwie szklanki w metalowych koszyczkach. — Chruszczow po sto pięćdziesiąt, a ta druga po dziewięćdziesiąt. Z pierwszej dycha dla Komisji. Cenę drugiej, jeśli chcecie, możecie zaokrąglić, oczywiście informując. Razem — jest zresztą napisane — dwanaście kawałków. Pamiętaj o dwóch do biblioteki — dodaje, jakby chciał zmienić temat.

Bogdan milczy chwilę, pociąga „kluboro” i nie patrząc w oczy mówi:

— To ci nie pójdzie, Radku. Ludzie chcą czegoś innego... Za dużo i za drogo — dorzuca.

— Czego za dużo? — Andrzej zaczyna się denerwować. — Na dziesięć tysięcy ludzi za dużo? A sześć stów za pół bani, to nie za dużo?

Milczenie, więc przyciska jeszcze:

— Skąd ty wiesz, czego ludzie chcą? Wróżb Michaldy, tak? Może ty nie chcesz, i tyle! Mnie to nie musi pójść — dodaje już spokojniej. — Puszczę wśród studentów, nie ma zmartwienia.

Sięga po papierosy — paczka jest pusta. Waha się, lecz nie chce mu się wstawać po nową.

— Zapal mojego — Bogdan posuwa po blacie biało-czerwone resztki.

— Nie, dziękuję. — I łagodzi: — Kaszlę po nich. No, to czego chcą?

— Wyszyński by poszedł... I coś o Katyniu — klaruje nieco speszony, pomagając sobie dla śmiałości ręką.

— „Zapiski...” jeszcze będą, ale „Katyn” dopiero w przyszłym roku.

— To co oni?... — denerwuje się, ale jakby trochę na wyrost, jakby chcąc doszłusować do reakcji Andrzeja. — Robią takie bzdury, a rzeczy potrzebnych nie ma!

— To nie są bzdury, Bogusiu — odpowiada patrząc na palce z odcisniętymi śladami ciężaru. — Spodziewałeś się granatów?

Tamten śmieje się nerwowo i porusza na krześle. Andrzej przebiega taksującym wzrokiem jego drobną sylwetkę, Bogdan wylapuje to i, bawiąc się listkami sztucznych kwiatów, mówi dla złagodzenia sytuacji:

— Prawidłowo zapadnięta klatka piersiowa, co? Ty, Radku — podnosi na niego oczy — lubisz mądrze gadać. Uczenie. Ale z robotami tak się nie gada; z nami musisz wypić, przekląć, porobić razem, o! Wtedy zrozumiesz.

— Coś ci powiem!... — Jest zły; znów ta łopatologia. Zaraził się nią chyba na zawsze. — Po pierwsze nie opowiadaj, że robotnik to takie orientalne zwierzę, bo i tak dosyć was zakłamano. Czarna magia, wielki niemowa!... A poza tym, to na razie gadam tylko z tobą. Jeśli zgadzasz się być robotnikiem, toś już przegrał. Masz starać się nim nie być — o to idzie, a nie jakieś napisy na murach, plakietki i klasery! Jakże ty masz wykształcenie? — dopada go jeszcze bardziej.

Bogdan wypina tę prawidłowo zapadniętą pierś i uderzywszy się w nią otwartą dłonią, mówi z nutą dumy:

— Wałęsowskie!...

— To się, kurwa, ucz! — nie wytrzymuje i rzuca trzymany w rękę tomik, który śliznąwszy się po blacie stołu uderza w kryształowy wazon; trzy sztuczne róże drgają jak obudzone. — Bo nawet do takiego Wałęsy ci bardzo, ale to bardzo daleko. A on robi to już dziesięć lat! I obraca się między większymi gwiazdami niż ja czy ty.

— No, no — Bogdan cofa się obrażony. — Nie musisz zaraz przeklinać... — i szuka wzrokiem małżonki; pewnie przydałyby się jeszcze dzieci.

— Nie?! Już nie muszę? A słyszałem przed chwilą, że to obowiązkowe!

## II

Czy stojący naprzeciwko domu samochód może być ich? Za dwadzieścia minut ktoś ze spieszących do pracy otworzy zapewne furtkę; mogli zdecydować się na czekanie, by nie korzystać ze stawiającego wszystkich na nogi dzwonka. Przez lekko uchyloną zasłonę Andrzej Winrych patrzy na ulicę ze spokojną rezygnacją; tym razem mieszkanie ma czyste. Kilkunastu ludzi po przeciwnej stronie

Krynicznej porusza się ospale wokół przystanku. Drzemiący, w niemyśleniu, pamiętając jeszcze tylko co opuszczone pielesze, wyglądają jak chmara czarnych much; wiata przystanku chroni je przed chłodem.

Jeden z nich wysiada z samochodu — Andrzej widzi przez siatkę gałęzi czarne, resortowe buty — obchodzi wóz dokoła i wsiada z powrotem. W pokoju radio nadaje barokowy koncert; za dziesięć szósta. To na pewno oni —któż mógłby być tak punktualny i kto wstawałby tak wcześnie, by teraz marnować ranne minuty?

Zapala papierosa. Wsparty brodą na dłoni balansuje ciężarem ciała między krzesłem a blatem stołu: to i kłęby regularnie wypuszczanego dymu upodobniają go do wielkiej zabawki. Jego też nauczyli wstawania, wyglądzania, oczekiwania — jego, wiecznego śpiocha. „To jedna z dobrych stron tej całej wojny...” Przez kilka miesięcy czekał na głos budzika, a teraz sam, zanim zegar zdąży zadzwonić, podnosi się i podchodzi do okna. To już rytuał: lekko uchylona firanka, leżące pod ręką rzeczy, chlebak przy drzwiach — ubranie i wyjście zajmują trzy minuty, mniej niż trzeba na obudzenie i zejście do furtki. To rola Ewy, podczas gdy on ma już być po drugiej stronie budynku. Wchodzą, oni do środka, a on w tym czasie chwyta taksówkę i jedzie do tylko jemu znanego kolegi.

To scenariusz: próbę generalną miał kilka dni temu, kiedy Marek — zauważywszy białego „malucha” z dwoma panami w ceratach w środku — pomagał spakować wszystko co trefne, a potem w mig przeskoczył w ogródek sąsiadów, prosto na kompletnie oszołomionego psa; nie wiedział czy ucieka z Hadesu, czy właśnie tam wpada. Do furtki było ze trzydzieści metrów: biegł słysząc za sobą szczekanie i obawiając się, że będzie zamknięta; wydostał się jednak bez przeszkód. Dalej poszło już spokojnie: prześliznąwszy się przez światła Botanicznej, wszedł na ciemne, niczym nie przypominające terenu dawnego uzdrowiska tereny, przeszedł mostkiem nad mało leczniczymi wodami Czechówki i ostukawszy błoto z butów, dotarł asfaltem aż do Puławskiej: tam zatrzymał taksówkę. Żadna zasłona się nie uchylila, niczyja ciekawa twarz nie wyrzała — nieznanymi bliżej sąsiedzi siedzieli prawdopodobnie przed telewizorem.

Fosforyzujące wskazówki zegara dzielą tarczę na połowę: szósta, mogą wchodzić. Ale tamci ciągle nie ruszają — chyba rzeczywiście postanowili czyhać na pierwszego domownika.



Mija minuta, potem druga, czas zaczyna się wlec, a na dole nic się nie dzieje. Do przystanku podjeżdża kolejny autobus, tłumek wsiada, gromadzą się następní, dnieje z minuty na minutę. Andrzej sięga po drugiego papierosa („Znowu palisz na czczo, na twoje wrzody to w sam raz!...” — słyszy w wyobraźni komentarz Ewy), pociera zapalną tak, by płomień nie mógł być widoczny z ulicy, ale nie zdąża się nawet dobrze zaciągnąć — do „fiata” podchodzą dwaj mężczyźni w zielonych kurtkach i z futerałami na sztucery — wsiadają tylnymi drzwiami i wóz rusza w kierunku Alei Warszawskiej. „Myśliwi! Dyrektory!... Tu się umówili!” Wciąga powietrze do płuc, przytrzymuje je jakby napięcie nadal trwało i wypuszcza razem z resztkami tłumionego śmiechu.

Zmęczenie. Rozluźnienie. Pustka. Zdarzenie bez puenty. Przeciągając dłońmi po twarzy, jakby chciał zetrzeć niepotrzebny już wyraz determinacji, wstaje. Przechodzi do kuchni, zamykając po drodze drzwi sypialni — dym papierosa mógłby obudzić Ewę — i postanawia wziąć prysznic. Potem pójdzie po mleko, odprowadzi Piotrkę do przedszkola, a później zobaczy, co ma na dziś zaplanowane.

Patrzy na ogród, gdzie spod resztek śniegu wystają porozrzucane jeszcze latem zabawki. Jesień, odarłszy naturę z mięszu liści i traw, odnalazła bezskutecznie poszukiwane zguby: wiadereczko, plastikowy młotek i kielnię, traktor i samochodzik; w szkielecie krzewu tkwi zawieszony czyjaś rączką cynobrowy niedźwiadek. Zabawki skierowują jego myśl do pozostawionego w przedszkolu Piotrka: „Dorośli wymyślili je, by móc nie zajmować się dziećmi” — powtarzał wielokrotnie, a teraz widzi sam, że nie ma dla niego zbyt wiele czasu; może właśnie dlatego nagromadziło się w nim tyle czułości.

Teraz bierze prysznic: nocne brudy i zaspiania spływają do zakratkowanego kanału. Włosy sterczą na wszystkie strony; potrząsając głową jak mokry psiak, sięga po szczotkę.

— No tak, z przodu zaczynamy łysieć... — mówi do odbicia w lustrze. — Ostatnia wysepka odpływającej młodości, dzieciaku.

Otwiera drzwi do sypialni; Ewa położyła się na powrót, nie śpi jednak — uśmiecha się przepraszająco.

— Jeszcze chwilę, zaraz wstanę...

Zagłada do kuchni. Resztki po śniadaniu czekają na sprzątnięcie, ale jemu też nie chce się tego ruszać — niech czekają, póki jeszcze obywa się bez wymówek.

W pokoju kartkuje leżący na stole notatnik; umówić się z R. na przewóz maszyny, załatwić sprawy z panem Pietraszkiewiczem, spotkanie u Ilony, wyrzut paczek z piwnicy no i reszta wydruku. Jak na jeden dzień, wystarczy.

Wraca do kuchni — z łazienki dolatuje szum wody; Ewa podniosła się z legowiska i bierze kąpiel. Patrzy na odwinięty brzeg kołdry i poduszkę z odcisniętym kształtem głowy — ciepła forma po ciepłym ciele, które zmartwychwstaje codziennie do nowego życia. Zaparza herbatę i dla niej, bo sam też mimo wszystko lubi, gdy o nim pamięta.

W drzwiach łazienki staje Ewa z zawiniętą w turban ręcznika głową: uśmiecha się, jakby chciała wyczuć jego nastrój. „Będzie coraz bardziej przypominać swoją matkę. Czasami już plecie jak tamta...” Andrzej pokrywa spostrzeżenie mającym przypominać uśmiech grymasem i wraca do swojego gabineciku. Wczoraj w nocy zbyt był zmęczony, więc — postanowiwszy najprostsze załatwić teraz — sięga po pióro i wynotowuje zdanie, które weszło mu w mózg jak drzazga: „Czen z dygocącymi powiekami odkrywał w sobie boleśnie, aż do mdłości, nie bojowca, jakim by chciał być, lecz ofiarnika”.

Dochodzi dziesiąta. Zostawia niedopitą herbatę i naciągawszy kurtkę, wychodzi na powietrze.

— Cześć, staruszk, a ty gdzie? — słyszy znajomy głos. Odwraca głowę: z drugiej strony ulicy idzie ku niemu imiennik z Zamościa.

— A ty tu skąd? — dziwi się.

— Do ciebie; Zbych nic nie mówił?

Kręci głową.

— Nie widziałem go ze dwa miesiące.

— A to ofiara, no! Miał wstąpić jadąc do Puław — ma przecież tak blisko! To nic nie masz? — Stawia na suchym skrawku chodnika ortalionowy nesesor; ruch pełen zniechęcenia i złości. — Wróć się na chwilę, dasz chociaż herbaty. Zmarzłem jak gówno — i w dodatku na darmo? Musisz coś zdobyć; dwadzieścia po piątej mam odjazd.

Wchodzą do mieszkania, gdy Ewa kończy przyrządzanie kanapek; drugie śniadanie.

— Woda wyciąga, nie? — śmieje się Andrzej z jej apetytu. Teraz, przy gościu, chciałby być nawet dowcipny.

— Raczej funkcja kompensacyjna — replikuje ostentacyjnie i spogląda na imiennika, czy będzie jej sprzymierzeńcem.

Andrzej przebiega w myślach plan dnia.

— Kwadrans po czwartej — decyduje. — Bądź przy Staszicu, masz tam postój.

— Znowu ci coś wypadło? — wtrąca Ewa; najwyraźniej pragnie polaryzacji. — O czwartej wychodzę do lekarza; znów powlokę Piotrka ze sobą?

— Pzecież wiesz, że środy mam zablokowane.

— Wczoraj miałeś też — odcina się, choć wie, że nic nie zmieni.

— Inni nie mają wcale i żyją, nie? — Andrzej decyduje się, mimo obecności gościa, na konfrontację; inaczej nie ucichnie. — Skończ już te głęduły... Ile ci przygotować? — zwraca się do wysłannika.

— Jędrusiu, pójdzie wszystko, u nas posucha jak na przednówku. Pyszne te kanapki, Ewa — łagodzi jej złość.

— Pardon na chwilę, skoro już jestem w domu... — mówi Andrzej i sięgnąwszy po leżącą na parapecie okna książkę, znikają za drzwiami łazienki.

— Zobacz, czy to nie bezczelność: wrócił zrobić kupę! — Ewa próbuje wciągnąć gościa w wir domowych frustracji. — Przychodzi na kąpiel, spanie i nic, nic więcej! Niczego się nie tknie, w niczym nie pomaga, już nie mam sił... Siedzę tu opuszczona jak Biłgorajka.

Imiennik wstaje, by wziąć z półeczki czosnkową sól.

— Musisz go zrozumieć, Ewuniu... To dla niego bardzo ważne. Musisz to jakoś przetrzymać.

— Ciągła prowizorka nie małżeństwo! I wszystko na moich barkach, a ten sobie fruwa!

— Wiesz jak to jest: od piekła oderwany, do nieba się nie dostał. U nas też rozpieprz, szkoda słów. Gdzie nie zajrzysz, tam się rozpada. Ty spod jakiego jesteś znaku?

— Bliźnięta — podnosi wzrok i czeka na dobre wieści.

— No to masz ciężko. Ale to dobrzy opiekunowie; cierpi się, cierpi, w końcu jednak zmartwychwstaje.

— W końcu to będzie za późno, ja chcę teraz.

Andrzej wraca z łazienki — słyszał ostatnie słowa.

— Złapała wolnego słuchacza... Ulżyłaś sobie?

— A ty? — odparowuje.

— To co, Jędreku, lecimy.

Postanawiają zrobić sobie spacer aż do pętli; będą mogli swobodnie porozmawiać.

— Szanuj ty ją, to dobra dziewczyna — mówi gość, schodząc przed nadjeżdżającym samochodem na rozmiękle

pobocze. — A z ciebie niezły gagatek, nie ma jej czego zazdrościć... Ma z tobą trzy światy.

— A powinna mieć jeden? — broni się. — Osobiście jestem za symultanką.

— Nie bądź taki filozof. Rozregulujesz ją całkowicie, a pamiętaj, że rodzina jest podstawą...

— I pokój, nie? — prycha przez nos. — Pleciesz jak komuna.

— Nie strugaj głupka — mówi ten drugi. — Dobrze wiesz, o co chodzi. Donata też niełatwa, trzeba się jednak jakoś trzymać. Boję się, że jest w ciąży... Puszczasz się na okrągło, więc i wściekła; to wszystko z niedojebu. Przychodzi wiosna, świeży towar, to ty zaraz z ptakiem w pole.

Andrzej jest speszony; spodziewał się morałów, ale nie od niego.

— Chyba masz rację — mówi. — Czas zamknąć kolekcję... — dodaje w nadziei, że w ten sposób zamknie i rozmowę. Przybysz rzeczywiście milknie.

Wdrapali się już na górkę i teraz przyspieszają kroku. Andrzej milczy, gość taktownie zmienia temat:

— Ale syf, co? Czy tobie też nic się nie chce? Syf na całego, robi się strasznie chujowy kraj. Wiesz, do nikogo się nie ruszamy, kiśnie się w czterech ścianach, nie wysuwa łba... Trzeba, staruszk, pryskać stąd jak najprędzej, tu będzie wielki łagier. Ucz się ruskiego, to przynajmniej zostaniesz kapo; my bierzemy paszporty i chodu... Tylko się komuś nie wygadaj!

— A „Jazz na Kresach”? — nie przegapia okazji do rewanzu.

Imiennik wzrusza ramionami.

— Ja ci mówię, stary, łagier *à la Russe*. Jeszcze trochę i podłączą nas do komputera. Jak się polepszy — w co nie wierzę — to może i wrócimy.

Andrzej jest zadowolony; zaraz mu się odwdzięczy.

— Na gotowe? — pyta.

— Nie popisuj się, ty kucharzem nie będziesz.

— Tak? Ronnie robi za nas, nie? Albo Karol wyjedna, po znajomości.

— Chociażby — nie ustępuje. — Czerwony już czuje pętelkę, długo nie pociągnie.

— Tak, wiem. Do osiemdziesiątego czwartego.

Zbliżają się do roгатki, zatrzymują i zapalają papierosy. Paru ludzi spogląda w ich kierunku, ale tak jak się patrzy na

wchodzących do kawiarni — na poły machinalnie, na poły z ciekawości. Trolejbusy, cztery czy pięć, stoją zbite w gro-madę, kierowcy grają w jednym z nich w karty.

— Andrzejku, chyba mam prawo, nie? Nie zamierzam siedzieć w tym szambie całe życie.

— Jedź, jedź, krzyż ci na drogę. Dobry moment wybra-łeś. Tam przynajmniej będziesz wolny — mówi z ironią. — Pies z kulawą nogą cię nie zaczepi. Istna arkadia. A plakietkę to sobie przyczep na czole. — Prawie naprawdę zrobił się zły; temat go poprowadził.

— Nie przynudzaj — odzywa się sobowtór. — Na kazania mu się zebrało... Nasmarujesz gnioła jak nic — i to z tezą!

— Ja? — pyta zdezorientowany. „Skąd on to wie?” — zastanawia się czując, jak rumieniec oblewa mu twarz.

— Ty, ty — śmieje się tamten prawie że tryumfalnie. — Ewka mi mówiła... Powiem ci szczerze: nie poznaję cię. Gdziez twoja słynna ironia, ostrze, zabawy? Strasznie sprymitywniałaś — ciągle tylko o jednym.

„Ta to mnie kiedyś sprzeda”. I głośno:

— Jak się o tym nie powie, to nie ma się prawa o niczym.

— Zdaje się, że znalazłeś sens życia, co? Jędrusiu, oni umrą ziewając — i czytelnicy, i glina.

— To też metoda — broni się odruchowo. Jeszcze nie odzyskał niedawnego animuszu.

— Nie można jechać samą powagą... I to na jednym temacie — dodaje. — Jest jeszcze życie, inne sprawy dokoła, a ty nic już nie widzisz. Ty już tak, jakby szło na śmierć i życie.

— A nie?

— Oczywiście, że tak, ale śmiechem zajebiesz ich wcześniej niż czymkolwiek. To przede wszystkim śmieszne, żart, groteska kilku sekciarzy — i w ten też sposób trzeba wymierzyć im sprawiedliwość. A nie jakimś produkcyjnia-kiem.

Przynajmniej w jednym jest gotów przyznać niespodzie-wanemu gościowi rację: wszystkie światy zamknęły się przed nim na dziesięć spustów i zostało tylko to jedno wyjście, ku któremu idzie teraz całym ciężarem zdesperowanego nieudacz-nika. Czasami, będąc u kogoś w gościach, zdarzało się że zrezygnował z rozmowy i stojąc przy oknie patrzył po okoli-cy; przyglądał się zamkniętym w blokach ludziom, otwartym

drzwiom restauracji, wracającemu skądś gronu znajomych czy przyjaciół — i czuł, że wszystko to przestawało dla niego istnieć. Jedna jedyna sprawa nie cierpiała zwłoki: skleić siebie jeszcze raz, na innych zasadach, siłą woli i uczucia, tchnąć w ociężałą martwość błysk bożej iskry — tak, by blizny zarosły, szwy okazały się niepotrzebne, a w klatce znów zaczęło stukać, ale nie mówi mu jeszcze tego, tylko przyglądając się rozgniecionemu butem petowi, strzela:

— No cóż, zazdroszczę ci swobody, domorosły Dionizosie. Ludzie giną, ale trzeba się śmiać.

— Odpieprz się — oddaje mu z wyżyn swojego meta-poziomu. — Mentor się znalazł! Zawsze ginęli. Na mój gust jesteście za smutni; zobaczysz — wpadniesz w jakieś masochizmy. Już teraz leci od ciebie ostrym schyzjem.

— Trudno się zarykiwać stojąc po pas w gównie. I ze spluwą na karku.

— Coś ci powiem: umówiłem się kiedyś z facetem na ósmą rano, zajeżdżam — nie ma go. Dzwonię do domu — śpi. „A która to godzina?” — pyta. „A wpół do dziewiątej” — odpowiadam. „Zobacz pan — on na to — a to ci kurwa ta komuna, no!” Ty już tak samo. Jędrus — neofita, to ci dopiero, no! Dojadę tym do Unickiej? To leczę; kwadrans po, tak? I z biglem, mój drogi, z biglem, ludzie chcą rzeczy wesolych, smutasów mamy dosyć.

Wymijając kałuże przebiega jezdnię i wskakuje do trolejbusu; kierowca zamyka drzwi z głośnym kłaśnięciem i szarpie pojazdem w przód; Andrzej widzi jeszcze jak imiennik, chwiejąc się w środku, macha mu ręką. Mógłby jechać razem z nim, ale udał, że mu nie po drodze — chce zostać sam.

To było jak obuchem, same niespodzianki, a powinien być przygotowany na jeszcze większe. Wiedział to prawie bez niczyjej pomocy, jednak rozmowa uświadomiła mu wszystko już bez ogródek. I nie chodzi wcale o tego „produkcyjniaka”, który może — choć wcale nie musi — powstać; chodzi o niego samego. Dokoła, jak okiem sięgnąć, rozciąga się teren przykryty kłosem ich nowego nieba, gdzie pleśniej nieprzebrane egzemplarze podobnych mu osobników, którym tak zwane jedyne życie obraca się w parodię i absurd. Trzeba to w końcu przełamać, dobyć z siebie normalny, przywalony teraz zwapnionymi schematami głos — aby tamto nie stanowiło już dłużej gorzkiej esencji dni. Wykolejenie, zagubienie dotychczasowych orbit może być nie tylko szansą patrzenia z dystansu, ale może stworzyć dogodny

moment dla wykreślenia nieuchwytnych dotychczas w swej finezji epicykli i enklityk. Musi to wycierpieć i przejść najważniejszą inicjację, bo powrotu — nawet i za trzydzieści sześć tysięcy lat — nie będzie.

Trolejbusy stoją w miejscu, jakby czekały na lepszych pasażerów. Już prawie żałuje, że nie pojechał tamtym, gdy u wylotu Żołnierskiej ukazuje się beżowa „wołga”; Andrzej rozpoznaje olbrzymiego kierowcę o fizjonomii Szejka — to ten, który słucha przez radio drugiego programu telewizji.

Okna sklepowych wystaw podają sobie odbicie wozu, jakby tam, za szybą, jechał ktoś drugi, patrzący czujnie i trudny do zgubienia. Kolejki, wszędzie kolejki — najdłuższa stoi przed „Goplaną”; święta, kilka dni zadekretowanej życzliwości. Na rondzie skracają w lewo i czekają, aż grupki pieszych przetasują się na nowe strony.

Trafia na śniadanie: R. proponuje mu herbatę, Andrzej godzi się chętnie („Piję jak ciężarna”), bo każda wypita o tej porze szklanka przywołuje go do dziennego porządku, rozbudza i podnosi ciśnienie.

Uzgadniają, że przerzut załatwią w szczybie, gdy możliwości kontroli są minimalne. Andrzej opowiada o porannym zdarzeniu, R. uśmiecha się i trochę protekcyjnym tonem (to jego specjalność) powtarza starą prawdę, że nie ma i ch co przeceniać, ale też nie wolno lekceważyć. Przyjedzie po piętnastej, sam otworzy bramę, załadują i pojedą na nowe miejsce.

Z Ruskiej idzie w kierunku bazaru — tak szybko, że trudno za nim zdążyć. Wplątuje się w tłum, przecina plac i minawszy bez słowa zaczepiające go Cyganki, a potem jeszcze — już po drugiej stronie trasy — czujnych jak ratlerki cinkciarzy, wdrapuje się na Starówkę. Przechodząc pod rusztowaniami musi schylić głowę; teraz znika w zniszczonej bramie kamienicy.

Stary nie otwiera na pierwszy dzwonek; po drugim pyta „Kto?” i dopiero wtedy uchyla drzwi — czarny pekińczyk wyslizguje się między nogami na korytarz i merda przyjaźnie ogonem.

— Witam serdecznie, panie Mieczysławie; miałem być w sobotę — mówi Andrzej.

— Chodźmy, chodźmy, bo ta wiedźma już pewnie podgląda... — Przekręca klucz. — Kawa czy herbata, panie Darku? A może maleńkiego? Mam nalewkę „Siedmiu Złodziei...” — i robi filuterne oko.

— Nie, za kieliszek dziękuję; nie pijam, a o tej porze to już nigdy. Może małą czarną, dobrze?

Przeprasza gościa i znika za przepierzeniem — druga część pokoju to niby kuchnia. Turystyczny stolik, prymus, dwa taborety i zlew — wszędzie pełno szklanek, słoików po dżemie, nieumytych talerzy, popielniczek i garnków; prowizorka. Myje szybko dwie najmniej zabrudzone, stawia na ścierce i sięga po młynek. Nasypawszy kawy, przechodzi do „pokoju”. Andrzej patrzy, jak stary klęka na dywanie i maca ręką za kontaktem: materiał szlafroka osuwa się i ukazuje starcze, pocętkowane uda. W pierwszej chwili chce odwrócić wzrok, ale zatrzymuje go i przygląda się dokładniej: małe krwiaczki! — przez resztę owłosienia wyraźnie widać ich fiolet. Pies, podszedłszy do pana, trąca go nosem.

— Jadę do Nałęczowa — mówi stary w pochyleniu. — Zaraz po świętach. Będzie przychodził zmiennik, pewny gość — i podnosi się dysząc. — Byliśmy razem w lesie, stoi przy mnie na fotografii, pokazywałem panu?

— Nie — kłamie Andrzej, przenosząc mimowolnie wzrok na dobrze mu znane miejsce; wśród nielicznych książek rzucają się w oczy dwa identyczne, ceglaste tomy.

Stary waha się, wyłącza młynek i sięga po jedną z książek.

— Miałem trzy, ale ta wiedźma ukradła. Ciekawe, po co jej... Przychodzi pod nieobecność i szpera. O, to ten bez czapki, też lubelak. To była, panie, cała podchorążówka. W pierwszym wydaniu nie ma wszystkich, potem wysłałem autorowi odbitki. O, a to moja legitymacja. Taki byłem, jak byłem młody — wyciąga pokrytą starczymi piegami dłoń.

— Hm, przystojny mężczyzna. Ale i teraz...

— Co pan, panie Darku?... Torba z przodu, kręgosłup w rozsypce, przepuklina — płakać się chce. Gdyby nie gimnastyka... — i włącza młynek. — Papier jest, do odebrania — rzuca słowa przez warkot silnika.

— Och, to świetnie. Dużo?

— Jak? Nie słyszę, bo to cholerstwo... — wyłącza.

— To bardzo dobrze, tego nigdy dość.

— Najlepsze źródło wyschło, poszedł człowiek nogami do przodu.

Zaskoczony podnosi ku staremu oczekujący wzrok.

— Serduszko — wyjaśnia. — Klapnął na ulicy, odratowali, ale wypuścili za wcześnie, no i... Pod łopatę. Młodszy o siedem lat. — Milknie i kręci się po pokoju, jakby czegoś



szukał. — Panie Darku, mam coś dla pana... — Podchodzi do regału, szpera w szufladach i wyjmuje cynowy, własnym sumptem wytopiony krzyżyk. — Był jego, z Gdańska, nasz rozpoznawczy znak. Widzi pan, o tu: „Bóg — Honor — Ojczyzna” i dwie szable, ułańskie. A z tyłu „Solidarność”. Nienajlepsza może robota...

— Przecież to bez znaczenia, panie Mieczysławie! Bardzo, bardzo dziękuję, choć nie wiem, czy akurat ja...

— Niech go pan nosi, szczęście Boże. Panu najbardziej trzeba. A z tym papierem... Jak go pan zabierze?

— Hm — zastanawia się. — Nic dzisiaj nie mam. Może umówimy się na telefon?

— Posłałem wiadomość do pana Karola — nie mógłby on?

— Właściwie mógłby, ale to okrężna droga. Przyjdę sam.

— Przepraszam, już się chyba zagotowała — i idzie za przepierzenie. Andrzej wstaje, rozprostowuje kości i zbliża się do regału; przyczepiony do ścianki kilimek jest pełen odznaczeń.

— Brakuje kobiety... — stary wraca niosąc dwie wypłnione do połowy szklanki. — Taka ostentacja, ale niech wiedzą, gdy przyjdą, z kim mają do czynienia... Nie kręć się pod nogami! Nie wie, co zrobić — pan siadł na jego miejscu — śmieje się.

— Och, przepraszam, już zwalniam.

— Nie, nie, ja nie dlatego... Ma starokawalerskie przyzwyczajenia. — Siada też. — Trzydzieści lat, panie, czekałem na tę książkę, trzydzieści lat! Można by uzupełnić, piszę trochę wspomnień, nie wiem komu... A myśmy byli pierwszą organizacją, już we wrześniu. Gdzie teraz „Victoria”, był na murze taki napis: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Potem mieliśmy nawet pistolet. Może Region by się zainteresował? Albo harcerze? Coraz nas mniej.

— Nie bardzo w tym siedzę, ale jest taki człowiek, wrócił kilka tygodni temu z Kwidzynia, pan go zna.

— Z brodą?

— No właśnie. Myślę, że to odpowiednia osoba. Trzeba zapisywać, bo kto to zrobi?

Pietraszkiewicz wzdycha i odstawia szklankę.

— Poszło do nich dużo ludzi... Dla dwóch, panie, trzech tysięcy. Trudno im się dziwić, zresztą wielu pomaga... Chciałem mu powiedzieć kilka ostatnich słów —

nie pozwolili. Tyle, że nie tkną, bo i wiek, i zasługi; za friko Virtuti nie dają, nie? Najlepiej gdybym zdechł, na to czekają. Nic nie mam, nic — ledwie ten kąt. Żona odeszła — psiak i ja — we dwóch całe życie. Przez tę głupią wierność, przez to. Wszystko skradli — i państwo, i najlepsze lata. Wszystko splugawione. Kim ja jestem? Pan myśli, że ja tego nie widzę? Zgorzkniały starzec, głupek z pieskiem, pośmiewisko dzielniccy... Trzy obozy, trzy ucieczki, trzy armie, a potem jeszcze ukrywać się — to jest moje życie. Stara przez to odeszła, zem niby wariat. Miała rację. Ale powiedziałem sobie, że się nie zmienię; serce mówi: „Wszystko albo nic”. Nie ustąpię ani na krok, zgodnie z ostatnim rozkazem. A teraz już łatwiej; może jeszcze z roczek, dwa — i w ziemulkę.

Stary milnie i zagryza wargi, Andrzej spuszcza głowę. Sięga po paczkę i podaje przez stolik.

— A zresztą! — bierze papierosa. — Przepraszam pana, panie Darku.

— Za co tu przeproszać? Sukinsyny i tyle.

— To już czterdzieści lat!... O, widzi pan, tu, jestem w indeksie, cztery razy. A to bekantmachung z todesurtajlem. W osiemdziesiątym zacząłem znowu, latami czekałem na taki moment. Wszystko poszło, nawet to na pochówek... Wieźli mnie z Gdańska jak przestępcę. Jak bandziora: w kajdankach!

— Jak to — wieźli?

— No w grudniu. Mieliśmy swój zjazd, kombatancki, przy Krajówce. I brali nas razem, wszystkich widziałem — w kajdanki i do Lublina. Tu też zgarnęli wszystkich, dziadków się bali! Syn się skurwił, szcerwieniął... W takich jak pan, panie Darku, cała nadzieja. Nie ustępujcie im na krok, bo połkną jak muchę — Moskal jest podły jak pies! Nie wolno ufać nawet przez minutę. Że opluwają? To najlepszy dowód na ich strach; niech się boją, mają czego! To padnie, musi paść — kłamstwem długo nie pojedziesz. Uczyć ludzi, przypominać, podnosić na duchu — wy już nie wiecie, co to wolność, wy już z inkubatora... W osiemdziesiątym to był tylko przedsmak — i nic więcej. Prawo, szkoły, sejm... nie mówią o wojsku czy milicji — tego zupełnie nie tknięto. Związek to nie wszystko, jest dobry, ale w państwie wolnym. Podwyższać poprzeczkę, przecież mamy teraz rozwiązane ręce! Odmówić im prawa reprezentowania, bo to nie nasi, wszystko po szybkobieżnej z Riazania; oni już myślą grażdanką... No — wyhamowuje — ja tu przynudzam, a panu pewnie spieszo. Proszę nie zapominać o starym.

„Chce, abym już poszedł — myśli Winrych. — Za dużo mi powiedział”. I głośno:

— Nie, panie Mieczysławie... Ja z konkretną sprawą; lokal na drukarnię potrzebny — mógłby pan jakoś pomóc?

Stary zaszepia się.

— Hm, trudna sprawa... Bardzo bym chciał u mnie, ściany grube, ale mają mnie na oku.

— To nawet nie wchodzi w rachubę, dom i tak przeciążony.

— Nic nie obiecuję, ale mogę spróbować. Dobrze, że pan przyszedł dziś — jutro będę u kolegi. Spotkamy się w niedzielę? Do południa, stara wtedy w kościele.

Już stoją. Pietraszkiewicz wyciąga rękę.

— Acha, jeszcze jedno — przypomina sobie Andrzej. — Przyjechał człowiek spoza Lublina, nie ma pan czegoś na składzie?

— Trochę by się znalazło... Na dzisiaj?

Kiwnięcie głową.

— Zgoda. Na którą? Muszę skoczyć w jedno miejsce i na obiad; będę o drugiej w domu, starczy? — I podnosi krzaczaste, piłsudczykowskie brwi.

Skręca w lewo i minawszy bramę wchodzi do „Czarciej Łapy”; ciemnobrązowe stoliki czekają na jego wybór. Kelnerka z przekrwionymi oczyma zjawia się prawie natychmiast, jakby polowała na rzadkich o tej porze gości. Andrzej zamawia kawę, dwa pączki, wyjmuje notatnik i zapala papierosa. Zapaloną zapałkę kładzie do popielniczki tak, by jednym końcem opierała się o dno, a drugim leżała na wysokim brzegu. Przygląda się, gdy płonie z trzaskiem jak mała belka; zwinięta w mysy ogonek spada na dno popielniczki, tworząc wokół siebie pożółkłą, zakopconą aureolę. Zastyga w bezruchu szerniała i nieżywa: czysty kawałek przetrawionego żarem węgla. Kelnerka niesie szklanekę z kawą, biorąc po drodze zbyt dużą na sąsiednim stoliku cukiernicę. Jest kilka minut po dwunastej.

Teraz sięga po cukiernicę i nabrawszy białych kryształków patrzy na zbierające się na brązowym kozuchu kawy drobiny. Te pierwsze tracą kolor natychmiast, następne nie wsiąkają jednak tak szybko, tworząc na burej powierzchni trzęsawiska coraz szybciej rosnącą, białą wysepkę. Przygląda się temu ze wzrastającym zaciekawieniem, dosypując i czekając, aż pływająca wyspa (znów ten symbolizm?) przechyli się

na jedną stronę i powoli, zanurzając się coraz bardziej, wśliznie się pod gęstą tafłę.

Nieczęsto ma okazję śledzić to fascynujące zjawisko. Zazwyczaj pija herbatę, ale i wtedy — jeśli jest czas — przygląda się rozpędzonemu wraz z fusami, widocznemu przez czerwonozłoty napój proszkowi. Eksperyment jest bardziej interesujący, gdy mamy pod ręką cukier w kostkach; wpuszczona na dno bryłka strzępi się i obraca w ruinę jak niszczone czasem, deszczem i wiatrem kamienne bloki Kolozeum. Ewa twierdzi, że gdyby cukier był w płynie, to on nie piłby niczego — z całej ceremonii interesuje go jedynie moment zamiany słodkości w inny stan skupienia.

Przypominają mu się teraz uprawiane w dawnych, dobrych czasach żarty i pokpiwania; myśli o niej przez chwilę zdając sobie sprawę, że odległość — choć tak niewielka — znowu pomaga otoczyć jej osobę odrobiną czułości. Wtedy, w Niemczech, Hiszpanii czy Francji, mówił sobie ciągle, że po powrocie zacznie wszystko od nowa i przestanie, jak dziecko, kąsać rękę, która karmi. I było już niezgorzej, dopóki tamtej nocy to wszystko nowe się nie zawaliło. Stracił jedyną pracę, na jaką od lat mógł się zgodzić i stał się jak dawniej człowiekiem bez przydziału, bez miejsca w życiu i spokoju w domu.

Pierwsze tygodnie stanu były jeszcze znośne; najpierw strajk w Świdniku, potem parodniowe ukrywanie się (przychodziła do niego nocami), później — gdy największe niebezpieczeństwo minęło — udana próba zorganizowania ludzi w nowy Region. Ewa pomagała; w tamtych dniach nikt nie odmawiał pomocy. Ogarnięta sprzeciwem, była po cichu dumna, że znalazła się w sercu wydarzeń, nie myśląc wtedy — bądź demonstracyjnie lekceważąc — niebezpieczeństwo. Strach wyrósł potem, wpelzając niezauważalnie do wszystkich mieszkań, gnieźdząc się w oczach i szepcząc do uszu ostrzegawcze słowa gróźb.

Romantyzm konspiracji nie trwał długo. Niebezpieczeństwo zdawało się maleć, choć traciło tylko spektakularny wymiar. Noce przeszły do rodzinnej mitologii, zyskując nieetykalność tym większą, im bardziej każdy dzień — oddalając — niósł ze sobą niszczące obydwójce napięcie. To nie miało już nic wspólnego z okupacyjną legendą; załatwianie tysiąca drobnych spraw pochłaniało wiele — dla niej zbyt wiele — czasu. „Jak długo ma to trwać?”. — pytała coraz częściej, nie będąc w stanie zapanować dłużej nad pomieszaniem z

kobietą zazdrością lękiem. Denerwował się i próbował tłumaczyć. Mówił o obowiązkach, o pamięci, o bliżej niesprecyzowanej wolności i godności, ale to nie bardzo ją przekonywało. „Są chyba inne jeszcze obowiązki — i są inni, którzy mogliby cię trochę zastąpić!” — odpowiadała uparcie, czując dobrze swoje, umieszczone w równie podstawowym wymiarze racje. Andrzej niezbyt chciał słuchać; nawracał do tych, którzy poginęli na Syberii, wyciągał jakichś dziadków — byli też i filomaci! — i podsuwał jej pod nos nawet portret Łukasiewskiego. Ewa milkła na jakiś czas, potem wszystko zaczynało się od nowa. Widząc, że powtarzana wielokrotnie argumentacja traci na sile, wyciągał jakąś książkę i bez słowa — powstrzymując ze wzruszenia oddech — odczytywał stosowny akapit. Odkładał tomik i zalegało milczenie: Ewa nie miała własnej antologii ułożonych w kontrargumenty wierszy.

Nieuniknienie przyszła kolej na większe formy wyrazu. Którejś nocy, gdy leżeli już w łóżku, wydostał się z kojącego ciepła, zapalił światło i odczytał całe opowiadanie o ostatnim powstańcu; przy scenie opisującej grabież leciały mu wielkie jak fasola łzy. Ewa znowu pozostała bez słowa, zapominając — a może po prostu chciało jej się spać — że niejednokrotnie naśmiewał się z bogoojczyźnianych autorów, folgując sobie w upodobaniu na wszelkiej maści żeromszczyźnie.

Bierze tyżeczkę i miesza kawę dla lepszego zaparzenia — pozostało pół szklanki. Pod koniec dosypie cukru i wypije czarny i słodki likier — to puenta obrządku. Gdyby mógł dostać śmietanki lub kieliszek koniaku, byłby zadowolony całkowicie. Siedzi jak emeryt, jak samotny turysta na wczasach, nie wiedzący co począć z niezbyt godnym przedpołudniem, ale w głębi duszy musiałby przyznać, że taki stan bardzo mu odpowiada; może odpocząć i znaleźć chwilę dla siebie. Kręci się w kieracie jak koń z klapkami na oczach, wiedzący, że jeśli zwolni, to rozpędzony drąg przynagli go do biegu, uderzając boleśnie po kostkach. Teraz, przypomniawszy sobie niemieckie postanowienia, uśmiecha się pod nosem; uśmiech przedostaje się do środka i osiada na sercu gorzkim ziarnem.

Placi i wychodzi. Jest na Placu Łokietka, miejscu, skąd ulice rozchodzą się gwiazdźście albo — jak chce legenda — w kształcie czarnej łapy na wszystkie strony miasta. Zszedłszy w dół ulicy wsiada do trolejbusu, którzy przejechawszy zaledwie kilkadziesiąt metrów nie może pokonać zakrętu i staje trzaskając pałkami po przewodach. Błyska jakby ktoś

robił olbrzymie zdjęcie, w górę od drutów unosi się mały dymek, a na asfalt sypie snop iskier. Rozkraczony wóz blokuje jezdnię tak, że z obydwu kierunków ulicy robią się natychmiast korki — to jeden z newralgicznych punktów miejskiej trajektorii. Kierowca otwiera przednie drzwi i biorąc wielkie, pokryte dermą rękawice, wyłazi z małej kabiny na zewnątrz. Andrzej, stojąc na tylnym moście, patrzy, jak zakładający rękawice kierowca idzie niespiesznie wzdłuż wozu, jak chwyta za linkę i ściąga troleje, aby poprawić powykręcane ze stawów końcówki. Uszkodzenie musi być większe niż normalnie, bo nie mogąc naprawić ustrojstwa samymi rękoma, zostawia pałki sterujące w górę — jak o pomstę do nieba — i wraca po narzędzia.

Niektórzy pasażerowie, zorientowawszy się w czym rzecz, nie wytrzymują kolejnych atrakcji przedsiębiorstwa komunikacyjnego i wymykają się z fatalnej arki, zdecydowani przejść pozostałą im odległość na własnych protezach. Przepychają się teraz do przodu i rozłazą po jezdni każdy w swoją stronę. „Jak świnie po deszczu” — myśli Andrzej, zadowolony, że przypomniał sobie na czas dobre powiedzonko.

Jakieś młode jeszcze małżeństwo, które przed chwilą kłóciło się o kawę, teraz także próbuje się wy dostać; milkną połączeni wspólną akcją. On niesie na ręku chłopczyka, a ona — nie broniąc się już przed zarzutami, że „nie za swoje” — ciągnie za sobą starszą dziewczynkę. Będąc już w drzwiach trafiają na kierowcę.

— Nie ma żadnego wysiadania! — krzyczy tamten. — Tu nie ma przystanku — dodaje blokując ciałem wyjście.

— Lepiej byś pan ogrzewanie włączył — odcina się mężczyzna, który nagle zapragnął przemienić się w troskliwego ojca i obywatela. — Dzieciaczyska marzną, ale co to takich obchodzi! — odcina się jeszcze raz, aby każdy z obywateli mógł go usłyszeć.

Ludzie przysłuchują się w milczeniu, obojętni i pokurczeni każdy w swojej muszli. Małżeństwo cofa się z przejścia czekając, aż kierowca wysiądzie znowu; jest z góry skazany na przegraną. Bardziej zniechęcony niż zły wychodzi z kabiny i niosąc młotek i specjalny wichajster idzie ociężale na tył wozu. Utaarczka dla utarczki — ot, żeby przerwać milczenie i trochę się wyładować. „Od nas samych zależy temperatura w trolejbusach” — wymyśla zachęcony poprzednim sukcesem intelektu Andrzej. Małżonkowie przeciskają się do wyjścia

i taszcząc pod pachami pociechy lądują szczęśliwie na twardej gruncie. Kobieta śmieje się uradowana, ale jej waleczny wybraniec — skumulowawszy całą złość na szoferze — gada coś jeszcze w kierunku znikających pleców.

Trolejbusowy w ogóle na tamtego nie reaguje, bierze się do większej naprawy. Przypukuje młotkiem i kręci końcówkami na wszystkie strony, podczas gdy szereg czekających pojazdów stale się wydłuża. Co bardziej niecierpliwi stukają w klaksony, ale większość obserwuje leniwe ruchy majsterkowicza ze stoickim spokojem. W tym miejscu zawsze jest tak — i nie ma na to rady. Szkoda zdrowia.

Trolejbus prawie opustoszał; Andrzej siada teraz przy oknie i wyjąwszy z chlebaka gruby tom zagłębia się w czytanie. Pochłonięty lekturą nie zauważa, że stukanie ustało; dopiero szarpnięcie uświadamia mu, że naprawa skończona — mogą jechać dalej. Ogląda się na długi szpaler samochodów i widzi, jak do fatalnego zakrętu podjeżdża kolejny trolejbus i jak pałki znów trzaskają w niewidoczną kopułę nieba. Ale on ma to na razie za sobą: wehikuł, trzęsąc się i klekocąc, mknie z górki jak na złamanie karku.

Wjeżdżają w tunel, rozpryskując resztki zmieszanego z solą i błotem śniegu, i zaczynają gwałtownie hamować. Andrzej podskakuje na siedzeniu, a w oczach skaczą mu litery z trzymanej w rękę książki. Na Kunickiego składa tom i z wyrazem rezygnacji pakuje do chlebaka; wysiada. Przebiega jeżdżąc kierując się w stronę ulicy Kochanowskiego; „Może nawet był tu gdzieś niedaleko...” — myśli przypomniawszy sobie fraszkę do doktora Montana i — jak zawsze, gdy z nagłą oczywistością uświadomi sobie, że idzie po ziemi, na której przed nim żyli inni — cień melancholii przemyka mu przez twarz. Od kilku miesięcy zbiera wszelkie okruchy pamiętników i diariuszy, rozczytuje się w historii miasta tak, jakby chciał wniknąć w nie głębiej i przywiązać się do skrawka globu, który dość przypadkowo stał się jego miejscem. Jakby próbował wchłonąć w siebie i ocalić to wszystko, czemu udało się przetrwać — jakby zapragnął nazgarniać i zaabsorbować jak najwięcej: tamte istnienia, posłania, dusze. Dość nagle poczuł potrzebę uczestnictwa w ciągu, który — myślał — musi mieć przecież kierunek, bo inaczej dawno by się rozchwał i rozproszył jak kosmiczny pył. Zaczynał wierzyć, że ten pochód, jeśli stanie się jego elementem, natchnie go nieznaną dotychczas siłą i potrafi choć z grubsza wskazać drogę.

Znika za drzwiami bardziej przypominającego pomocniczą szopę niż willę domu; nie wie, że budynek jest od dawna pod obserwacją.

— Żyd-Wieczny Tułacz *prisutswujet*? — Andrzej wkłada głowę w otwór między futryną a brzegiem drzwi: mała, domowa gilotynka, która niejednego już pozbawiła centrali. — *Jest ili niet*’?

Nie ma odpowiedzi — czyżby znowu miał obchód? Ten to gotów kolportować nawet „Kurier...”, byle tylko móc uciekać. „Efekt odzywki diabli wzięli” — myśli Andrzej i wchodzi do środka. Ale w pokojach pusto, w kuchni i łazience też.

— Ktoś chyba w pobliżu jest? — mruczy do siebie zaniepokojony. — A może lepiej zwiąć?

Jednak zostaje; widocznie na serio postanowił spotkać się z przeznaczeniem. Wiesza kurtkę za mającą pełnić rolę szafy firanką.

— A ty tu skąd? — Karol stojąc na progu poprawia okulary.

— Ciesz się, że cię wpuściłem — szarzuje w odpowiedzi. — Zaparz herbatę.

— Dobrze, że się zjawiłeś — mówi Karol podchodząc. — Jest wyjazd dla ciebie.

— Tak? A to kiedy?

— Na jutro, zdaje się. Acha, i papier do zabrania.

— I co jeszcze, może zrobić szpagat? — siada zrezygnowany na kuchennym taborecie; czasami traktują go jak posłańca. Ale cóż — mówi sobie wtedy — dobro organizacji wymaga posłuszeństwa. — Hanka w pracy?

— Po dzieci wyszła — zła jak osa.

Andrzej patrzy na niego pytająco.

— Szkoda słów — mówi Karol. — Do wczoraj wszystko było w porządku, ale przyszła dziewczyna z „Informatora”, jeszcze w sprawie tamtej wpadki... Ta, jak ją zobaczyła, od razu błada jak trup. Zdzicho był przy tym, widział: kopała, rzucała książkami, istna wiedźma... I żebym chociaż coś robił, ale od dwóch lat nie tknąłem ani kropki; praca, działka, dom — nic więcej. Gania człowiek jak oszałały i nie dość, że nic się nie zmienia, to jeszcze...

Zaczyna się więc i tutaj — myśli Andrzej. — Wypada tylko czekać dnia, w którym przyjęty zostanie jak intruz.



Asekurowanie się tupetem, za pomocą ironii czy niby zabawnej bezczelności nie na długo wystarcza. Awantura cudzej żony lub po prostu zamknięte drzwi będą twarde i bezapelacyjne jak kropka po wypowiedzianym bez niedomówień zdaniu. Cóż wtedy pocznie i co będzie robił? Wszystko, czym się zajmuje, jest kruche i niepewne, niewymierne i bez widocznego efektu, oparte na wartościach, które dla wielu dawno już straciły siłę oczywistości i są dziś tak słabe, że trzeba godzin, aby je komuś wytłumaczyć. Czyż doprawdy nie ma już nic ponad tę nudną pracę na niwie? Mówić oczywistości — i to Karolowi, który, zdawało się, od początku rozumiał, o co chodzi? Nagły rozpad ludzi zdolnych na pozór do upartej samodzielności irytował go najbardziej; wtedy zaciął się w środku i postanawiał, że nie ustanie, dopóki starczy tchu.

— Ile w tym siedzisz? — zwraca się do gospodarza. — Rok? Półtora? Powiedz jej ode mnie, że potrwa jeszcze z pięć... i że komuna bardzo na nią liczy.

— Mocni są, łobuzy — mówi Karol z ociąganiem; najwyraźniej już i ten szuka sobie alibi.

— Mieli czas, gdy myśmy głupieli. A teraz działki, kolejki — i mają tumanów z głowy.

— A ty jeszcze wierzysz? — zwraca się do Andrzeja prawie konfesyjnym tonem, któremu nagle zdaje się, że okulary dodają tej twarzy już nie inteligencji, lecz wyglądu przestraszonej czymś muchy. „Mucha do połknięcia”.

— Co ty mi tu z wiarą? — odpowiada opryskliwie, uświadamiając sobie nagle, że tacy jak Karol pomagają mu jednak w wyklarowywaniu własnych, błakających się w zakamarkach czaszki myśli. — Ta nie ma tu nic do rzeczy. Nie zamieniaj jednej na drugą.

— To bez? — Najwyraźniej jest tą niespodzianką zdeorientowany.

— Następny Murzyn do rozjaśnienia, no! Oj, Karolku, niech was prąd kopnie! — I próbując przełamać zniechęcenie złością dodaje: — Gorączkujecie się latami, by nagle okazało się, że albo na owczym pędzie, albo w oczekiwaniu na cud. Gdyby tak można jak za dotknięciem różdżki, co?!... Przed Sierpniem kręciła grupka, a zobacz jaki był efekt. To i teraz musi być, ludzie małej wiary!

— Wiary.

— Tego też, jeśli chcesz. Masz swoją robotę — i w niej dłużej. Jak wygrasz z sobą, to będziesz miał wszystko inne.

— A program?

— O Boże, ciągle ta łopatologia!... — Andrzej załamuje ręce. — Przecież właśnie ci powiedziałem! Sam jesteś programem, tylko się dobrze odczytaj. O tym się nie gada — to się robi. Wydawać książki — to na razie starczy. Naród przecierpi i tych, a potem powstanie...

— I co — jatka?

— Czasownik, nie rzeczownik. „Powstanie”, czyli podniesie się. Odrodzi. I nie martw się, wybierze co trzeba, instynkt mu podpowie.

— Mam wrażenie — nie ustępuje tamten — że ciągle ślizgamy się po powierzchni. Wiara w mądrość narodu...

— Coś ty dzisiaj taki Tomasz? Jesienne osłabienie, czy co? Parę jest nurtów, każdy tak żyje — esencja zbiera się pod spodem, jak w tej herbacie... Słodziłeś? — podsuwa mu torebkę. — Ach, ci Polaczkowie, chyba rzeczywiście gorszy sort; Sławusy!... Żebyś ty wiedział, co o nas myśli zagranica! „Ukrzyżowany naród!” A tu blocko — ze strachu, wódy i małostkowości. — Milknie.

Oto i ludzie z koziego grodu. Miasta, które mogłyby być tygłem, wrzającym kotłem umysłów, miasta na kresach, gdzie stapiają się i łączą dwie kultury, mając jeszcze na dodatek domieszkę żydowskiego pięciogranu! Ale cóż, jeśli nawet tacy jak Karol miękną w bezkształtny pieróg. Tu winno się przyrządzać najostrzejsze, najbardziej pikantne potrawy, ucierać i warzyć, tu powinno kipieć nowe złoto i odurzające wyciągi z ziół, a tymczasem... wschodni smrodek, brud i papki. Wszystko rozlaźni się w nijakość i zakutane lenistwo.

— Z Pinochetem nie wygrasz i tak — próbuje złamać go w inny jeszcze sposób. — Słuchałeś wczoraj dziennika?

— A z tobą?! — Andrzej prawie że krzyczy. — Z tobą wygram?! Co mam się kłócić z telewizorem? Poddajesz się tym seansom, a potem pleciesz jak Pankracy na mękach. Masz już tam, pod bańką, nieodwracalne zmiany, wiesz? Zawsze był batuszka, ale był i jakiś Gogol; jeden pisze „Biesy”, a drugi ukazy — wybieraj. Albo, jak ci się, gastrulo jedna, nie podoba, to rób pieniądze; narkotyk akurat dla ciebie!

Karol przymyka oczy, chcąc łatwiej przelknąć dopiero co otrzymany komplement.

— Nie przekonalesz mnie, stary — mówi ogólnikowo i polubownym tonem; widocznie próbuje jeszcze ocalić twarz.

— Oto, proszę państwa, Żyd — defetysta! — i wskazuje na niego teatralnym gestem; też szuka już rozluźnienia. — Prowokujesz mnie tu i prowokujesz, a tak naprawdę to

chcesz usłyszeć coś innego. Tylko się potem nie żal, bo będziesz miał, na co zasługujesz. Na emocjach się podgrzać — o, to tak... Ale kurwa, wziąć się za sprawy istotowo — niee, na to jesteśmy już za dziecinni! To już komuna, mój drogi; witaj w paradyzie... — Ucicha zapatrzony z rezygnacją w szklankę, jakby zobaczył tam coraz smutniejszą przyszłość. Karol ma minę kogoś oczekującego na dalszy ciąg; wszystkie receptory w pogotowiu.

— Daliście się zastraszyć kilkoma groźnie brzmiącymi słowami — mówi Andrzej dalej, już spokojnym głosem. — Kilkoma słowami i niczym więcej. Weszli wam do głowy, pokrzyżeli, pogrozili, a wy, potulnie jak kundle, podwinęliście ogony pod dupę i w ką. Tak to wygląda... a ci biedni, w pace, marnują za was życie. Żuj sobie te kłamstwa, aż ci się całkiem łeb zagnoi. Jesteśmy już jak stado, któremu starczy strzelić biczem, aby się bało. I będziesz mi tu pewnie pieprzył o żonie, dzieciach i chlebie, jakby doprawdy nie było na świecie ważniejszych rzeczy. Wczoraj po manifestacji widziałem, jak trzech zomowców goniło faceta i nikt, nikt im nie przeszkodził.

— A ty?

— Byłem z dwieście metrów od niego. Dostał wpierdol, aż się krwią zasmarkał. I to od razu w budzie, a na komen-dzie drugi raz. A stado rozlazło się do domów, ekscytować swoje krowy bohaterскими opowiadkami. Wyjęli go ze środka tłumy; to są ci wnukowie żołnierzy, naród Brzozowskiego i Zawiszów. Spacyfikowani kilkoma słowami, których nikt nie każe im słuchać; leżą w to sami, jak cielęta na rzeź. I wcale nie ma potrzeby ich poganiać — wystarczy coś zastępczego i już się wszyscy trzęsą. Cały kraj, od gór do morza, robi w portki. Pyszny widok. Rozumiem tych, którym dopiero coś tam zaczyna świtać — nie mieli możliwości, nikt im nie podpowiedział — ale ty? Nie umiesz czytać? Nie znasz historii? Nie masz bibliotek i wyobraźni na tyle, byś uzmysłowił sobie i wybrał coś innego niż to potwornie płaskie kłamstwo? Sączą ci je przez uszy, codziennie, szepczą i kuszą, podsuwają swoje „za” i „przeciw”, a ty — na początku tylko przez sen — przyznajesz im rację...

— Przecież to wiadomo, że...

— Tak? Wiadomo? Już dawno zapomniałeś, zresztą co z tego, że wiadomo, jeśli żyjesz tak, jak o ni chcą? Obraz ci się utrwała, ślina z pyska ciecie... wystarczy, że po raz trzeci pokażą służbowy powielacz, a do tego kretyna, który płacze

i żałuje, bo „miał jechać z rodziną na narty”, a ty już się boisz, że to do ciebie mówią, że o tobie wiedzą, że na razie grożą tylko paluszkami, ale nie denerwuj ich, bo... „O la, la, nieładnie, nieładnie, damy ci klapsa, niegrzeczny chłopczyku”. I potem mi tu pieprzysz jakieś bzdury.

...A tam, gdzie wschodzi przyszłość, dziesiątki tysięcy w łagrach i psychuszkach — a my nimi pogardzamy. A jakże! Spodlony naród, co? Mentalność niewolników i szara masa. Mówię ci, za dziesięć, piętnaście lat będzie u nas siedział jeden człowiek — i to wystarczy, żeby się reszta bała. Czterdzieści milionów w szachu. Zaś ty, stary już i gruby — ale jaki bohater — pomyślisz sobie w skrytości ducha: „Pieprzę, co się będę narażał, nie jest tak źle, niech teraz młodzi... Trzeba myśleć o przyszłości: jeszcze mi rentę odbiorą i co?” Tak będzie, patafianie jeden z drugim, bo nie tylko o ciebie tu chodzi — zwraca się do milczącego Karola. — Tak będzie.

Gdy tak kiedyś wstaniemy i spotkamy pradziadów — tych z powstań, cytadel, z wygnania — gdy zobaczymy armie duchów z całej historii i całego świata — to jak im wtedy będziemy kręcić? Damy radę, nie? Bo my wprawni, dialektyczni, całe życie w tym ćwiczeni. I mamy już dla nich, kolorowych zmartwychwstańców, sześć wersji na każdy argument, stosownie do sytuacji, i wiemy jak przekłamać i kiedy się uśmiechnąć, a kiedy znów zamienić w żart czy zjechać w maliny... Spojrzysz im w twarz? Powiesz, że twoja stara nie pozwalała? Czy może coś o regale i kafelkach do łazienki? Albo video, co? Bo „koledzy mają i chciałbyś się utrzymać na tym samym pułapie...”. Pułapie. Idiotyizmu... Tak trzymaj, nigdy niżej: to jest twój prawdziwy obraz i prawdziwy poziom myślenia, „pułap” i krąg, w którym się obracasz. W który sam się zamknąłeś. Kielbasa i bat, przyjemność i strach — i nic, nic więcej. Bydło, zwykłe bydło.

— Przesadzasz, Jędrusiu... — odzywa się Karol, który przez cały czas przemowy siedział zwinięty w kłębek. Jest łagodny i ostrożny, jakby go chciał udobruchać; nie widział go takim nigdy. — Rozpędziłeś się, jakby cię coś pogryzło...

— Gryzie cały czas! „Idź do psychoanalityka”, co? Znajdź podłoże swoich frustracji. Ukryte. I bez niech wiem, że na jakichś zasadach funkcjonuję. „Niech się pan uspokoi, to tylko chwilowa dezintegracja w drodze na wyższy szczebel rozwoju...” Ja bym mu tym szczeblem dał w zęby!... Taaak, niczego nie wolno zaniedbać, wszystko zaprzęgnąć

do trzymania hołoty za ryj. Zdaje się — dorzuca innym już tonem — że czas zrobić porządną kadrówkę, bo w tej masie nic się nie poruszy.

Karol unosi brwi; chyba drgnęło mu coś pod czaszką, bo mówi z nutką pokory:

— Opieprzyłeś mnie jak chłopca.

— Wedle stawu grobla — śmieje się Andrzej. Popłótl, poprzeklinał i zaraz ma lepszy nastrój. Zrobiło mu się przyjemnie.

— Weźmiesz „Mazowsze”?

Teraz nie. Pojutrze. Książki masz?

Tylko Michnik.

Starczy za dziesięciu, dawaj.

Musiałbym pójść do sąsiada...

No to idź. Acha, daj za pamięci tę kopertę.

Stary już zmobilizowany i w największym porządku: brzuch za paskiem, tabelki i brudne chustki pochowane, urządzenie do masażu zniknęło.

— Zebrałem nieco, niezbyt dużo, ale...

— Wszystko się liczy, panie Mieczysławie; prowincja strasznie wygłodzona.

— Zrobiłem też notatkę o pogrzebie: może pan przesłać tym z „Informatora”? Wie pan... — zaczyna nie czekając na odpowiedź, a potem zapada w milczenie. — Czasem myślę, że gdzieś popełniłem błąd... Że źle wybrałem. Nie politycznie, nie — tu nie mam wątpliwości... ale chyba jest coś nie tak, jeśli po drodze niszczę... i to najbliższych. Trzeba, sądzę, iść jakoś delikatniej, nie jak kataleptyk. Tylko jak to zrobić? W pewnym momencie zaczynasz przesadzać... Boję się, boję się, że gdzieś zabłądziłem.

Słuchał z opuszczoną głową, a teraz — czując, że stary nic już nie doda — pozwala sobie na coś w rodzaju sentencji:

— Jeśli wybrał pan skrajność — mówi powoli — to go pan nie popełnił.

— Tak? Sądzi pan, że tak należy?

Niezręczna sytuacja, ale Pietraszkiewicz potrzebuje tego chyba bardziej, niż on sam. Więc mówi:

— Insurekcja nie jest stanem normalnym, więc i życie w niej też. A jeśli jest permanentna... Przecież pan wie, że nie miałby spokoju żyjąc inaczej. Wybór jest tylko między sposobami i ceną: nie ma rajów... A proszę spojrzeć tak: nie dał

się pan kupić, nie zapomniał o kolegach spod darni, nie zła-  
mał słowa — czy to mało? Ma się albo jedno, albo drugie...  
— kończy nie wiedząc, czy to prawda, czy pocieszenie.

— Może i racja — odzywa się Pietraszkiewicz i wstaje.  
— Ale wróćmy jeszcze do rozmowy, dobrze? O, to ta  
paczuszka... A co z tamtym komunikatem?

— Będzie w najbliższym numerze, tak obiecali.

— O, to bardzo dobrze... Chyba pana polubił, bo  
rzadko kogo tak odprowadza. No, z Bogiem, panie Darku...  
I niech pan na siebie uważa.

### III

Kiedy R. zadzwonił, że będzie za siedem minut, Andrzej  
zgasił światła w wychodzących na podwórko oknach, zszedł  
na dół, by zdjąć kłódkę z piwnicznego wjazdu, a potem  
poszedł ku bramie i otworzył ją na oścież — nie pozosta-  
wało już nic, tylko czekać.

Samochód przyjechał punktualnie — R. jest jednym z  
nielicznych, którzy przestrzegają tej podstawowej zasady — i,  
mając włączone światła postojowe, przesuwa się ostrożnie  
wzdłuż muru. Dojechawszy w okolice wjazdu wyłącza je, pod-  
nosząc jednocześnie biały ogon bagażnika; skromna baletnica  
kłania się spuszczać wzrok.

Tekturowe pudło z maszyną ledwie się mieści — resztę  
rzeczy trzeba położyć na tylnym siedzeniu; nienajlepiej, na  
szczęście szyby są zdrowo zakurzone. Wymykają się z podwó-  
rza, Andrzej zatrząskuje bramę (automatyczny, niemiecki za-  
mek) i wskazuje na miejsce obok kierowcy. Krótki objazd po  
utworzonej z małych uliczek pętli i już włączają się w ruch.

— Prawa wolna — odzywa się Andrzej.

— Dokąd?

— Czechów, osiedle Szopena.

Andrzej zapala papierosa, R. jeszcze nie chce. Spokojnie  
i z wprawą zawodowego szofera kręci kierownicą, przepu-  
szczając tych, którzy — jak mu się wydaje — zbyt długo za  
nimi jadą. Winnych z napiętą uwagą odczytuje numery reje-  
stracyjne nadjeżdżających i mijanych samochodów; wolałby  
nie spotkać żadnego ze znanych. Na drugim pasie, już w ob-  
rębie Czechowa, widzi ślepią na jedno światło „sukę”: znana

w całym mieście. Minęła ich. Następna wyjeżdża z ich osiedlowej drogi — R. przyhamowuje spokojnie, jakby ubiegał się o tytuł dzentelmena szos, a potem ruszają pustą alejką, posuwając się równolegle do wskazanego przez Andrzeja bloku. „Zomo-suki” i mundurowi są najmniej niebezpieczni — mają działać na postrach, ale zawsze mogą, choćby przez przypadek, coś trafić.

— Gdzie? — pyta R.

— Trzecia. Nie bał się pan?

Nikły uśmiech.

— Ciemni jak planeta w rogu...

Wystarczy przeskoczyć trawnik, by znaleźć się na schodach; R. wysiada pierwszy i rozejrzawszy się w terenie wchodzi teraz do klatki, by ściągnąć i zablokować windę. Andrzej zostaje na miejscu do czasu, aż w oszklonych drzwiach (jedna szyba jest zastąpiona tekturą) pojawi się tamten; już kiwa z daleka głową. Winrych bierze drobiazgi z siedzenia, przechodzi szybko przez rozmiękły trawnik, prześlizguje się bokiem przez przytrzymywane nogą drzwi i pokonawszy kilka schodków, składa pakunki na podłodze windy.

— Da pan radę sam?

Kiwa głową. Szybko wraca do samochodu, by zebrać zawartość bagażnika; obcasy wbijają się teraz głębiej, idzie pewniejszy. Na ścieżce i klatce nadal nikogo, prostokąty okien świecą obojętnie. Stawia delikatnie kartonowe pudło — jakby w środku był rzeczywiście telewizor — i uśmiechnąwszy się do R. mówi:

— Za dwie minuty jestem.

Maciek już czeka. Bez słowa bierze jedną z paczek; Beata, żona, jest oddźwierną. Dzieci z babcią siedzą w drugim pokoju, słysząc zza drzwi ich głosy. Machinalnie sprawdza — w pozostałej części mieszkania nie ma nikogo.

Gdzie? — pyta Maćka.

To tu, a to tu — wskazuje przygotowane wcześniej miejsca. — Nikt cię nie widział?

Beata odblokowuje windę i puszcza ją kilka pięter wyżej.

— Czego się napijesz? — wraca do roli pani domu. — Kawy?

— Teraz niczego; muszę jeszcze wskoczyć w jedno miejsce.

Będę za pół godziny, zgoda?

R. zapala silnik i uchyla drzwi, Andrzej wskakuje i ruszają.

— Teraz do śródmieścia i koniec. Nic panu nie blokuje?

— Nie, akurat zdążę; to w tym samym kierunku.

Pozostawiają po prawej stronie światła Czechowa — dzielnica bloków i wieżowców miga gasnącymi, to znów zapalającymi się lampkami jak olbrzymie laboratorium — i zjeżdżają w dolinę rzeczki. Teraz suną pod górę, w prawo na Leszczyńskiego, skręt w Długosza i na Raclawickie; zatrzymują się naprzeciwko liceum Staszica.

— Zaczynasz być słowny — śmieje się do Andrzeja oczekujący go tu imiennik. — Bałem się, że nic z tego.

— Masz tu, ile mogłem. Kiedy będziesz?

— Na Nowy Rok. Drugiego, trzeciego najpóźniej.

— Mogę pojechać do rodziców, Ewa ci wtedy powie, co i jak. Przywieź forszę. Acha, przechodzimy na płacenie z góry, bo to za długo trwa. No, do siego...

Dobrze by było już wracać, ale wie, że powinien wstąpić do Beaty i Maćka; mogliby — i słusznie — poczuć się obrażeni. Schodzi do najbliższego przystanku „trzynastki”.

— Jesteś? — dziwi się. — Byliśmy pewni, żeś zapomniał.

— O was może i tak, ale nie o maszynie; do niej wróciłem. Zresztą rzeczywiście będę zaraz leciał...

— Gdyby nie sprawa, to nie zachodziłbyś wcale — dokłada Maciek.

— Daj już spokój. Łeb mi pęka, a ty...

— Pogadamy po wojnie, co?

Patrzy na niego uważniej: skąd nagle ta zaczepność? Maciek śmieje się nerwowo.

— O kay, pardon: to niechący.

Andrzej wzrusza ramionami i przenosi wzrok na dziewczynę; Beata wnosi właśnie dwie herbaty i kawę — słyszała wszystko.

— Co się tak czepiasz? Pyta się męża ze zdziwieniem. — Chyba masz już cykora, co?

— Że trafią na zakwasy... — dorzuca Andrzej; nie może się powstrzymać od rewanzu. — Prace naukowe postępują? — I do Beaty: — Wiesz już coś o tej posadzie?

— Tak, rozmawiałam. Będzie aktualne, ale dopiero od września. Może nawet z mieszkaniem. Wyglądasz na nieźle zmęczonego.

— Jeszcze trochę i pauza, Maciek mnie zastąpi... — rzuca na rybkę. — Kara ta sama, co za zalzajer. — Nie spodziewał się, że Maciek tak szybko będzie się bał; raczej liczył na reakcję odwrotną.



— Dobrze ci tak! — mówi Beata w stronę męża. — Tyle razy go prosiłam... Pij sobie pij, a będziesz czerwony.

Widząc, że gospodarz jest przyciśnięty, postanawia pójść za ciosem; niech sytuacja się wyklaruje.

— To przerażające — mówi. — Że ludzie tak łatwo dają dupy... I to nie tylko z wódą; ze wszystkim. Jest gorszy sort...

— Cóż za wytworna polszczyzna! — I to obrazowanie, hm... A la Hłasko?

— Adekwatnie do sytuacji — odpala. A jednak przesadził, nawet Beata spuściła głowę. — No — dodaje — poleć już, bo się zaraz pokłócimy.

— Słuchaj, zdaje się że były jakieś wpadki? — pyta Maćko.

— No, coś tam było — mówi, by wyciągnięta ręka nie spotkała się z pięścią. — Skąd wiesz?

— Brejdek wspominał — odpowiada oględnie slangiem. Będą teraz ostrożni jak dwa jeże.

— Faceta z drobiarskich złapali z „Informatorem”. A przy okazji z dwudziestoma kurczakami w bagażniku. To ci przygłupy, no. Wiceprzewodniczący ichniej Komisji, chyba złodziei!...

Beata i Maciek patrzą zaskoczeni.

— Co ty? — pytają prawie jednocześnie, po czym Maciek patrzy na żonę, jakby chciał wywalczyć prawo głosu, i dorzuca: — I tak o tym opowiadasz?

— A kto ma to robić, o ni? Prawda jest prawdą. Najpierw nieco posprzątają swój gnój. Święci się zrobili; jak kto winien, to tylko czerwony!...

— Kopiesz leżącego — mówi Beata. — Trzeba rozumieć ludzi. Czy wiesz, jakie oni mają zarobki?

— Nie taki on tam leżący... Kuracja wstrząsowa dobrze mu zrobi. No, będą leciał...

Maciek stoi w drzwiach, Andrzej wsiada do windy. Naciska najniższy guziczek, gdy Beata podchodzi do lustra i poprawia ręką włosy. Teraz rzuca okiem na mieszkanie i idzie wypuścić zamknięte w babcynym pokoju dzieci.

Andrzej zdążył już wyjść z bloku i teraz odwraca się, by popatrzeć kontrolnie w ich okna; światła w kuchni gasną, widocznie wszyscy przeszli do pokoju. Idąc na ukos rozmiękłego trawnika (ma tu swoje korekty) zerka co chwila na zegarek; najwidoczniej zaczyna się spieszyć. Przychodzi mu do głowy, że być może oni wszyscy — organicznie zastraszeni

zwolennicy przeciętności i bezruchu — mają rację... bo niby dlaczego miałby być razem po stronie jednego? Zmieniają się czasy i zmieniają się hierarchie, trochę więc głupio i nie w porę wymagać od ludzi trochę więcej albo jeszcze zestawiać sytuację z powstańczą. Przyrównywać nieruchawe towarzystwo do chłopców, którzy ginęli na zesłaniu i w kazamatach? „Może — myśli — naprawdę chcę jedynie wypracować sobie, nie bacząc na śmieszność, a może tym zacieklej, pozę męczennika? Może kieruje mną tylko niedowartościowanie, które — podszywając się pod patriotyzm i temuż podobne kwalifikatory — ukrywa prawdziwą twarz skrzywdzonego przez wszystko i wszystkich biedaka? Mszczę się na innych i wywyższam? Chcę udowodnić sobie i innym, że jestem jednak coś wart? Dobrze by było się dowiedzieć, jakie emocje kierują mną naprawdę i czy to, co robię, nie jest przypadkiem zwierzęcą i dawno przez nich przewidzianą reakcją? Może przydałoby się więcej rozumu, spokojnej kalkulacji, a dopiero potem jakieś ruchy, upór i działanie? Robić to, oczywiście, ale na zimno, jak partie szachów...”

Wchodzi na będącą czymś w rodzaju osiedlowej obwodnicy ścieżkę i jeszcze bardziej przyspiesza kroku; asfalt odmierza mokre, rozchodzące się echem między blokami kłasnienią butów. Nie ma teraz czasu na odpowiedź — widać już okna mieszkania Ilony. Umówił się tu dość lekkomyślnie — jedna z najlepszych skrzynek — ale dzięki temu oszczędzi choć trochę na czasie. Ma być człowiek z Włodaw, szukają kontaktu z Regionem.

Przyszedł punktualnie. Rysopis zgadza się z przekazanym; około czterdziestki, ostre, podkreślone wąsem rysy, zgarbiona sylwetka, gruzliczo zapadnięta pierś — wygląda na bezkompromisowego. Po omówieniu szczegółów organizacyjnych i sytuacji w miasteczku przechodzi do spraw interesujących go najbardziej.

— Wiesz — mówi do Andrzeja — chcielibyśmy wiedzieć, jaki jest stosunek Regionu do kolaborantów.

— No, nie pochwalają, to oczywiste... — odpowiada wyczekująco. Domyśla się już, w którą stronę pójdzie rozmowa.

— Tak, tak, wiadomo, ale co z nimi robić?

— Nie bardzo rozumiem... To, co w innych zakładach: listy, separacja w pracy i bojkot towarzyski.

— Oni się tym nie przejmują — mówi włodawianin macha-

jąc lekceważąco ręką. — Mają własne towarzystwo, nasze im niepotrzebne.

— Aż tak źle?

— Małe miasto to nie Lublin. Wiesz, chcielibyśmy mieć zgodę Regionu na coś więcej.

„Acha, ekstrema... — Andrzej jest już tego pewny. — Wytykali to nam, pismakom, a trzeba było zejść do nich; od razu by zadyndali”.

— Noo — mówi powoli. — Możecie listy z adresami rozlepiać po mieście, na klatce gdzie mieszka, no, ewentualnie pomalować takiemu drzwi... Ale — dodaje — nie ludziom ideowym, tyle tylko że z t a m t e j strony.

— Takich już nie ma; pozostała tylko swołocz i karierowicze. — Zna ich na co dzień, widzi pewnie w warsztacie. Zamyśla się na chwilę, a potem mówi: — A co by Region powiedział, gdyby któryś spadł z drabiny?... W pracy wypadki się zdarzają.

— To absolutnie niedopuszczalne — Andrzej macha ręką, jakby odganiał natrętną myśl. — O ni takich metod wobec nas nie stosują.

— ... tylko gorsze! Więzienia i pobicia to kit?! Mamy siedzieć i patrzeć, jak niszczą najlepszych ludzi?

— Zapytam — mówi Andrzej. — „Mitycznego Regionu...” Ale z góry wiadomo, że etyka „Solidarności”...

— Etyka, etyka! Sytuacja się zmieniła, układ pękł! Jak by paru dostało wpierdol, to reszta zaraz by się uciszyła.

— Mylisz się subtelnie... Zapalisz? — podaje paczkę i zaciągawszy się mocniej, dorzuca: — Na chamów nie ma innej metody, niż siła — gazetki ich nie nawrócą. To są zwykłe bandziory, ty ich nie znasz.

Miał z takimi do czynienia kilka miesięcy temu, gdy niespodziewanie dla niego samego został na jakiś czas przewodniczącym jednej z zakładowych Komisji. Stało się to dzięki prostemu mechanizmowi: na większości zebrań milczał, tylko od czasu do czasu zabierał głos, krytykując i mówiąc bardzo ostro — a im się wydawało, że skoro milczy, notuje i odzywa się z rzadka lecz dosadnie, to musi być bardzo mądry. Przy okazji najbliższych wyborów był już jedynym kandydatem... Zdał sobie wtedy sprawę z ich naiwności — choć wobec siebie nawzajem byli piekielnie podejrzliwi — i postanowił nie dopuszczać nikogo nowego, choć skład Komisji nie był wcale rewelacyjny. Przyszli ci, którzy w pierwszych dniach stycznia mieli na to odwagę — kwalifikacje

to niewielkie — trzeba więc było pracować z takimi; lepsi byli w internie lub więzieniach.

— Nie jestem księdzem — mówi teraz do ekstremisty.  
— Nie będę ci prawić kazań, nie przekreślaj jednak tak definitywnie; pewnemu łotrowi kiedyś przebaczone...

— To było dawno.

— Zgoda, więc poproszę tych z Regionu, żeby o tym napisali.

— No, jeśli oni są tacy księżowscy, to już wiem, co napiszą! Słuchaj, jeszcze jedno... — zawahał się. — Potrzebujemy schematu spluwy; nie mógłbyś zdobyć?

— Oszalałeś?! Po co?

— Zawsze dobrze mieć — i błyska oczyma z radosną nienawiścią.

— Jak masz, to i kusi, a pamiętaj, że oni mają więcej.

— Widzę, że się nie dogadamy — mówi delegat włodawskiej „Solidarności”. — Będziemy w takim razie na własną rękę...

Andrzej czuje, że za chwilę wymknie mu się całkowicie; to, że niełatwo będzie znaleźć ten schemat, stanowi zbyt nikłą pociechę.

— No zgoda — odzywa się, gotów poprowadzić go za rękę aż do samej krawędzi. — Założmy, że macie — i co dalej?

Przybysz uśmiecha się pod wąsem.

— Na zakładzie można zrobić wszystko... Wiem, że w dużych mają.

— Owszem. W Świdniku też mieli, nikt jednak nie użył. To większa sztuka. — „Poglądy rzeczywiście kresowe...”

— No i wybrali ich jak kaczki!

— Tak czy siak by wybrali! Racja jest po naszej stronie — i to już wygrana. Koszta...

— Krew owocuje najlepiej — mówi wschodni maksymalista.

— Twoja czy cudza?

— O mnie się nie musisz martwić — urywa. — Daj go, a reszta to już nie twoja głowa.

— Spokojnie, co się tu obrażać? — tonuje; będzie chyba musiał przyznać mu częściowo rację: to uspokaja. — Zastanów się... Nie mówmy już nawet o przykazaniach... Może rzeczywiście bez krwi się nie obejdzie, tylko nie wiem, czy akurat w ten sposób... Ale — dodaje szybko — to moje prywatne zdanie, nie Regionu.

— Gdyby tak złapać Urbana i go podgłodzić, a potem pokazać, że jednak się nie wyżywił... Na pewno by, gnoje, złagodnieli.

— No, no — śmieje się Andrzej; wreszcie może się uśmiechnąć. — Efektowne pomysły!

— Lub stuknąć kogoś z góry... — rozkręca się już bez krępacji; widocznie ma dobrze podrażnione śliniaki. — Bujak, stary komandos, powinien o tym pogłównkować.

— Jak ty krótko myślisz, no! Na miejsce jednego przyjdzie trzech — i to wcale nie wiadomo, czy nie gorszych!

— Lepszych, bo będą się bać.

Czuje, że potencjał jego cierpliwości jest już na wyczerpaniu: jeszcze chwilę, a połączenia się przepalą.

— Przecież jeśli się zacznie, to o n i wymordują ludzi w domach i zrzucą na „rozgrywki podziemia”! Nie wiesz, że są bezwzględni?! A prowokacje to mają w jednym palcu!

Przybysz milknie przystopowany. „Nareszcie”! Przejeżdża dłonią po chudym policzku i wstaje z rezygnacją:

— No dobrze, powtórzę to ludziom, choć wiem, co powiedzą. Ty jednak zapytaj.

— Zapytam.

Wyszedł z mieszkania w kilkanaście minut po ekstremitacie; szedł nie mogąc odczepić się od podsuniętych mu myśli. W podobne temu dni przestawał wierzyć w jakikolwiek rodzaj postępu; ciągle — i ciągle w ten sam sposób — głową o mur. Przez tyle lat — myślał — powinno się już wykrystalizować coś lepszego niż albo takie skrajności, albo znów, dla odmiany, duch ociężyły i asekurancki. Ci, którzy mogliby i powinni coś zrobić — może gdzieś robią? — siedzą chyba w jakichś podziemnych bunkrach, bo nigdzie i nigdy nie udaje mu się ich spotkać.

Znużył go ten przodownik z Włodawy... a i inni nie okazali się lepsi. Ilu lat trzeba, ażeby — przestawszy wierzyć w czarną magię, zaklęcia i polowania na czarownice — przyjrzeni się samym sobie i zdecydowali wreszcie przeprowadzić, bez uciekania się do pomocy z zewnątrz i bez jakikolwiek uproszczeń, prywatną transmutację? Przechodząc teraz koło na pół martwego drzewa i milczącej o tej porze roku fontanny przypomina sobie niedawne zajścia: żałobne nabożeństwo, czarne stroje i uliczne spacery. Byli wiernym powtórzeniem tamtych, ubranych na czarno spacerowiczów styczniowej insurekcji. Czytał o tym niedawno; mignęły mu

w wyobraźni kolorowe stroje odświętnie ubranych członków resursy, ulicą przesuwawała się policyjna dorożka, w tle błdziły obce mundury, a pod kościołem ni to siedział, ni to leżał utrwalony potem przez nieznanego rysownika bezimienny i obdarty element krajobrazu. Wszystko powracało w tej samej postaci: zmiany sprowadzały się do zakazu ruchu pojazdów konnych i przyznania żebrakowi renty. Amfibie i pędzące z włączonymi sygnałami radiowozy to tylko drobny, techniczny retusz.

„Jeżeli rzeczywiście — myślał Andrzej — istnieje jakaś reinkarnacja i ktoś z naszych przodków wraca w tę odciętą od tętna epoki część świata, to chyba tylko po to, by znów sobie — pod odrobinę inną postacią — podjeść, popić i poczytać „Kurierek...” A później znów wynieść się do jakiegoś tam, jakieś dziesiątej sfery. I tak ciągle...

To musi wyglądać właśnie tak, bo inaczej ludzie nie przepuszczaliby życia tak lekko, ani tym bardziej nie godzili się na byle co i za byle jakie ochłapy. Przystają bez większych protestów — a czasem i z dumą i niewolniczym poczuciem niewolniczej zasługi — na trzydzieści lat pracy w jednym zakładzie, zostawiając tam życie i siły. Tak, jakby instynktownie wiedzieli, że to tylko jedno z wcieleń, po którym — nie przejmujemy się — przyjdzie czas na następne. Bo gdyby nie byli o tym przekonani, to chyba nie dawaliby się tak — jak ślepy perszeron — zajeżdzać.

Popatrz sobie: z wyskakującymi dyskami, głusi od hałasu maszyn, z pozrywanymi mięśniami, krzywym kręgosłupem, pylicą czy czymś tam jeszcze, uśmiechają się blado i odchodzą na emeryturę! Jakby na to lepsze życie, nieustającą majówkę! I umierają tak szybko, jakby im było spieszo t a m, gdzie łągęgując i gawędząc wygrzewać się będą pod słońcem Najwyższej Jasności, przekonani, że kiedyś pojawią się tu znowu. Przecież gdyby byli przeczuwali, że istnieje tylko czarny dół, to nigdy by się na to nie zgodzili! Niemożliwe, aby ktokolwiek dawał się tak ordynarnie — i to nie raz na jakiś czas, co można by jeszcze skwitować od biedy machnięciem ręką, ale na wieczność — wystrychnąć.”

W całkowicie samotne noce czuł, że istoty z ongiś tu żyjących są nadal w pobliżu i — będąc czymś w rodzaju przemienionych w inną, przenikającą najtajniejsze zmysły świadomość, obserwują go i widzą na wylot. Teraz, przecinając na skrót labirynty pustych ulic, czuł tę obecność znowu: one były t a m, wysoko, zagęszczone w niejawnym rezerwuarze nad ciemną

kopułą firmamentu. Ale nie była to owa szara, znana mu doskonale z codziennych spotkań masa. Nie; prawo do dalszego istnienia zyskiwali tylko ci, którzy pokonując banalną normę nadawali swoim losom od nich samych zależny kształt. Z nimi się teraz — wykorzystując już na dobrze towarzyszącą nocnemu zmęczeniu tolerancję — konfrontował i wobec nich czuł się odpowiedzialny.

W miarę zbliżania się do niezgrabnego jak młyn domu polot szybko go opuszcza; fantazja ucieka zapewne do niebotycznego rezerwuaru. Przypomniawszy sobie, że miał być trzy godziny wcześniej, automatycznie zbroi się w złość i milczenie.

Ewa leży na materacu przykryta kocem — drzemie. Słyszając postukiwania otwiera oczy. Wchodzi do kuchni, gdy Andrzej szykuje sobie coś do jedzenia. Wie, że musi zaatakować pierwszy.

— Ewo, czemu nie pościelisz i nie położysz się normalnie? — zaczyna łagodnie i zaraz przyspiesza: — To takie dziadowskie; w czym łazisz, w tym się kładziesz... Nie widzisz tego niechlujstwa?

Natychmiast robi się zła.

— Nie pomyślałeś, że mogłam się zdrzemnąć czekając? Miałaś być o dziewiątej, a zaraz północ! Kiedy się to wreszcie skończy? Już mam po dziurki w nosie!

— Nie wiesz, gdzie byłem? Przecież łajdaczyłem się jak kot w marcu! Ta farba to od tego — i podsuwa jej pod sam nos wczorajsze paznokcie.

Zaspana przycicha; niepewna jeszcze swego kręci się przez chwilę koło kuchni, a teraz wychodzi do łazienki.

„Skończy się, gdy nawet tacy jak ty zrozumieją...” Bierz z półki przywiezioną jeszcze z Niemiec szklaną banię z przegotowaną wodą i sięga po młynek. Ewa wraca z obmytą i bardziej przytomną twarzą.

— Kto cię tam wie... Masz teraz dobrą osłonę, możesz robić, co ci się podoba.

Zna ten argument, kontrę ma w jednym paluszku.

— Nie bój się; jeśli mam w domu wszystko, to nigdzie nie pójdę. I przestań o tym gadać, bo kiedyś zniknę rzeczywiście.

— Nie szantażuj, nie szantażuj... Strachy na Lachy — i przechodząc w łagodzący sylogizm: — Mówiłeś, że nie masz, więc pewnie i szukasz...

— Gdyby tak było, to bym powiedział. Albo odszedł.

Teraz ona nie przegapia; podnosi głowę.

— Dokąd? — śmieje się z nieukrywanym szyderstwem.  
— Dokąd byś poszedł? Na przystanek? Zginąłbyś beze mnie jak śmieć!

Andrzej spina się do skoku. „Dla takich kawałków nie powinienś tu wracać nigdy!”

— Słuchaj, moja droga, za daleko się nie posuwaj, bo pożałujesz... — rozsiana infekcja obejmuje już i poruszcziela, który nie jest teraz w stanie tego dostrzec.

— Co?! Straszysz mnie? — to ona. — Idź w cholerę, będę wreszcie miała spokój!

Zeby jej tylko nie uderzyć.

— Mówię ci — cedzi ze spokojną złością — już w te święta mnie nie będzie. Choćbym miał na dworcu... A ty — bierze drugi oddech i podnosi palec. — Będiesz siedziała tu sama jak koł, ze swoimi głupkami! Nikt tu nie przyjdzie, nikt! Bo taka jesteś!

— Boś wszystkich poprzeganiał! I odczep się od moich, bo twoja familia też nie na pokaz; rozwódki i pijacy! Nikt ci się nie podoba, tylko ty sam! Ty jesteś najlepszy; gwiazda mego życia, kurwa mać!

— Ciszej, do diabła — dzieciaka obudzisz!

— Patrzcie go: troskliwy ojciec się znalazł! Czy ty jeszcze wiesz, jak on wygląda? Kochający tatuś... — przedrzeźnia. — O niego się nie martw.

— Co ty wyrabiasz; po co polewasz płynem, a potem splukujesz? Myśl trochę! Wylej go od razu do zlewu!

— Co to cię, u diabła, obchodzi? — unosi głowę znad sterty talerzy. — To ja sprzątam, nie ty.

— Chłopak jest chory, trzeba do lekarza; tym razem się zajmij!

Jakby nie do niego. Opanował się, przesypuje proszek i przyrządza brązowoczną miksturę.

— Słyszałeś? Chory twój jedyny!

— Zrobisz z niego hipochondryka jak ty! Łapie na chorobę...

Ewa załamuje ręce.

— Boże, co za idiota! Jak z takim gadać?

— Wcale. O duszę trochę dbaj, nie o ciało.

— Ale ty jesteś głupi, no!...

Słyszał to tysiąc razy. Odczuwa już prawie przyjemność, gdy poddani siłom fiksacji, mogą krążyć po doskonale znanych orbitach. Kiedy się pokłóci, jest niemal szczęśliwy; w



domu cisza, spokój, żadnych zbędnych rozmów, każdy robi to, co do niego należy lub przynajmniej nie przeszkadza robić innym. Żadnych pytań, pretensji, tłumaczeń. O wiele łatwiej jest mobilizować się przeciwko komuś, niż za nim iść; jeżeli robi inaczej, to zaraz podejrzewa się o kłamstwo.

Dobroć, życzliwość, poczciwość rozczulają i zmiękcniają, memłają w rozlądle sieci, podczas gdy złość przywraca ludziom i rzeczom wyrazisty kształt; nie ma granic niepewnych, sytuacji kłamanych, powietrze jest czyste jak po burzy. Wszystko dlatego, że prawie nie wierzy w dobroć bezinteresowną; wierzy w bezinteresowne zło.

Pukanie do drzwi — wchodzi Krystyna, jej siostra; twarz, jak zawsze, upozowana na zmęczoną. „Ach, z tym interesem... Nie ma to, jak się ślizgać”.

— Cześć, cześć — odpowiada. Ewa milczy. — Usiądź, rodzinne piekielko dobrze ci zrobi.

Krystyna przeciera dłonią czoło i mówi słabym głosem:

— Nie, idę... Jestem padnięta — i przykuca na brzegu krzesła. — Ewa, masz trochę maku?

Ewa opłukuje ręce, a potem zmienia zamiar.

— Weź, w szafce nad tobą. W czerwonym pojemniku.

— Czy wy się ciągle musicie kłócić? — pyta odwrócona plecami. — I to zawsze w nocy, cały dom słucha.

— Wcześniej go nie ma — strzela Ewa, ale zbyt jest zła, by zauważyć, że mówi dowcip.

— Słuchaj, Andrzejku — Krystyna przechodzi do istoty sprawy. — Nie mógłbyś mi załatwić vigantolu? Ten mały tak mi się poci... — i wzdycha jak zmartwiona.

— W darach nie ma?

— Ani tam, ani w parafii. Jurek prosił kogoś, kto ma dojścia, by załatwił w kurii, ale ponoć też się skończył.

— Tak, wiem. Słyszałem, że Szef ma...

— Jaki szef?

— No Ten, na górze... Nie macie tam dojścia?

Krystyna milczy: nie wiadomo czy udaje, czy rzeczywiście nie rozumiała. Andrzej normalizuje:

— Mogę spróbować w Warszawie, jednak nic pewnego.

— A będziesz niedługo?

— Jutro.

— Wyjeżdżasz? — Ewa zatrzymuje się z talerzem w rękę. — Jutro po południu mam pomagać rodzicom; Piotrek znów będzie się włóczył jak bezpański pies! Zawsze dowiaduję się ostatnia!

— A ja przed.

Krystyna, widząc że sprawy stoją niepewnie, zmienia front.

— Andrzej, co to są za paczki w piwnicy?

— Neutronowa w kawalkach; w wolną sobotę będę skręcał.

Krystyna czerwienieje; Teraz już wszyscy kiszą się we własnej złości.

— Jak chcesz, to trzymaj u siebie w pokoju, a nie narażaj wszystkich. Przecież wiesz, że dom jest trefny.

— Nie bój się, nie bój, biorę to na siebie. To byście się dopiero zmartwili, co? Vigantolu by nie było...

Patrzy na niego zwięzonymi z wściekłości oczyma.

— Możesz narażać siebie, jeśli ci spieszo do pudła, ale nie całą rodzinę!

— Boisz się o ojca bimbrownię, co? Wszyscyście dobrzy: dbać o swoje dupy i udawać gierojów umiecie doskonale, ale jak trzeba coś zrobić, to nie ma nikogo!

— Wiesz co? — dziewczyna jest podrażniona, jakby poruszył w niej z cztery żywioły. — Z tobą w ogóle nie ma sensu rozmawiać!

— Z tobą dopiero!... Wiesz, powiem ci coś: spotkałem wczoraj Jurka na obrzeżach placu, gdy szliśmy z wieńcem, na samym zadupiu. „Stąd będzie dobrze uciekać, gdy się zacznie chryja” — objaśnił. „Chryja!...” A jeszcze wcześniej, na początku wojny, potrzebny był samochód dla Majki i Beaty, do więzienia — przecież nie mogły wlec się maluchami autobusem. Za dziesięć tysięcy, nie za darmo. Wiesz, co mi powiedział? A benzynę dostałby swoją drogą... Więc mi odpalił, że „tych niedziel jest teraz tak mało...” i że chciałby „pobyć z rodziną...” Mało niedziel mu się, kurwa, zrobiło! A gdy ten czerwony syf minie, to już widzę, ilu się ujawni bohaterów!

Słodzi kawę i chce wyjść: Krystyna jest szybsza; wyslizguje się z przedpokoju z czerwonym pojemnikiem w rękę.

— Niech wie! Niech raz na zawsze się dowiedzą, że widzę i słyszę! — mówi ni to do siebie, ni do Ewy. Ta patrzy na niego podwójnie zaskoczona: przesterowaną agresją i faktami.

— To z samochodem to prawda?

— Pewnie.

— Nic nie mówiłeś... Przyrąbałeś jej przy samej dupie. Macha ręką.

— Głupie gnidy. Wiedziałem, że przyjdzie, wcale nie po mak. Słyszałem wczoraj, jak mówiła do Jurka, że „trzeba będzie naciągnąć Andrzeja na wigantol...” Ciągle tylko te „wejścia”, „znajomości” i „naciągania”, konformiści pieprzeni!

Ewa milczy. Andrzej wysypuje pety do kosza, myje popielniczkę i sięga po kubek; śmieci wypadają już brzegami. Idzie po schodach ostrożnie, by się nie wysypało.

Te na dworze też przeładowane. Upycha odpadki w dwóch pojemnikach, szuka zapalek, a teraz patrzy jak leżący na wierzchu papier zajmuje się szybkim ogniem. Krótki fajerwerk i wszystko przygasa; wilgotna reszta tli się małymi płomykami, bardziej smrodząc niż pomniejszając wystającą powyżej skraju stertę.

Wraca; Ewa zamyka właśnie lufcik.

— Musiałeś to robić na świętą noc?

— Śmierdziało jak końskie łajno.

— I tak śmierdzi — odpowiada sentencjonalnie.

Andrzej wzrusza ramionami i uśmiecha się pojednawczo.

— Kłudzisz się już? — pyta.

— Nie — odpowiada zaskoczona takimi zainteresowaniami. — Gdzie jest ta książka?

— W gabinecie, przy radiu.

Przechodzą do pracowni razem, Ewa pierwsza; otwiera drzwi. Na progu odwraca się i rzuca mu szybkie, badawcze spojrzenie. Andrzej nie potrafi powstrzymać się od śmiechu; wykręca się szybko plecami i dokładnie zamyka drzwi.

— To normalne — mówi Ewa. — Przecież masz zajęte ręce... — i wzrusza ramionami, by skasować jego reakcję. — We wszystkim się czegoś dopatrujesz. Musisz jechać jutro? — przeskakuje jeszcze raz.

— Muszę. Naprawdę. — Kładzie szpargały na półkę, stawia filiżankę, a chlebak przewiesza przez oparcie fotela.

— Nie powiedziałem ci wcześniej — tłumaczy się — bo sam nie wiedziałem. Po południu przyjedzie Marek, zabierze to z piwnicy — będziesz?

— Uhm.

— Trafiłem wczoraj Demarczyk i książkę dla Piotrka. Pamiętałem o Marcinie, ale dawali po jednej.

Ewa przysuwa taboret i patrząc przepraszająco przysiadła na nim na chwilę. Widzi to i robi mu się głupio; siedzi tu koło niego jak gotowe poddać się woli pana zwierzątko: poniżona kobiecość. Udaje, że nie zauważył jej psiego wzroku.

— Co to za książka? — pyta go, zanim nitka znów pęknie.

— Do francuskiego, z płytą. Ucz go, gdy mnie nie będzie — odzywa się głupkowato; niechący stworzył szansę łatwej przeciwwreakcji.

— Przestań, proszę; straszysz, jakbyś chciał tego na prawdę. — Kładzie mu dłoń na ramieniu, nieśmiało i sztucznie, jak gdyby bojąc się, że zaraz ją straci. On jednak przegina szyję i niemal odruchowo przyciska ją policzkiem.

— Czasem myślę — mówi — że tak byłoby najlepiej. Mielibyście więcej spokoju.

— Chyba chcesz mnie zdenerwować... — mówi wiedząc, że poza konwencjonalne zwroty lepiej się nie wychylać; dalej rozciąga się pole najeżone minami jak szkłem.

Andrzej nie odpowiada. Obraca się na fotelu i wahając się jeszcze opiera głowę między jej piersiami.

Przychodzi mu z pomocą; tuli go i zaczyna całować po włosach. Nie chce, by i ten wieczór skończył się scysją. Andrzej czuje, że nie może się już wykręcić — to byłoby gorsze, niż pobicie. Obejmuje ją w pół i przeniósłszy z fotela na materac chowa twarz w jej włosach. Ułatwia mu: gasi światło. Leżą bez ruchu czekając, aż uda im się zebrać choć trochę niezbędnej czułości.

Ukryty przed jej wzrokiem obserwuje wzrastającą w sobie tkliwość, ale zatwardziały upór, z którym żyje od lat, nie opuszcza go nawet w tej chwili. Na pół rozmiękczony, a na pół zacięty gładzi jej kruche ramiona, nastroszone piersi i brzuch ze śladem operacji. Może zamknąć oczy: zna to ciało na pamięć — jest jego, mimo wszystko jego, jak niewiele rzeczy na tej ziemi. Pieści jej uda, ciągle niezdecydowany, nieśpieszny, pozwalający by i ona zobaczyła ten smutek — jedyne uczucie, które potrafią jeszcze między sobą wytwarzać. Ewa, jakby nagle stała się większa, obejmuje go całego, dziwnie bezbronnego i uległego, otacza i topi w sobie chcąc odczuć, że jest przy niej i w niej — na pewno i na zawsze. Ktoś każe jej zapomnieć pretensje i żale i trwać wbrew wszystkiemu — jakby decyzja zapadła gdzieś dalej, poza nimi.

Placz dziecka: zastygają na moment nasłuchując, czy się powtórzy. Słyszą niewyraźne słowa, a teraz już dokładnie wołanie. Ewa wstaje, błyska światłem i narzuciwszy jego szlafrok wychodzi. Andrzej czeka: w głowie ma pustkę jak po całodziennym oglądaniu telewizji, ale ona wraca na szczęście bardzo szybko.

— Co mu było?

— Śniło mu się chyba coś... Łyknął picia i zasnął. Po tych bańkach ciągle się czegoś boi.

Leżą obok siebie w milczeniu; słowa z dawnych taśm już zdezcelowane, a nowe nie chcą przejść przez gardło (po co zwiększać ból?). Magia zwietrzała; Andrzej uświadamia sobie nagle, że będą to robić z coraz bardziej zapiekłym wysiłkiem, nawet bez zwykłego popędu; tylko determinacja. „Jeszcze trochę, a będzie trzeba sprowadzić belladonnę...” Wyciąga ku niej dłoń i kładzie na piersi — kopuła jest chłodna i daleka. Drugą obejmuje jej głowę i przyciska do siebie: przysuwa się posłusznie jak piłka i nieruchomieje przy torsie. Przyciąga mocniej — nic.

Leżą teraz bez ruchu.

Teraz ona kładzie rękę na jego boku, ale tak, jak by opierała drąg o parkan; dotyka go na niewielkiej powierzchni tworząc coś na kształt dźwigni, na której końcu zwisa luźna i niepotrzebna dłoń. Próbuje odpowiedzi: wsunawszy kolano między uda czuje nareszcie, że drgnęła. Przesuwa dłonią po plecach — trzeba działać póki są oznaki życia — tam jednak nic się dzieje. Zmienia miejsce, przesuwając pod pośladki — i uda drgają jak pod elektrowstrząsem. Reszta ciała jest jednak nieruchoma. Andrzej zdaje sobie sprawę, że nie był to nawet odruch warunkowy, tylko rytmiczne napinanie mięśni, gdy przypomniała sobie, że powinno się tak robić. Czuje, że dłoń zwija mu się w piąstkę jak oparzona; otwiera jeszcze usta ale milczy — nie słychać nawet ich rybich oddechów, jakby rzeczywiście popadali w hibernację, a resztki ciepła ulatywały z ich ciał.

Odsuwa się. Cofa powoli, na raty, wpierw kolano, potem jedną rękę i drugą.

Spróbuj jeszcze raz. No, daj coś z siebie, daj chociaż ciału — już nic nie mów, nie szukaj żadnych usprawiedliwień. Nasyćcie chociaż ciała, by móc potem — za chwilę ze ściśniętym gardłem — zasnąć jakby nigdy nic. Dotknij o tak, po skórze, ot, żalosne wymogi paru zwykłych ruchów — przecież ono nie jest winne!...

A potem spać, spać, spać... a jutro udawać, że nic się nie stało — taki tam epizod bez konsekwencji. Niech już tak będzie, zgoda, tylko teraz wyduś coś z siebie, no, błagam, zrób!

Pustka. Cisza.

Nic.

Leżą jak w mauzoleum czekając, aż ubiegające minuty przetrą sklepienie kłęski; wtedy będzie można wstać.

— Poszedł spać bez oporów? — odzywa się pierwszy.  
— Tak, ale ciągle się rozkopuje. Jak będziesz siedział, to zagłądaj do niego, dobrze?

— Robię to zawsze.

Podnosi się nie zapalając światła i idzie do łazienki. Myje ręce — długo, by dać jej czas na doprowadzenie się do normy. Wraca: Ewa siedzi ubrana i zajęta przeglądaniem książki.

— No to już nieźle się wyrabia — mówi nie podnosząc głowy.

— Jeśli myślisz, że rozmowa coś załatwi...

— Ja o tym — i wskazuje wzrokiem na otwarty tom.

— Ach tak — czerwieni się, przyłapany. — Rozmawiał już z Mikulinem?

— Tak; jest w Szwajcarii, po spotkaniu z siostrą. Wiesz — zaczyna z ociąganiem. — Nie gniewaj się...

— Zostaw to, dobrze?

— Chciałam ci powiedzieć, że masz jednak dużo szczęścia.

— Tak? A specjalnie w czym?

— No... To, że do tej pory nie wpadłeś. Rozmawialiśmy z Jurkiem, że to aż... podejrzone.

— Z książką ci się skojarzyło? Hm, bardzo krzepiące rzeczy mówisz. Po dziesięciu latach mogłabyś znać mnie lepiej.

— Wiedziałam, że się obrazisz.

— I to ma być niby ta znajomość? — Przygląda się wypadającemu spomiędzy kołnierza podomki, błyszczącemu jak małe nasionko nadziei krzyżykowi. Gdy w którejś z kłótni pokpiwał z magicznych asekuracji niewierzącej, odpowiedziała: „Ty niby wierzysz, a ja go dźwigam; socjalistyczny podział pracy.”

— Nie chcę cię urazić, ale patrz — odreagowuje Ewa niedawną klęskę. — Ponad dwa lata ci się udaje, inni już dawno siedzą. Z Regionu też wyszedłeś na pięć przed dwunastą, jakbyś wiedział... A resztę schwytano.

— No, niezupełnie; przedtem wyszła dziewczyna, a potem jeszcze ktoś dachami.

— Ale ty byłeś ubrany...

— Mam to znowu tłumaczyć? Mówiłem ci, że dla mnie było jasne co się dzieje, a oni byli pewni swego: „Nie ruszą nas, jest nas dziesięć milionów”!...

— Ze Świdnika też ci się udało, choć byłeś w Komitecie. Wieśka i Krzyśka zamknęli.

— Wiesz, nie mam ochoty odpowiadać... Może powinienem zgłosić się sam, co? Ich znano, a ja byłem jeszcze nowy — łapano na gębę, nie na dowód. Skończmy już z tym, dobrze? Może to nawet niezły hazard — dodaje po chwili — ale nie odpowiada mi ten typ dwulicowości...

— Tylko?... No, dokończ.

— Inny razem.

— W końcu praca jak każda.

— Właśnie że niezupełnie. Naprawdę kiedy indziej, zgoda? Teraz... teraz ja cię zapytam: jaka jest różnica między ironią sokratejską, a Don Juana?

Ewa zastyga bez ruchu. Wreszcie odzyskuje głos.

— Ależ ty jesteś menda, no! Specjalista od poniżania!... Jeśli ugotujesz za mnie obiad, to ci wtedy odpowiem.

Wstaje trzymając w ręku na pół otwarty egzemplarz: wskazujący palec służy za zakładkę. Jest już przy drzwiach.

— Idziesz? — pyta Andrzej odrobinę skruszonym głosem; Ewa wyłapuje tę nutkę i odpowiada jakby nic się nie stało:

— Poczytam jeszcze trochę. Nie siedź za długo.

Zamyka delikatnie drzwi; uchylają się na powrót, więc, posławszy mu przez szczelinę uśmiech, domyka jeszcze raz, tym razem już hermetycznie. Andrzej siada w fotelu, sięga po notatnik i odkręca pióro.

„Jesteśmy szarym mrowiem, plemieniem ze złamanymi spojrzeniami, zdeformowaną twarzą i chorobliwie podkrążonymi oczyma... ale przecież żyjemy — i żyjemy tak od lat, przyzwyczajając się, zrastając z drugą powłoką, traktując ją jak naturalną. Nie ma w nas wzlotów i upadków, życie dawno utraciło jakąkolwiek barwę, radość i śmiech — i jest tylko mozolne przeżuwanie dni, posuwanie się krętym korytarzem ślepego kreta. Skarlenie myśli jest naszym udziałem, popiół naszym powietrzem, lęk i obojętność strawą.

Obraz kraju widziany z zagranicy był historyczny: pamiętam relacje ARD ze strajków, dziwne nabożeństwa na stadionach, misteria iście średniowieczne, chłopca który od kilku lat konstruuje dostosowany do górskich warunków ciągnik, blokadę ronda w Warszawie, czy wreszcie fragmenty baletu z muzyką Bairda... Wyglądało na to, że w Polsce wszystko stało się chorobliwe, niewiarygodnie wykrzywione, rozhuśtane jak w koszmarnym śnie. „*Sie sind immer hochdra-*

*matisch...*” — mówili mi na każdym kroku ci nawykli od wieków do realizmu. Ale i ja sam widziałem z tamtej perspektywy nasze zachowania jako niezrozumiałe, kosmicznie wyuzdane grymasy... i tylko próbowałem tłumaczyć, że naród wsadzony na dwieście lat w inkubator nienormalnych warunków nie może być inny, jeśli nie pogodził się jeszcze z niewolą.

A potem powróciłem do kraju i zobaczyłem go jeszcze inaczej: owszem, dramatyczne dni grudniowe, dramaty na ulicach, w fabrykach, obozach internowania i koszarach, ale — powiedzmy to sobie — jak na prowincję azjatyckiego imperium, to bardzo mało krwi... i zaledwie kilka trupów!...

Poza tym wszystko toczy się zwykłymi koleinami: zakupy, drobna krzątania, chodzenie do pracy, kobiety jak zawsze rodzą dzieci, dozorczy odśnieżają czasem ulice. Niebo nad nami też nie zmieniło barwy, orbity planet są nadal kolisty, konfiguracje błyszczących nad firmamentem gwiazd zachowują prawo, porządek i sens. Tylko tu, na dole, codzienny strach, który — jak brudny kurz — osiada niezauważalnie na naszych ubraniach i zmiętej skórze, poszarza je i niszczy.

Ktoś patrzy na mnie spokojnym, wielkim okiem, obserwuje i uśmiecha się, czasem się zamyśla albo zasmuca — i ten Ktoś wie o mnie wszystko, zna mnie lepiej, niż ja sam. Widzi, do czego to zmierza, gdy ja, zamknięty w cielesnej retorcji, kręcę się i taplam z coraz bardziej lepkiemi łapkami. Wiem to, lecz lenistwo odsuwa moment decyzji podszeptując: „Jeszcze nie teraz, jeszcze sobie troszeczkę pofolguj”. Więc odkładam na „potem”, jakbym nie wiedział, że „potem” będzie niemożliwe.

„Wstań, weź łoże swoje i idź!” — ćwiczę ten zwrot jak aktor za kulisami, twierdzący, że moment wejścia jeszcze nie nadszedł. Żartuj tak sobie dalej, żartuj”.

#### IV

Budzi się, zanim zdąży zadzwonić dzwonek — jest kwadrans po czwartej. Przyciska guzik by mieć pewność, że zegarek się nie odezwie i zaczyna delikatnie odsuwać się od Ewy: nie chce, by się ocknęła. Mogę sobie wyobrazić, że właśnie maca stopą dywan szukając w ciemności pantofli; nie



znalazł, więc teraz przesuwają się po omacku przez sypialnię i zapala w przedpokoju światło. Słaby blask przedostaje się przez zasłony, dając poznać postronnemu obserwatorowi, że w tym domu zaczął się już dzień.

Jajecznica zajmuje najmniej czasu; rzuca na patelnię kilka platków kielbasy, włącza małą gaz, nastawia wodę i człapie do łazienki. Powrót: woda gotuje się jak na twardo, wypuszczając przez dzióbek biały pióropusz pary. Rozbija ją wstuchując się w skwierczenie tłuszczu, a teraz — odwróciwszy talerzyk do góry dnem — stawia na nim patelnię. Ewa, jakby obudzona zapachem podsmażanej wędliny, przechodzi z sypialni do łazienki — nieprzytomna, lunatyczna. Andrzej je szybko, przeglądając jednocześnie sporządzony w nocy spis spraw do załatwienia.

Stuknęły drzwi łazienki: teraz widzi, jak zasnana wchodzi do dziecięcego pokoiku. Czuje się winny, że sam nie zajrzał przedtem, więc w panice przygotowuje się na drobne kłamstewko — przecież mógł rozkopać się powtórnie. Ale Ewa, z poklejonymi snem oczyma, uśmiecha się jedynie blado i znika za drzwiami jak zjawą.

Jest gotów. Teraz tylko włożyć buty i kurtkę, pocałować Ewę i złapać taksówkę — co o tej porze będzie nie lada sztuką. Wchodzi do ciemnego pokoju i pochyla się nad materacem: Ewa porusza się wyczuwszy jego obecność.

— Jedziesz? — odwraca głowę.

— Tak — odpowiada przeproszającym tonem: wolałby zęgnąć się ze śpiącą. — Nigdy nie wstałem tak wcześniej z ideowych pobudek... — puszcza na próbę wysilony żart.

— Ciekawe, czy do dziecka będziesz tak wstawać — kontruje Ewa, jakby nawet teraz chciała coś wywalczyć.

— Masz, babo, placek! — śmieje się, kręcąc z zadowoleniem głową; jej przesada usprawiedliwia jego nieodpowiedzialność. — Wrócę tym o dwudziestej trzeciej. „Środek nocy, nienarodzone nie ma jeszcze dwóch miesięcy, a ta już zaprogramowana; sens życia ma zrobiony. A swoją drogą to chyba drugi przypadek dzieworódtwa...”

Taksówka znajduje się jak na zawołanie, kierowca mówi coś o pierwszym kursie — najwyraźniej też chce się rozbudzić. Miasto podnosi się ze snu, wstając do niewidocznego jeszcze, pogrążonego w mroku życia. Na przystankach zbierają się pierwsze grupki ludzi, światła autobusów krążą tam i z powrotem, pojazdy są jeszcze luźnawe, nie zapchane do ostatniego miejsca. Za kilkanaście minut — zna to z czasów,

gdy sam pracował w jakiejś firmie — blaszane pudła będą już nabite ludźmi jak sardynkami. Stojący na schodach mają wtedy gładko sprasowane dopchanymi na siłę drzwiami plecy: draperie kurtek i płaszczy mogłyby służyć do ćwiczeń w rysunku. W latach studiów dziwił się, jak można krążyć tak przez całe życie, ale sam też przywykł bardzo szybko. Wsiadał zresztą na jednym z pierwszych przystanków i prawie zawsze miał pozwalające na kilkuminutową drzemkę miejsce. To, że ktoś stał z boku, zobojeźniało mu wcześniej, niż mógłby sądzić.

Są przy bloku; zostawia taksówkarzowi pięćsetkę i prosząc o poczekanie wbiega schodami na przedostatnie piętro. Przez betonowe ściany budynku przenikają już pierwsze odgłosy życia — stukają drzwi, szumi woda, zapalają się coraz to nowe światła. Odczytuje dla pewności wizytówkę (pomyłka o tej porze wyglądałaby co najmniej dziwnie) i dzwoni. Nic, cisza. Czeką więc chwilę i naciska wyłącznik po raz drugi; teraz słyszy szuranie nóg, a za chwilę chrobot klucza w zamku. Marian w górnej części piżamy i granatowych spodenkach sportowca uchyla drzwi; snop światła z klatki schodowej pada ukosem na olejną lamperię. W miarę otwierania drzwi proporcje czerni i oświetlonego seledynu zmieniają się; światło pada także na linoleum, ukazując brązowobiałe mazaki. Krawędź drzwi przecina gospodarza na dwie symetryczne części: pierwsza z nich wychyla się na zewnątrz — bez okularów, zaspana, stoi w mroku i przeciera oczy.

— Ach, to ty... — odsuwa się i wpuszcza go do środka. Andrzej powstrzymuje oddech; zaduch nocy wsącza się powoli przez nos i zapęlnia płuca. — Poczekaj, zaraz ci dam — mówi Marian szeptem i oświetliwszy mieszkanie padającym z kuchni światłem znika w sypialni. Andrzej po raz pierwszy widzi go w domowych pieleszach, prosto z betów, na chudych i pokrytych żyłakami nogach. Na zebraniach jest bardzo oficjalny i do tego wypomadowany, okulary i spokojna twarz dodają mu powagi: spotkany na ulicy nigdy nie wygląda na robotnika.

Słyszy, jak stukają drzwiczki barku, chrzęści klucz, ktoś pyta o coś, brzęczą obudzone kieliszki; wreszcie Marian ukazuje się na powrót. Idzie na palcach i z napiętą twarzą, jakby jej wyrazem chciał uciszyć niepożądane szmery. Przeliczają szybko przekładając z ręki do ręki; sześćdziesiąt tysięcy piątkami, zgadza się.

— Byłeś u Wojtka? — pyta cicho Marian. Ten zawsze

podejrzliwy; czasem traktuje Andrzeja wręcz jak ubeka.

— Tak, wczoraj wieczorem — odpowiada chowając pieniądze do portfela. — Wziąłem piętnaście, więcej w domu nie miał.

— Powiedz mu, że zostawiłem dziesięć na potrzeby wydziału.

Andrzej kiwa głową podając przez próg rękę. Marian zatrzymuje ją na chwilę i dorzuca:

— Tylko uważaj. Nie wiem, czy to dobry pomysł. Coś mi się w tej sprawie nie zgadza...

— Kurczę — mówi Andrzej udając, że nie rozumiał. — Wy to byście kisili na kupce i w ogóle nie obracali! A ona codziennie traci wartość — więc po co? Przecież to czysty zysk; mam ci od nowa tłumaczyć?

Marian patrzy z rezerwą. Andrzej nie ma zamiaru przekonywać go w tej chwili, że gdyby coś było nie tak, to od dwóch lat by już siedzieli. Dodaje tylko:

— To musi działać na ekonomicznych zasadach, inaczej długo nie pociągniemy.

Teraz dopiero puszcza mu dłoń: uwolnioną podnosi w górę i rozszczepia palce w „króliczka”.

Zbiega szybko po schodach. Zabawił zbyt długo, a w dodatku słyszy za sobą czyjeś kroki — pewnie ktoś na pierwszą zmianę, lepiej jednak, by go nie zobaczył.

Wystarczył moment, aby odżyły w nim dawne niechęci: ten puszący się milczek ma poczucie, że odgrywa ważną rolę, choć tak naprawdę siedzi tylko jak kwoka, podejrzewa i się boi. „Ale — dodaje chcąc go trochę usprawiedliwić — może właśnie taki powinien być księgowy; stosownie ograniczony, a nie poeta...”

Taksówkarz czeka na swoim miejscu: ruszają w pełne już ludzi i pojazdów miasto. Światła na skrzyżowaniach przełączono już z ostrzegawczych na normalne, kilka więc razy muszą wyhamować i przepuszczać ciemne strumienie pieszych. Andrzej patrzy na zegarek; pięć po wpół do szóstej, ponad godzina do odjazdu pociągu, mógłby więc zaryzykować podróż autostopem, jeśli się uda, to będzie o wiele szybciej. Prosi zdziwionego nieco kierowcę, by jechał znów na rogatkę.

Tu dwóch mężczyzn — jeden do Kurowa, drugi mówi, że do Garwolina. Mają szczęście: po kilku minutach zatrzymuje się koło nich „żuk” i zabiera wszystkich.

W środku siedzą jakieś dwie dziewczyny, zaspane i wymi-

zerowane: drzemią wsparłszy się o siebie ramionami. Trójka zajmuje wolne miejsca; jadą milcząc, na rozmowy za wcześnie.

Andrzej zasypia prawie natychmiast. Budzą go dopiero pogaduszki dziewczyn, a jeszcze bardziej niezauważalny przedtem hałas blaszanego samochodu. Dziewczyny wyglądają jak niedobite (są chyba trochę wstawione); światło dnia wydobyło na jaw oklapłe fryzury i pogniecione ubrania. Śmieją się z byle czego, dojadając resztki swojskiej kielbasy i kawałki rozduśzonego jak one same ciasta — radosne i skacowane po trzydniowym weselu. Patrzy na nie i uśmiecha się pobłażliwie: ich młodość przebija przez tandetę otoczenia i ubrań, na powrót nadając skórze kolor mleka i krwi; mają nie więcej niż po osiemnaście lat.

Rozwidnia się coraz szybciej i pokryte cienkimi płatami śniegu pola wynurzają się z mroku; wyświechtana wiatrem ziemia ścięta jest martwą nieruchomością grudniowego poranka. Wrony, przyzwyczajone do obecności samochodów, siedzą na przydrożnych drzewach czekając na każdy wyrzucony z okna drobiazg. Zlatują do niedopałków czy papieru po kanapce i potem — zawiedzione — stukają dziobami o asfalt i wracają na gałęzie. Od porozrzucanych na polach chałup idą ku szosie ludzie — każdy do swych niby-zajęć, w niby-zakładzie, do kłecenia i klepania, zakupów taszczonech potem jak trofea do czerwonoceglastych domków. Codzienny kręciek przyniesie im małe radości: dumę z zaradnego załatwienia sprawy, kawałek mięsa, butelkę soku dla dziecka czy parę wystanych w kolejce rajstop.

— Podrap trochę wyżej — wrywa go z zadumy głos jednej z dziewczyn; druga z rozmachem czochna ją po plecach. — Ten Wszchemocny niezbyt się popisał — mówi drapaną. — Nie można sięgnąć.

— Może chciał dać do zrozumienia, że zawsze potrzeba drugiego? — śmieje się usłużna.

„Rezolutne panienki... — myśli Andrzej. — A nie wyglądają.” I próbując włączyć się w ich dowcipy, dodaje już na głos:

— A może to dowód na korzyść Darwina?

— Proszę mówić za siebie — replikuje panienka i porozumiewawczo patrzy na koleżankę.

Ma za swoje; czasem, szczególnie z młodymi kobietami, chce przez grzeczność uchodzić za dowcipniejszego, niż jest. Przygryza wargi próbując utrzymać uśmiechnięty wyraz oczu

dopóki, zaspany, nie znajdzie odpowiedzi. Nie tak dawno kontrował w prawie identyczny sposób — i też przy wzajemnych zabiegach — Ewę; wtedy ona nie zdążyła z replikami.

— Słyszysz mnie pan? — zaczepia go dziewczyna. — Pan reaguje?

— Tak, ale tylko na ciepło — wreszcie coś wymyślił.

Dziewczyny patrzą po sobie i nagle wybuchają śmiechem.

— My jesteśmy dziś wyjątkowo wypromieniowane... Jak dwa ledwozipki!...

— Jeśli będzie paniom groziła śmierć ciepła, to proszę powiedzieć — poprawia jeszcze raz, już na remisowo.

Wraca myślami do Ewy. Małżonkowie, przyzwyczajając się do siebie, brzydą jednocześnie i prawie niezauważalnie — myśli. To tak, jak z kłamstwem czy innymi grzechami; jeżeli kobieta starzeje się sama, to rzadko kiedy jest później w stanie zaakceptować obcego mężczyznę: cała fizyczna brzydota objawia się za jednym razem, więc ona nie chce tych uwiedłych skór, zgrabiących rąk, żyłaków w nogawkach. Ale powoli, rozłożywszy brzydotę na wieloletnie raty, kupują to obydwójce. „Młode dziewczyny, takie jak te tutaj, zmieniają się w małżonki, potem w matki, ich ciała rozprzegają się pomalutku, wylazi z nich cała zwierzęcość, a ci ich mężowie ściskają je, całują, a nawet spółkują — mimo wykrzywień, hemoroidów i prześlaczości...” — wysnuwa ze swego ukrycia prawie wcale naukowe wnioski. Podobnie zdarza mu się oceniać i inne sprawy; nie zauważa, że nie jest w stanie przyjąć innego punktu widzenia; zapędzony w jednym kierunku akceptuje prawie wyłącznie to, co nie może popsuć mu teorii. Nie pomyśli na przykład, że ci ludzie z pół, cieszący się z każdej tandety, mogą zgadzać się na wejście w morze codziennych trosk przez odpowiedzialność wobec jednej nawet osoby, o którą lęk nie musi być jednoznaczny z obawą przed nadmiernymi kosztami oporu — tym bardziej zaś nie jest rezygnacją czy zgodą na prowadzone życie. Pod spodem buzuje w nich często jak w średniowiecznym alembiku i nigdy nie będzie z nich żadnej czerwonej tynktury, wręcz odwrotnie; prędzej czy później może to dać nowy rodzaj odpornego na wymyślne metody zatruwania osobnika.

Niewykluczone, że Andrzej sam zrozumiałby to wszystko po jakimś czasie — gdyby dane mu było doczekać prawdziwie męskiego wieku. Może nawet posiadałby arkana

niedostępnej dla innych wiedzy — i sam powiedział nam wiele z tego, czego jeszcze i dziś nie rozumiemy. Niespokojne, hodowane jak on duchy, spalają się zazwyczaj we własnym ogniu lub giną w inny sposób, przez nikogo do końca nie zrozumiane, jeśli jednak przejdą wybrane przez nich samych ograniczenia i poddadzą się dobrowolnie przyjętej próbie, wtedy nabierają siły i wytrwałości olbrzymów. Mógł osiągnąć nadzwyczajne rzeczy i pokonać największego z siedzących w nim wrogów, miał bowiem w sobie wycucie wielu zagadnień i spraw, których nie musiałby się od nikogo uczyć: wystarczyłoby mu pozwolenie na spokojną hodowlę i pielęgnację sił, zamiarów i czynów.

Pudełko samochodu wjeżdża już na ulice Warszawy; chudy jak muzulmanin kierowca nastawił głośniejsze kołyszki się w takt rozbrzmiewającej muzyki.

Dochodzi ósma, gdy wraz z kierującymi się do innego przejścia dziewczynami wysiada na placu przed prawie niewidocznym przez mgłę „Centralnym”. Ma półtorej godziny nadrobki: może spokojnie coś zjeść, wypić kawę i obmyślić kolejność załatwiania. Zbiega schodami do podziemia sprawdzając po drodze, czy portfel z gotówką jest na swoim miejscu.

Ale kawiarnia zamknięta — remont. Wraca więc wytrącony z rytmu na górę i znów jest na placu: nieopodal sterczy — jak olbrzymi przycisk na biurku imperatora — niechciany pałac niechcianej kultury.

Dojeżdżali do szosy siedleckiej, gdy na rogatce pojawił się żołnierz i dając znaki chorągiewką zatrzymał ich na poboczu. Chudy kierowca wykorzystawszy przerwę na zapalenie papierosa, nie mógł powstrzymać się od komentarza:

— Pewnie pojedzie ruski generał... — I wypuszczając głęboko wciągnięty dym dodał ciszej: — W polskim mundurze.

Przypomina to sobie teraz, ale przez odrazę do przesady i chęć ignorowania obecności hosudara nie chciałby w ogóle o tym myśleć. Wykrzywia z niesmakiem usta: wszędzie ślady okupantów, abyś ani przez chwilę nie zapomniał gdzie jesteś i kim jesteś. W domu, języku, na ulicy i w głowie — są tu jak u siebie; to ty jesteś obcy, nie mający nic do powiedzenia i nieważny — obywatel podbitego kraju.

Znów odzywa się w nim pragnienie wyboru życia podobnego temu o jakim przeczytał w notatce dotyczącej zaszytego w środku Moskwy Rosjanina; zajmawszy się wyko-

nywaną własnoręcznie sporządzonymi narzędziami stolarką utrzymuje się w ten sposób, nic od nikogo nie chcąc i nie dotykając się nawet wyprodukowanych przez nich przedmiotów.

Budowla z wbitym w zenit i podtrzymującym kopułę z dymu i mgły szpikulcem co jakiś czas przyprawia go o nawroty niewolniczego kompleksu: to stymulator reakcji, w której mają się stopić z niechcianym sąsiadem w wieczystą i radośnie opalizującą jedność. „Cała nadzieja — myśli — w zapowiadany przez wróżbitę Izraelicie... Żyd Golema wymyślił i Żyd wyrwie mu z pyska pokreślony zaklęciami pakiet”.

Przełożywszy torbę do prawej ręki — w środku wiezie, jakby fabułą swego życia pisał szkatułkową powieść, drugi z neserów — zerka znowu na zegarek i zawraca do podziemnego przejścia. Przeszedł wzdłuż marmurowych korytarzy i skręca do hali biletowej — ruchome schody niosą go w górę. Neser ustawił na schodku, a dłoń oparł na grubej, gumowej poręczy: czarna guma, przez swą miękkość i nieustanny ruch, sprawia wrażenie pełzającego zwierzęcia. To zwierzę jest jak monstrum ze snu; nie jest węzem czy potężną piiiawką, nie ma sierści czy błyszczącej skóry — jest stworem na pół baśniowym, na pół mitologicznym. Rama z zębami schodów upodobnia się do unowocześnionej wersji bestii, która transmituje w niewidoczne otchłanie coraz to nowe ofiary.

Z tych samych głębin wypływa teraz na powierzchnię nasz everyman: mechanizm schodów unosi go ze spokojem w górę. Widzę najpierw czubek głowy, potem twarz, ramiona i tors; dla mnie jest bardziej wyjeżdżającą z monotonnym szumem urządzenia figurką na strzelnicy — dopóki nie wyskoczy na posadzkę i nie ruszy siłą własnego napędu.

Jest już na górze i wchodzi w zablokowane klockiem fotokomórkowe drzwi baru. Wybiera którąś z zup, mówi coś (nie udało się ustalić, co) do pobrudzonej barmanki i przechodzi dalej, by dobrać któryś z garmazeryjnych smakołyków. Zbliża się teraz do usadowionych w przejściu między bufetem a salą kasjerek, znów coś mówi, kasjerka wymachuje ręką, naciska klawisze maszyny do liczenia, urywa kawałek banderoли i rzuca w kierunku Andrzejowej tacy. Karteczka wpada widocznie do zupy, bo widzę, że Andrzej podnosi ją palcami w górę i otrzepując jak mokry papierek lakmusowy — ale już nie komentując — wzrusza ramionami i położywszy obok talerzy przesuwają się ku stolikom.

Widziano go, gdy jadł zupę, trzymając w lewym ręku pajdę chleba; ta sama, niedokończona kromka posłużyła potem przy jedzeniu sałatki — popychał nią drobne kęsy na widelec i asekurował się przybliżając je do ust; tworzyła rodzaj zawieszony nad trapezem siatki. Asekuracja przy zupie wyglądała inaczej: po każdym napełnieniu łyżki dotykał kromką mokrego podbrzusza osuszając je z wiszącej tam kropli. W ten sposób chleb nasiąkał zupą, więc stopniowo odgryzał najbardziej nasączony kawałek.

Ta metoda nadawała jego zachowaniom drobnego rysu oryginalności i miło mu było, ilekroć ktoś pytał, dlaczego tak stuka chlebem o spód. Objasniał wtedy uprzejmie i z naturalną prostotą kogoś, kto z takimi genami się był urodził i nie dostrzega w tym nic nadzwyczajnego.

Przy sąsiednim stoliku trzech roboczarzy wyjmuje ostentacyjnie półlitrowkę: popijawa, wchodzi na orbitę od samego rana. Nikt, nawet obsługa, nie zwraca na nich uwagi. Jeden z robotników zaczyna nawet piosenkę — wielojęzyczną, bo demoludową:

Na chuj nam swoboda  
Sowietisch uroda...

— Przestań — mówi trzeźwiejszy. — Za duże masz obroty.

— Co, kurwa, przestań? — dolatuje Andrzej. — Przecież jesteśmy u siebie, nie? Wszyscy, kurwa, się boją! Każdy myśli to samo, a boją się odezwać. Spierdalaj mi tu, będę śpiewał ile chcę.

Podciąga nogawkę i zaczyna zdejmować but, a potem skarpetkę — jakby rzeczywiście był w domu. Drugi, podochocony jego odwagą, podsuwa szklanę.

— Nalej jeszcze, masz rację, nic robotowi nie zrobią.

„Też metoda — myśli Andrzej. — Z luksusem jawności. Płacą od razu, a ja nie wiadomo kiedy... Ten wczorajszy samochód... Może czas trochę odpocząć?” Za dużo miał ostatnio nerwowych sytuacji, lepiej nie przeciągać struny. Choćby ta sprzed paru dni, ze zmiennikiem. „Głupi ma szczęście, pociesza Kasia, ale pewnie też do któregoś razu... Nic to, przyda się do powieści — nie będę musiał nic wymyślać. Czysty socrealizm; chcieli, to i będą mieć”.

Miał zanieść komunikat TTK do człowieka z redakcji „Informatora”, najbliższego w łańcuszku. Na wszelki wypadek zatelefonował: odebrała córka.



— Ojca nie ma, wyjechał na wycieczkę. Będzie wieczorem.

— Już jest wieczór.

— Będzie wieczorem.

Nie błysnął inteligencją. Ale myślał tak: „Jeśli wyjechał, to znaczy, że go wzięli, a wtedy dom jest bezpieczny — z reguły nie zostawiają obstawy. Zbyt ważne, by zostawić bez upewnienia się, o co chodzi”. Poszedł.

Po drodze wstąpił do Staszka powiedzieć co i jak, i że się tam wybiera; jeśli nie wróci za dwie godziny, to znaczy że wpadł. Oddał trefne kasety, zostawił przy sobie tylko komunikat.

Podchodzi pod wieżowiec — w jednym z samochodów mężczyzna w okularach, po czterdziestce; jasnoblękitny, niewinnego koloru „fiat”. Sytuacja ewidentna, jednak idzie dalej; wejdzie do bloku jakby nigdy nic i pojedzie wyżej; jego człowiek mieszka na parterze, naprzeciw windy.

Jakaś staruszka, sądząc że będzie jechał na górę, pyta go, co z windą i czy nie można by czegoś zrobić, bo zepsuta. Dobry pomysł: przykłada ucho do drzwi zmiennika — w środku cisza. Wreszcie słyszy głos któregoś z domowników — spokojny, normalny. Puka.

Nikt nie otwiera.

Puka jeszcze raz — w drzwiach staje córka.

— Przepraszam bardzo, gdzie tu mieszka dozorca? Winda zepsuta... — dodaje tytułem wyjaśnienia i w tym momencie widzi już, że w środku pełno: rewizja.

— W sąsiednim bloku, w tym samym miejscu, odpowiada przytomnie dziewczyna, ale jeden z nich wysuwa się już do przodu.

— Chwileczkę, pan pozwoli... W jakiej sprawie?

— Winda zepsuta, do dozorca...

— Pan pozwoli do środka.

— Słucham? Po co?

Ubek wyjmuje legitymację, kobiecina z korytarza patrzy zaskoczona. Andrzej cofa się o dwa kroki i grając już na czas (ręka w kieszeni zgniatą odruchowo kartkę z komunikatem) pyta:

— O co panu chodzi? — i wypycha z siebie papierek; na szczęście jest na przebitce.

— Milicja. Pan wejdzie ze mną.

Zamykają się drzwi: jest w kotle.

— Po co pan przyszedł? Tylko bez kręactw! Proszę

tu, do tego pokoju. Imię i nazwisko, miejsce zamieszkania i pracy.

Ubegy ozywiają się, w pokoju robi się cieplej.

— Przecież mówię panu, że pukałem w sprawie windy. Starsza kobieta, na dziewiąte piętro, więc zapukałem.

— Dobra, dobra... Nazwisko. Macie dowód?

Tego by brakowało: iść w kocioł z dowodem!

— Nie, nie mam przy sobie.

— Jak to tak bez? Do kogoście przyszli?

— Do dziewczyny — mechanizm obronny działa już na całego.

— Jak się nazywa, gdzie mieszka?

Robi minę strapionego i wpatruje się błagalnie we fioletowe oczy ubeka.

— Panowie, wybaczcie, ale nie powiem: mężatka. Nie róbcie jej i mnie kłopotów — też jestem żonaty... Bardzo proszę...

Biorą go w kółko, patrzy teraz po pozostałych twarzach: jeszcze jedno szczęście — nie zna żadnego. Pogoda marna, więc jest w kapturze: byleby nie kazali zdjąć.

— Twoje nazwisko.

— Sędziwój Michał, Poligonowa siedem przez dziesięć — narzuca mu się pierwsze z ostatnio przyswojonych. Jeśli sprawdzą, to i tak wszystko jedno, a przynajmniej zostanie mu drobna satysfakcja.

— Sprawdź go.

Sekunda dołka: pójdzie do samochodu. Ale nie; podchodzi i robi osobistą.

— Jak się ona nazywa?

— Nie powiem, panowie, nie mogę...” „Sędziwój” przez „ę” i „ó” zamknięte — poprawia zaglądając do notatki. — Zrozumcie mnie, błagam, nie mogę!... — i zrobił krok w tył, zamknąć drzwi, by ciekawscy gospodarze nie słyszeli. Jest już całkiem opanowany — byle się na czymś nie pośliznąć...

— Coś tu kręcicie. Najpierw dwa razy pukacie do obcych drzwi, a teraz nie chcecie powiedzieć jej nazwiska.

— Panowie, zrozumcie mnie, nie mogę!...

Pięknooki zastanawia się przez chwilę.

— Dobrze, więc zróbny tak: pojedziemy z panem na górę — jeśli pan wejdzie, to znaczy że w porządku, nie kłamał pan. A jeśli nie, to się panem zaopiekujemy...

Wahanie — co robić? Teraz tylko sprawa szczęścia. Trzyma ich w niepewności możliwie długo, a potem:

— Ale gwarantujecie panowie dyskrecję?

— Załatwione. To co — idziemy?

— Zgoda.

— Ty chodź ze mną, a ty stań przy wejściowych — mówi szef i wyprowadzają go z pokoju. Zerką w przelocie na domowników: znajomy siedzi przy stole i coś podpisuje; protokół, widocznie skończyli. Nie wygląda, by coś znalezione; dwa dni wcześniej mówił mu, by miał się na baczności i posprzątał mieszkanie — po ostatnich aresztowaniach była według wszelkich obliczeń jego kolej. Teraz nawet nie raczy spojrzeć: czuj duch, jest przytomny!

Idą. Pierwsze piętro, drugie, trzecie — na czwartym Andrzej waha się, wydaje mu się jednak, że jeszcze za nisko: nie pytałby o windę. Więc jeszcze dwa.

— Tutaj — mówi. Ci dwaj ustawiają się na schodach, jeden niżej, drugi wyżej — i zerkają.

Teraz drzwi — które? I co zrobić, gdy otworzą? Wejść na siłę? Chyba, u diabła, nie trafi po raz drugi na ubeków!... Potem ludziom wyjaśni.

Idzie korytarzem i wybiera jak w zabawie „Tej nie kocham, tej nie lubię...”. Ładna zabawa — jego los. Pal sześć, może pierwsze z brzegu? Nie; odejdzie dalej, by nie mogli stamtąd widzieć, kto jest w środku — bo jeśli facet?!...

Wybiera te naprzeciw windy, ten sam pion — przełamie pecha, czy nie?

Cały czas na najwyższych obrotach, mokry, ale trzymający się w garści i opanowany; instynkt samozachowawczy. (Marian, gdy im to potem opowiadał, wyrzekł oczywiście swoje sakramentalne „Coś mi tu nie pasuje...”)

No, teraz!

Puka.

Nic.

Dzwonek.

Cisza.

Drugi dzwonek — słychać na całym korytarzu; to dla nich.

Nic nie szura, nie porusza się: jest uratowany!

Czyta wizytówkę: M.M. Kasandej, dobre sobie... Numer czterdzieści sześć. Wraca.

— Nie ma jej — mówi czarnym aniołom.

— Jak to: umówiliście się, a jej nie ma? — pyta większy, najwyraźniej niezadowolony.

— Nie umawiałem się: wiem, że jej mąż ma drugą zmianę, więc przyszedłem.

— Coś tu kręcicie... I na szóste piętro nie mogliście wejść?

— Mówiłem panom, że ta staruszka...

— Chodźcie z nami.

— Po co? — zdradza niepotrzebnie niepokój; to może wzbudzić podejrzenia.

— Chodźcie, chodźcie... Chcecie się stawiać?

Idzie, bo cóż — nie ma wyboru, wyjścia zablokowane. Na drugim piętrze skręcają w korytarz.

— Nie tu, niżej — mówi i łapie się natychmiast na błędzie. Ale oni nic — przegapiają.

Ta sama sytuacja na pierwszym: tym razem czeka, aż zorientują się sami.

Wchodzi: córka częstuje go obojętnym spojrzeniem.

— I nie macie żadnego dokumentu? — zaczynają od nowa.

— Nie; mieszkam niedaleko...

— I tak chodzicie bez?... Jak się ta pani nazywa?

— Panowie, proszę!... Przecież obiecaliście dyskrecję.

— Jak się będzie zgadzało, to puścimy.

— Ale naprawdę nie mogę!

— No to pojedziesz z nami.

— Nie róbcie mi tego, proszę! Żona... — i błagalna mina jak do panów i władców. Chwilę zastanawia się, jakby ważył dobro małżeństwa i korzyści z nielegalnego związku.

— No zgoda, ale zachowacie to panowie dla siebie?

— Może być pan spokojny.

— Kasandej... — mówi z wahaniem swoją tajemnicę. — Ale mieszkanie jest albo teściów, albo rodziców, więc może się nie zgadzać...

— Który numer?

— Czterdzieści sześć. Bardzo proszę o...

— Dobra, dobra. Idź sprawdź, a ty zobacz windę — i dwóch wychodzi.

Mijały sekundy, już prawie normalne, ale wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Gdybyż to można było sterować układem mimowolnym...

Wrócili.

— Zgadza się.

— U mnie też — dodał drugi. — Zepsuta.

— To co robimy — spytał główny oprowadzacz; widać

było, że stracił rozpęd. Był przygotowany tylko na jeden wariant.

— Chyba czysty...

— Puszczamy go?

— Sądzę, że można. Chociaż...

— No?

— Nic. To może być prawda. Puszczamy.

I wreszcie do niego; nie jest jednak przedmiotem:

— No, może pan iść, choć jeszcze sprawdzimy... I przepraszamy, taka nasza praca. Musimy sprawdzić — powiedział szef; niespodziewanie błysnął na koniec wycuciem formy.

Andrzej wyciągnął rękę i ścisnął ich jak dobrodziei i łaskawców. Byli zaskoczeni i zadowoleni; facet trząsł się przed nimi aż miło.

— No, dobrze, dobrze... Do widzenia panu.

Ze zdenerwowania nie mógł wyjść: drzwi zawsze otwierały się ciężko, a tym razem nie chciały ustąpić w ogóle.

— Trzeba silnie pociągnąć — instruował go jeden z nich. Andrzej usunął się i czekał: niech już wypuszczą własnymi rękami.

Za sekundę był na zewnątrz — uff! Obejrzał się w tył: nie było judasza, więc szybko schylił się po upuszczony zwitek, a potem susa na ulicę!

Uciekał, jak spod łopaty.

Wpół do dziewiątej. Andrzej kończy jeść sałatkę; czas zacząć załatwianie spraw.

Teraz idzie bokiem błyszczącej od szkła i marmurów hali; wyłuskane wreszcie ze znikającej mgły słońce oświetla jej wschodnią stronę, odcinając dla siebie szeroki jak chodnik pas posadzki. Odbite promienie rozpraszają się do wnętrza, próbując nadać porankowi prawie wiosenne akcenty.

Na piętrze przy górnych poczekalniach, już blisko łupinkowatego sufitu dworca, stoi kilka obserwujących halę osób. Andrzej nie zwraca na nie uwagi, posuwa się osłonecznionym pasem i skręca ku schodom w momencie, gdy wynurzają się stamtąd dwaj lustrujący mijanych ludzi milicjanci. Minawszy ich z zagapionym w przeskakujące na tablicy informacyjnej cyferki wzrokiem stąpa po schodach w dół i po chwili idzie pustym, podziemnym peronem; to jeszcze jego łokieć widać w tej sekundzie zza rogu rozgałęziającego się w kilka stron tunelu.

Siedzi teraz w autobusie przyglądając się od niechcenia

wsiadającym. Kierowca ma chyba kilka minut przerwy, bo wyłączył silnik i wyciągnawszy ze stacyjki kluczyk wyskakuje przez swoje drzwiczki; Andrzej zobaczy go za chwilę, wracającego z gazetą w rękę — przejrzy szpalty i dopiero potem uruchomi motor.

Przy Wiatracznej autobus okrąży elipsoidę placu i staje, kończąc bieg. Andrzej widzi, że jednak się spóźnił; Jacek czeka od dłuższej chwili. Trzyma pod pachą zawinięty w biały papier rulon, a na ramieniu granatową torbę z teksasu. Dostrzegłszy Andrzeja zerka ostentacyjnie na przegub z zegarkiem, ale nic nie mówi; przy powitaniu jest już prawie kordialny. Skręcają w ulicę Waszyngtona i idą obok siebie rozmawiając i gestykułując. Teraz Jacek podaje mu rulon, Andrzej bierze go i poklepawszy jak konia po karku wkłada do nesesera.

Ustawione w czworobok bloki tworzą wewnętrzną stronę obszerne studnie: wchodzi w jedną z nich i siadają na ławce. Jacek wyjmuje ze swej torby dwa pakunki i wkłada do stojącego między ich nogami nesesera. Zasuwa zamek tak naturalnie, jakby sakwojaż należał do niego, a teraz udaje osobę zajętą szukaniem czegoś w bocznej kieszeni kurtki; Andrzej odlicza pieniądze.

Już po wszystkim: zapalają po papierosie i siedzą gawędząc o czymś, jak nie spieszący się nigdzie młodzi renciści. Teraz Jacek upuszcza papierosa i przydeptuje go butem; fajka pokoju wypalona, pozory zachowane. Andrzej wstaje pierwszy i wyjąwszy papierosa z ust podaje niezawodnemu dostawcy prawicę.

Adam kładzie dłoń na stoliku. Przez chwilę nic nie mówią, dając sobie czas na oswojenie się z nową sytuacją — jakby to było spotkanie na księżycu.

— No, wreszcie dojechałeś... — odzywa się pierwszy Andrzej. — Chodź, niech ci włożę palec w bok twój, panie!

Adam śmieje się i robi bagatelizujący ruch ręką.

— Przecież to phoste, biohę wizę, biohę sleeping — i jestem. *Von Berlin bis deutsch-polnische Grenze ist nur neunzig Kilometern...*

— Oczywiście, oczywiście, *aber — weiss du — trotz allem das bischen ungläubisch ist, mości hhabio...* Herbata dla ciebie? Kawa? — Kelnerka zbliża się do stolika.

— Nooo, z hana, hm, może po małej czahnej, panie bhacie, i chyba po koniaczku, niephawdaż? Na począteczek. Począteczek początkujący...

— Alkohol od trzynastej — przypomina stojąca z boku dziewczyna.

— Jak to? — Adam patrzy na autochtonów zdezorionowanym wzrokiem. — Nie rozumiem.

— Generałowie piją od trzynastej, model spartański.

— Zaraz, zaraz, to wcześniej nic?

— Oczywiście, że nie. — Bawi się jego zaskoczeniem.

— Taki lokalny zwyczaj.

— To może zmienimy lokal?

— Nie lokalowy, a lokalny. Priwislanskij.

— Więc jak? — kelnerka jest wyraźnie zniecierpliwiona.

— Dwie małe i chyba jakieś ciastko, nie?

— Za ciastko dziękuję — poważnieje Adam. — Poczęstowano nas po wieczorku jakimiś farfocłami i wszyscy chorowali.

— W takim razie tylko kawy.

— Co z tym koniakiem za numery? — pyta Adam patrząc za odchodzącą kelnerką.

— Nic takiego, namiestnik ukaz wydał, w ramach reformy. Stawiamy na samodzielność...

— Bimberek?

— Oczywiście. Już jak u sąsiadów; chleją na umór.

— Wiesz, mam w hotelu butelczynę whisky, może pójdziemy?

Andrzej waha się i patrzy na zegarek. Adam:

— Nie musisz się obawiać, współlokator równy chłop, już się z nim dogadałem...

— Niemiec?

— Nie, Bułgar. Specyfinder z demoludów, spryciarz, panie święty — jeździ po sympozjach i wymienia walutę!...

— To nawet nie to... — Jeszcze raz sprawdza godzinę.

— Mam trochę spraw do załatwienia i obawiam się, że jak siądziemy, to nie załatwię.

— Nie musisz zaraz polskim szlakiem — śmieje się Adam.

— Poczekaj, przecież będziesz u mnie, prawda?

Adam waha się i zbiera usta w kurzą dupkę.

— Tak — mówi. — Ale na jeden dzień; w niedzielę muszę pójść do ciotek. Cmentarz, kotki, te rzeczy... Rozumiesz? „To już, Adaś, ostatni raz... Ja nie chcę dłużej żyć”. Straszne, mówię ci, straszne... Tak, że — dodaje po namyśle — jedynie sobota.

— Trudno. Weź wtedy ze sobą bańkę, spokojnie ją sobie spełnimy.

— Masz rację, dzień przerwy dobrze mi zrobi... Bracie, co za sympozjum — codziennie na gazie!

— Noo, tylko nie mów, że ci się w peerelu nie podoba...

— Lepiej nie zaczynajmy... — Bierze głęboki oddech, jakby miał się zanurzać. — Teraz już trochę przywykłem; z początku w ogóle nie mogłem się przystosować. A te moje ciocie-drypcie... Gdyby nie tych parę marek, to by z głodu zmarły. Paranoja. Rozpiłbym się tu jak bąk.

— Przesadzasz... Kwestia punktu widzenia; pewien zagranicznik przekonywał mnie, że to bardzo interesujące — uczestniczyć w obłędzie bez zwariowania. Tak, że — mój drogi — dosyć proste; musisz być bardziej perwersyjny. Rafinada, ot co!...

— Dziękuję za tę rafinadę. One mają cztery i pół tysiąca renty, rozumiesz? Bo jedna nie ma wcale, kułaczka. Dwie osiemdziesięcioletnie kobiety, w ogóle nie wychodzą z domu: siedzą w swojej kuczy i się boją. Raz na rok, gdy przyjeżdżam: wtedy na Powązki, postać nad grobem ojca, nakarmić kotki, a potem znowu łapitucha z kartofelkami. Całe szczęście, że mają dobre sąsiadki.

Kelnerka stawia przed nimi dwie filiżanki z niebieskim otokiem.

— Ja tutaj wychodzę na normalnego wariata — mówi Adam. — Wyobraź sobie, że w pierwszych dniach uśmiechałem się do ekspedientek, a w windzie mówiłem ludziom „dzień dobry”. — I przerywa sam sobie: — Nie narzekajmy już, wszyscy to robią. Powiedz lepiej, co u ciebie.

Andrzej spina się jak ciężarowiec.

— Cóż mógłbym robić? T o.

— T ego to byłem pewny, ale co poza tym? Jak doktorat?

— I ty, Brutusie, przeciwko mnie? — próbuje żartem zneutralizować pytanie; zaraz będzie się wił jak piskorz.

— Nie wygłupiaj się: skończyłeś?

— Coś ty?... — wzrusza ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest we władaniu wyższych i ważniejszych sił. — Czasu nie ma.

— Więc nic? — dziwi się Adam.

— Będzie niespodzianka... — mówi teraz prawie na odczepnego; głupio stać wobec gościa z pustymi rękami; wie



zresztą, że inaczej niż autoszantażem nic z siebie nie wycisnie. — Może jakieś powieściśdło... — kończy czując, że klamka zapadła.

— Co ty nie mówisz? — Adam ożywia się ucieszony. — A to ciekawość!... No, gratulacje, wiedziałem że coś wymyślisz, słowiańska mordulo!

Andrzej wzdycha; znowu zaczyna popadać w stare fantasmagorie i kłamstwa.

— Chciałbym... Przypieprzę, że echo pójdzie.

— Komunie?

— To o podziemiu? — nie ustaje Adam.

— Głębiej — śmieje się wymijająco. — Podziemie podziemia... Pogadamy u mnie — mówi, by czym prędzej skończyć.

— Wystąpisz z fragmentem większej całości?

— Gdzież tam; to zaledwie kilka kartek. I, z grubsza, pomysł. Parę lusterek...

— Mistrzowska robota? — śmieje się Adam. — A już się bałem, że przebaniaczyłeś cały czas. Gdy będziesz miał gotowe, to pamiętaj — chętnie ci pomogę. Jest tam paru ludzi...

— Patrz, nie przyniosła tej coli, to ci jędza!

— To już i nie przyniesie. Po południu mam wydawnictwo, a wieczorem ciotulki, tak że... Ciotuleczki ciotulkowate. Ojciec całe życie chciał wrócić, ciągle nam opowiadał... „Polska, Polacy...” Zobaczył peerel i zwinął się w pół roku. Serduszko, bracie. Idei mu zabrakło... — wzdycha.

Kelnerka niesie pepsi-colę, Andrzej płaci i powstrzymuje ją przed wydaniem reszty; od razu jest uśmiechnięta.

— Tak, tak, mój drogi... Idealizacja — mówi patrząc za dziewczyną aż do bufetu. — Z daleka tak bywa; ty robisz to samo. A tu, delikatnie mówiąc, dołek. Szambo, mój drogi. Szambo.

Adam patrzy na niego uważnie, ale Andrzej już zaokrągla.

— Pogadamy u mnie.

Rozmowa urywa się, Andrzej rozgląda się po kawiarni przypatrując się uważnie nielicznym gościom; mania znów daje o sobie znać. Adam podchwytuje jego niepokój, jednak ten robi dłonią lekceważący ruch.

— Kontakty z zagranicznymi ośrodkami... — mówi z pogardliwym uśmiechem. — Wdzięczny temat: mógłbym być gwiazdą telewizji. Acha, byłbym zapomnian! — mówi. —

Mam dla ciebie prezent w chlebaku; przypomnij, gdy będziemy wychodzić.

— To co, możemy się powoli zbierać?

Zatrzymują się w przedsionku. Teraz, dla odmiany, zaczęło kropić; widocznie ktoś postanowił sprawdzić działanie deszczówką. Andrzej wyjmuje parasol.

— A to prezent — i podaje brązową książeczkę. — Własnego wyrobu.

— Słuchaj — zaczyna Adam. — Dajecie sobie jakoś radę?

— Kto?

— No ty i Ewa... Bo my nieźle teraz stoimy.

— Co ty, oszalałeś? Nie żartuj, bo już słyszę: „Pieniądze otrzymywali od organizacji dywersyjnych”. Chcesz zostać jednoosobową organizacją?

Adam chowa tomik za pazuchę, dopina zamek kurtki i wychodzą. Idą ulicą klucząc między rozpiętymi parasolami; mokre okna wystaw gubią co chwila ich sylwetki w tłumie pokurczonych z zimna przechodniów. Odprowadza go pod sam hotel.

— No, to daj pyska i do zobaczyska... — mówi Adam. — Do soboty, tak?

Andrzej wypuszcza go spod parasola, Adam macha na pożegnanie ręką i znika za podwójnymi drzwiami.

Jest tak blisko „Metalexportu”, że postanawia wstąpić do Agnieszki; miał być zresztą pół godziny wcześniej. Zostałby u niej na noc, ale nie chce pogarszać domowej sytuacji — trzeba ratować co się da, przynajmniej na przyjazd Adama.

Pomiędzy kręcącymi się w hallu osobami dostrzega koleżankę Agi z tego samego pokoju — uśmiechają się do siebie z daleka.

— Cześć, Gosieńku; widzę że ty, wbrew wszystkiemu, wiosenna — i przebiega wzrokiem odważną, ozdobioną znakami zodiaku sukienkę.

— Czołem, ave — odpowiada błyskając zębami. — Co się tak przyglądasz?

— Szukam swojego.

— No i... — przytrzymuje go spojrzeniem. — Jaki?

— Skorpion — odpowiada nie przerywając poszukiwań.

— No to niezły musi być z waści gagatek... Znalazłeś, co twoje?

— Nie — kłamie i speszony podnosi wzrok. — Popatrzą na pannę. — Zablokowało go, bo jego znak odbity jest w samym centrum jej łona.

— Agnieszka wyszła do miasta, coś załatwić — mówi nie zauważwszy niczego dziewczyna.

— Tak? — jest zdziwiony, choć nie bardzo; obecność Gosia łagodzi brak tamtej. Równie dobrze mógłby odprawić cały ceremoniał z nią — absztyfikant zastępczy nie gra roli: piękny jak Frankenstein. — Nie mówiła, że dzwoniłem?

— Tak, ale szef ją gdzieś wysłał. Jest dla ciebie liścik...

Uśmiecha się trochę tajemniczo i zwinnymi ruchami ciała kieruje się ku schodom. Andrzej zwalnia chcąc obejrzeć ją z tyłu, dziewczyna wyłapuje to natychmiast i zaczyna poruszać się jak na scenie.

— No i jak? — pyta niespodziewanie. — Pozytywnie?

— I to bardzo! — odpowiada z żartobliwą skwapliwością, zadowolony, że nie dał się zaskoczyć. — Mógłbym bardzo długo... — robi pauzę i rezonuje: — tak patrzeć.

Gosia otwiera drzwi i obraca się w jego stronę: oczy obydwójga spotykają się na chwilę. „Noo... Reaguje prawidłowo”.

— O, to dla ciebie — wyciąga rękę w kierunku opartej o kubek koperty, wyginając przy tym wąskie jak wąż ciało. I tym razem Andrzej nie pozbawia się przyjemności patrzenia. Bierze list i zatrzymuje się, jakby niezdecydowany, co ma dalej robić. Gosia jest czujna, nitka elektryzującego napięcia zawiązuje się coraz silniej; poruszają się już jak koty.

— To co, Gosieńku... — wytrzymuje, a gdy ona nic nie mówi, dorzuca: — Do zobaczenia. — Wszedł szybciej, niech sobie teraz żałuje.

— Nie napijesz się nawet herbaty? — dziewczyna podnosi zdziwione brwi i uśmiecha się pierwszy raz niepewnie. — W taką pogodę...

— Chyba że nie tutaj. Mam jeszcze przedtem do pobiegania...

— Ja, niestety, też.

— To cóż... — chowa list do kieszeni; dziewczyna chciała pewnie sprawdzić, czy ma szansę. — *Au revoir, ma chérie...* — dodaje śmiesznie, jakby naprawdę wierzył, że dzięki tym słowom można będzie uznać rozmowę jeśli nie za niebyłą, to przynajmniej za lekką.

— Pa — rzuca główką jak nerwowa klacz. — Do zo.

Na zewnątrz ciągle pada, postanawia więc usiąść w hallu

i przeczytać. Zapaliwszy papierosa sięga po kopertę: szeleści w dłoni przyjemnym, suchym dźwiękiem. Wyjmuje kartkę i marszczy ze zdziwienia czoło: list jest pisany na maszynie.

Czyta go szybko i czerwieni się coraz bardziej; nie może się oderwać. Kończy i z kartką w rękę siedzi jak ogluszony. Przychodzi mu do głowy nieważna w tej chwili myśl, że Gośka dobrze wiedziała, co jest w środku. Nagle budynek i przechodzący przez hall ludzie zdają się go otaczać ze wszystkich stron — czuje, że pod przypadkowymi spojrzeciami czynowników zaczyna płonąć jak przyłapany na grubym świństwie. Spokojnie chwyta parasol i zdusiwszy do połowy wypalonego papierosa, wymyka się na ulicę. Niesie na plecach spojrzenie Gosi; na pewno stoi w oknie i uśmiecha się szyderczo.

## V

Mimo drobnego kapuśniaczku tłum w śródmieściu wcale nie wydaje się mniej liczny; może to zresztą otwarte parasole i narzucone na ramiona peleryny stwarzają wrażenie takiego samego jak zazwyczaj tłoku. Skurczeni przechodnie przemykają trochę szybciej i dopiero wewnątrz sklepów zwalniają tempo, marudząc przy ladach bardziej po to, by się ogrzać, niżli cokolwiek kupić. Tam, na ulicy, potracają się parasolami idąc ciągle w tę i z powrotem, zziębnięci i małomówni, z najeżonymi grzbietami mokrych zwierząt. Deszcz siąpi nieustannie, a nieprzyjemna wilgoć przenika aż do kości: monotony szum spadających kropeł zakrywa także ich milczenie. Idą dalej, wsłuchani nieświadomie w dźwięk przejeżdżających po asfalcie opon — jakby ktoś odrywał od rany plaster — i wytłumione pojękiwania klaksonów. Tylko autobusy zajeżdżają z rozmachem, rozpryskując nagromadzone przy krawężnikach kałuże wody; oczekujący na przystankach odskakują wtedy kilka kroków w tył, zadowoleni, jeśli rzygająca spod kół deszczówka nie zdoła dosięgnąć nogawek czy i tak już nasiąkniętych wilgocią pończoch.

Andrzej idzie przy samej ścianie domów „Centrum”, tak, że mógłby właściwie zamknąć parasol — lecz trzeba to zauważyć, podczas gdy on ciągle jest pod wrażeniem listu. Chętnie zatrzymałby się i wyjął go z kieszeni, aby przeczy-

tawszy ponownie rozważyć zdanie po zdaniu. Dostał nauczkę ze strony najmniej spodziewanej, stamąd gdzie sytuacja zdawała się być ustabilizowana. „Nie, moja droga — myśli — w ten kanał wpuścić się nie dam... Choć, gdybym chciał cię złamać, to nic prostszego” — dyskutuje z nią w wyobraźni, starając się zorganizować szybką obronę i atak. Ale nie może ukryć przed sobą, że to poważne ostrzeżenie; co innego sypiać z przypadkowymi panienkami, a czymś całkiem lekomyślnym jest wchodzić w kuszące na pierwszy rzut oka układy.

Machinalnie skręca do empiku i snuje się za plecami dopychających się do lady. Wychodzi na zewnątrz i kieruje się do czytelnicy; na zakręcie schodów mija go jakaś wyblakła para (dziewczyna ma ładne, z lekka semickie rysy), która wzięwszy od szatniarza klucz od razu kieruje się do toalety. Napięte mięśnie twarzy mówią same za siebie: skończyło się działanie i czas zaaplikować następną ampułkę sztucznego szczęścia. Szatniarz (jego prawa ręka zakończona jest czarną rękawiczką protezy) kiwa do Andrzeja głową.

— Tak, tak, panie... Niszczy się naród od małego — mówi biorąc od niego kurtkę. — Ale czemu tu się dziwić?

Andrzej odkiwuje; nikły uśmiech ma wyrażać zrozumienie i politowanie.

W kawiarni wyciąga list i kładzie go na stoliku — nie, nie ma zamiaru czytać powtórnie. Najwyraźniej próbuje wykrzesać z siebie jakąś energię, bo robi się teraz zły i postanawia odgrodzić się od Agnieszki jak od kłuszącego psa. „Też mi refleks i poczucie uczciwości!...” Niczego jej nigdy nie obiecywał, sytuacja była od początku jasna, to zaś, co dzisiaj zrobiła, daje się wytłumaczyć w jeden tylko sposób: symuluje ucieczkę, by sprawdzić, czy będzie za nią gonił. „Kusząca zamiana — z deszczu pod rynnę... Przed tobą było kilku innych, a i w międzyczasie się zdarzali, niech więc teraz nie robi z siebie męczennicy. Sama opowiadała o jakimś sportowcu, który w rewanżu naprawiał jej krany... Nosił nawet walizki, gdy wyjeżdżała; może nawet był przedstawiony teściowej... „On taki biedny, cały czas na prochach, wątrobę ma jak skatowany...” Cha, cha, jeszcze i ta wątroba! Dobrze sobie. Jednym gnije od wódy, innym od prochów — każdy ma to, co chce. Tak, tak, panienska dziebko posunięta, więc trzeba być czujnym, każda okazja dobra — nigdy nie wiadomo, z czego się szczęście wykluje. Przyzwyczajaj gościa, a dalej pójdzie jak po maśle. Ale źle popadła, niestety”.

Troje młodych ludzi pyta o miejsca. Kiwa im głową obrzucając jednocześnie taksującym spojrzeniem: dwoje nosi przefarbowane na zielono dżinsy, trzeci normalne — wszyscy zaś taszczą pod pachami zachodnie pisma i katalogi. Długowłosi, rozczochrani, ładni — krajowa edycja punk — rozkładają się z ostentacyjną swobodą na fotelach i zaczynają wertować zadrukowane modelami najnowszych wozów kartki. Dziewczyna ma pięknie wykrojone — prawdziwy łuk Amora — usta. „Pewnie też są na sztucznym odżywianiu...” Andrzej pociąga łyk kawy i otwiera notes.

„Tak, tak, moi drodzy — zwraca się nie wiadomo do kogo. — Śmiećcie się z nas, śmiećcie, wytykajcie podłości, oszustwa i coś tam jeszcze, proszę bardzo — nie zaprzeczam. Takim właśnie jestem, takim się stałem, możemy podać sobie ręce. Bo wy, znani i nieznanzi ziomkowie moi, też tak wyglądacie... jeśli nie gorzej. Wy, różni combinatores lublinensis, małe typki i drobni złodziejaskowie, zdeprawowani i rozpicci łapówkarze, co wieczór zalane oficjery i ministrowie — figuranci marionetkowych dworów, pierwsi i ostatni sekretarze awangardy. Może byśmy tak pogadali o mozolnie zbieranych profitach, zgrabnych synekurkach, bezimiennych świństwach? Jest fajnie, prawda? No to gut, starczy — czego więcej trzeba? Prędzej czy później i tak wszystko padnie, to oczywiste — no to wtedy zaczniemy porządne życie. A teraz? Toż to bez sensu! Lepiej złapać, co się da, a potem, usunąwszy się ze sceny, żyć dostatnio i przyzwoicie. Przecież wiadomo, że nikt — a już na pewno nie uczulony na krzywdę społeczną lud — nie będzie dochodził, skąd te posiadłości i fortuny. Więc i żadnego tam kajania się, darcia szat, spowiedzi; raczej syte przekonanie o zapewnionym dla paru pokoleń bycie. A wasi potomkowie chwalić się wkrótce będą, że mieli w rodzinie ministrów, sekretarzy czy nawet generałów!...”

Przerywa na chwilę, zastanawia się i dopisuje:

„Nie bądź taki bicz boży; moralista od siedmiu boleści, papież nieledwie!... Dostało ci się od panienci, więc teraz przydałoby się usmarować swoim gównem i innych, nie? Zeby było raźniej”.

Zamyka zeszyt i wstaje. Wychodzi z empiku i idzie szybkim krokiem prześlizgując się między przechodniami. Z brudnoniebieskiego sklepienia spadają ostatnie krople deszczu.

Wysiada teraz z autobusu i pozostaje na znajdującym się na wprost uczelni przystanku; powinien zobaczyć Krzyśka z

daleka. Chłopak właśnie ukazał się w drzwiach — zbliża się z lekko niewyraźnym uśmiechem.

— Cześć panie Janku, kopę lat... Witam pana serdecznie — i podaje Andrzejowi rękę, ale tak wylewnie, jakby mieli się za chwilę wziąć w ramiona. Andrzej jest chłodny; zwierzył podstęp. — Przepraszam cię, stary, miałem jakieś kolokwium i trochę się przeciągnęło.

— Nic się nie stało, raz ty — raz ja. *Wsjo w poriadkie?*

— No tak średnio. A u ciebie?

— Och — śmieje się Andrzej. — U mnie zawsze doskonale.

— No to uważaj. Nie wiem, gdzie się obracasz, ale koło mnie trochę śmierziało; mały kociołek.

— Ten na Żoliborzu? — bluffuje.

— Tak. Słyszałeś? — pyta zdziwiony i wyczekująco patrzy Andrzejowi w oczy.

— Obiło mi się o uszy — mówi wymijająco. — Do mnie to kawał.

— Oj, Jasiu, Jasiu, nie chcę cię pouczać, mam jednak wrażenie, że za bardzo sobie bimbasz; bohaterowie są na Powązkach.

— Ale przynajmniej jakoś są — odpowiada znudzony już tymi paternalistycznymi ostrzeżeniami. — Zresztą niech mnie łapią — śmieje się, a potem zmienia temat: — Masz coś?

— Są blachy, diapozytywy i płótno — zadowolony pan?

— A cena? — zwiększa obroty.

— Przystępna: dwieście i stowa.

— Trójki?

— Nie, czwórki.

— To wcale nie taki rarytas; mam klienta za stowę. Grenowane czy pre?

— Grenowane, pięćdziesiąt sztuk, oryginalne opakowanie, jak spod igły — zachwala niczym Żyd chłopu. — Piękny towar, prosto od komunisty. Za parę miesięcy będą kosztować dwa razy tyle.

— To kupię za parę miesięcy. Lepiej powiedz, ile z tego dla ciebie.

— No wiesz?! — Krzyś odwraca twarz jak obrażony. — Nie bierz mnie za takiego zgreda! Nie w sosie pan dziś, panie Janku; coś z panienką nie tak?

— A co z obciążeniem? — Andrzej zapala papierosa i chowa paczkę do kieszeni. — Powiedz sponsorom, że jeśli nie będzie nowego, to z roboty nici. Mogę zrobić i na takim, jeśli zapłacą za makulaturę.

— Mówiłem, kurwa, mówiłem... — denerwuje się Krzyś.  
— Dałem cynk miesiąc temu i nic! A ty coś masz?

— Wezmę po sto pięćdziesiąt i ani grosza więcej. Zaczyna mi się to nie podobać... — robi ostrzegawczą minę; za chwilę zerwie rokowania.

— Wszystko idzie w górę, panie Janku. Towar nie jest mój... Skoczmy na kawę? Chyba nie będziemy tak stać, co?

— Dobra, dobra; wpraw w biznes.

— Możemy przecież przy kawie: nie zimno ci? — stuka butem o but, jakby już był w Irkucku. Andrzej nie bardzo wie, co z klientem zrobić; niby to nie lubelska sprawa, ale obiecał pomóc. Bez blach będą teraz stać następnych parę tygodni.

— Chodźmy — mówi. — Tu zaraz jest „Picatrix”, nie?

— Widzę, że teren panu znajomy... — Jest wyraźnie zadowolony: traktuje zgodę jako symptom ustępstw. Idzie po prawej stronie Andrzeja zaglądając mu w oczy niemal jak panienka; nie potrafi ukryć interesowności, chyba to jego pierwsza machlojka.

— Stary, muszę coś z tego mieć — zdobywa się niespodziewanie na szczerość. — Z pensji nie pociągniesz. Idea i pieniądze są nie do przebicia — mówi zadowolony z cudzej sentencji. — Wołodia i brodaty też nie robili inaczej.

— Widzę, że pan na dzisiaj przygotowany — podchwytuje Andrzej jego sposób mówienia. — Byle ci pieniądz nie rozłożył idei.

— Coś ty taki ksiądz dzisiaj? — próbuje przeskoczyć jeszcze raz, ale Andrzej nie odpowiada; milczenie zwiększa dystans.

Przed wejściem Krzyś próbuje znowu.

— Słuchaj, Jasiu, nie sądzisz, że powinniśmy ustalić jakiś system alarmowy? „Ciocia chora”, czy coś w tym rodzaju...

— Nie bądź śmieszny. Dziury w logice to najlepszy sposób. Tu teraz samoobsługa?

— Panience się nie spieszy. Może chociaż jakiś szyfr?

— Nie rozśmieszaj mnie, bo mam zajady — cytuje ulubione powiedzenie Bogdana. — Sto pięćdziesiąt, zgoda?

Krzyś milczy; nie chce uznać tematu za zamknięty.

— Muszę pogadać z szefostwem — mówi wreszcie. — Sam nie mogę.



— Jak chcesz, ale przed świętami nie będę miał już czasu.

— Stary, nie rób jaj, nie znajdziesz pięciu minut na spotkanie? Przecież dzisiaj już tych gibbonów nie złapię!

— Spróbuj.

— Przepraszam cię, ale bardzo mnie dziś pan wkurwiasz; o co ci chodzi? Mam to teraz trzymać w domu?

— Twoja sprawa — blokuje Andrzej kryjąc niezadowolenie za obojętnością. Krzysiek też nie wygląda na szczęśliwego.

— To co, idziemy? — Andrzej dociska już tylko z nawyku; sprawa przegrana. Trudno, ale nie może przecież przyjeżdżać tu co drugi dzień.

— Co dla panów? Dzień dobry — pulchna zjawiła się nareszcie.

— Już nic, dziękujemy — mówi Andrzej. Rozmyśliliśmy się.

Jeszcze parę kroków i schodzi w podziemny, prowadzący ku dworcowi korytarz; starym zwyczajem kupi bilet wcześniej i pozostawi w przechowalni część bagażu, przynajmniej jedną z toreb.

Mija podświetlone gdzieś tam, zachęcające do podróży światła i kupowania w pewexie reklamy i, pozostawiając z boku nieruchome schody, idzie w kierunku przechowalni. Teraz zatrzymuje się, patrzy na zegarek i zawraca do hali biletowej. Stanąwszy na końcu jednej z kolejek rozgląda się po sąsiednich za znajomymi, którzy — jeśli nawet nie pomogą w kupieniu biletu — to przynajmniej skrócą swoim towarzystwem drogę. Zobaczył: kilka metrów przed nim mężczyzna odwraca się i patrząc prosto w jego stronę uśmiecha się łagodnie; profesor Skropański. Uśmiech zmienia się w witająco-pobłaźliwy — Andrzeja ściska w dołku. Przeciąga odruchowo palcami po brzuchu, jakby chciał zmniejszyć skurcz. Nie pozostaje nic innego, niż podejść i się przywitać.

— Dobry wieczór, panie profesorze — kłania się z małym uśmiechem. — Jedzie pan do Lublina?

— Nie, dopiero jutro, ale chcę kupić wcześniej. Dobry wieczór — wyciąga dłoń. — Kupić od razu dla pana?

— Niech pan wraca, bo nie wpuszczą — mówi Skropański przerywając milczenie. — Podejdę do pana, gdy kupię.

Andrzej kłania się, jakby dziękował za zgodę na rejtęradę, wraca na miejsce i niemal natychmiast rozmyśla się: idzie

zanieść bagaż. „Pomyśli sobie, że uciekam, a to nie tak... No cóż, będę musiał wysłuchać jak zawsze. Wojna dokoła, a ten mi każe rodzic doktoraty! Będzie na to czas w „pudle” — myśli i znów przypomina sobie poranną zabawę w „wejda — nie wejda”.

Jedna z rozdzielonych balustradką części schodów zagrodzona jest przewieszonym przez sprzątaczkę sznurkiem; ona sama, stojąc na środkowych stopniach, wywija miotłą i krzyczy do tych, którzy nie zauważyli jej konstrukcji:

— Przejścia nie ma! Nie wolno! Co za ludzie, nic nie rozumieją, co za znieczulica! — i macha szczotką rozpylając kurz na prawo i lewo.

Andrzej idzie tam, gdzie wolno. Zastanawia się, co go tak uderzyło w wyglądzie profesora, ale dochodzi do przechowalni, zanim udaje mu się to uzmysłowić. Rozgląda się dyskretnie, spojrzął na stojących przy filarach — chcąc zapewne wyczuć, który tu w ramach czynności służbowych — a teraz wstawia neseser do metalowej szafki; drugi bierze ze sobą.

Promotor kupił już bilet i, zatrzymawszy się na środku hali, porządkuje coś w skórzanej teczce. Zajęty nie zauważa zwalnającego parę kroków przed nim Andrzeja; uczeń czeka cierpliwie, aż mistrz podniesie głowę.

— O, to pan... — dziwi się Skropański, a on zdaje sobie w tej chwili sprawę, że profesor bardzo się postarzał; do tego zmienił granat jesionki na podkreślający zmęczenie twarzy ciemnooliwkowy kolor.

Robi parę kroków do przodu czując, jak wzbiera w nim zmieszana z atencją i zadziornością czułość. Tak, mistrz kurczy się powoli, wchodzi w lata zmieniające dojrzałego mężczyznę jeszcze nie w staruszka, ale w starca. Potem kruszeć będzie z roku na rok jak pierniczek — jak zeschnięta grochovina, z której przy najmniejszym poruszeniu wysypują się ziarnka. W oczach pojawia się mgiełka, przez którą spojrzenie przebija się igiełkami śmiechu ciągle jeszcze z łatwością — ale właśnie się przebija, a nie błyszczy. Profesorowie, ten osobliwy gatunek ludzi, dożywają zazwyczaj matuzalemowego wieku, pozwalając obserwować na swym przykładzie wszystkie etapy żywota, podczas gdy robotnik czy chłop starzeją się gwałtowniej i jakoś skrótowo.

— Co słyhać, panie Andrzeju? — zagaduje Skropański dopinając teczkę.

— Dziękuję, wszystko po staremu — odpowiada czując,

że banalnego dialogu nie na długo starczy; zaraz zacznie się gimnastyka.

— To źle; myślałem, że trochę pan w tym kotle dojrzał. Jak tam praca, daleko? — pyta już bez ogródek.

Andrzej uśmiecha się nie wiedząc, czy wypada jeszcze udawać zakłopotanie.

— Szedłem sobie — odpowiada — i myślałem: „Na pewno zapyta o pracę... Albo pomyśli, że uciekam. Wojna dokoła, a on mi każe jakieś prace pisać, dobre sobie!”

Skropański patrzy ubawiony; szarże Andrzeja nie są mu obce. Uśmiecha się do swego źródła strapiień, a potem już serio:

— Panie Andrzeju, ciągle jest wojna. Odkąd ja pamiętam, jest. Ale trzeba ją wygrywać wielotorowo, na kilku frontach — bo co będziemy umieć, gdy już ten czas przyjdzie? Musimy być przygotowani: nie można wyjść naprzeciw z pustymi rękami. Pan wie, jak myśmy wykorzystali osiemdziesiąty pierwszy — i jak dalekowzrocznie wykorzystał to Kościół. Trzeba myśleć okresami dłuższymi, niż rok.

— Ja też... — bronił się śmiechem przed zepchnięciem na pozycję krnąbrnego ucznia. — Ja też będę myślał lepiej, gdy będę miał dwa tysiące lat.

Ścisła wyciągniętą przez promotora dłoń; ten znów kiwa nad nim głową.

— *Wot so wsjem sumazszedszyj* — mówi z troskliwym rozbawieniem w oczach i poważnieje. — Niech pan nie żartuje; przecież dla mnie to też sprawa sumienia. Bardzo bym się cieszył, gdyby pan przyszedł na początku przyszłego roku, zgoda? Pan Bóg kocha przekornych, ale do pewnego stopnia — kiwa żartobliwie palcem. — Niech się pan postara, panie A...

— Panie profesorze, to już w połowie przepisane, tylko...

— Tak pana te patriotyczne sprawy absorbują? — I nie czekając na odpowiedź dodaje: — Parę chwil musi pan znaleźć. Do widzenia, życzę spokojnych świąt, także małżonce i córeczce.

— Synowi — rewanżuje się Andrzej.

— Tak? Przepraszam; mam tylu „wnuków”, że ciągle się myślę — bawi się w swoją ulubioną grę. — To pan Rafał ma córkę...

— Też syna — ułatwia A.

— Ach... — śmieje się. — To już nie wiem, kto... — I nie dopuszczając do słowa jeszcze raz powtarza świąteczne życzenia.

Waldek czeka już od dłuższego czasu, bliżej Zamku niż Krakowskiego; zobaczyli się w tym samym momencie i teraz — nie podchodząc do siebie — ruszają w kierunku Starego Miasta, Waldek przodem, przybysz za nim.

Nie idą tradycyjnym szlakiem turystów i spacerowiczów, ale wzdłuż murów obronnych i aż do barbakanu, a potem w część miasta zupełnie Andrzejowi nieznaną. Jest to nadal Starówka, za plecami tamtej, zbanalizowanej przez miliony widokówek i setki kronik. Przechodzą kilka bram i króciutkich podwórek, idą na skrót wydeptaną przez środek trawnika ścieżką i już są na zamkniętym z trzech stron kamienicami, a z czwartej ścianą drzew placyku; przez bezlistne gałęzie połyskuje leniwa woda Wisły. Wiosną i latem, kiedy drzewa pokrywają się wypełnioną ptakami zielenią, a szeregi kamienic tamują szum i gwar miasta, może tu być cicho jak u benedyktynów — idealne miejsce do pracy.

Waldek zostawia Andrzeja i idzie sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Zostawszy sam siada na jednej z ławek — znów ten motyw młodego emeryta — wyjmuje z kieszeni papierosy, lecz nie zapala — tylko czerwien banderolki wdziera się w szarość spóźnionej zimy.

Waldek wyszedł właśnie z klatki, Andrzej nie zauważa ani nie słyszy jego kroków; prawie że podskakuje, gdy tamten kładzie mu na ramieniu rękę.

— Idziemy — mówi. — *Wsjo charaszo*, czekają.

Idą bez słowa wąskimi schodami, słuchając lekkiego skrzypienia desek. Na drugim piętrze Waldek otwiera znajdujące się po prawej stronie drzwi w sposób tak naturalny, jakby były od jego mieszkania, przekręca za sobą klucz i ująwszy Andrzeja za rękę, prowadzi przez całkowicie ciemny, wydawać się może, iż ślepy korytarzyk. Ale nie: po kilku krokach znajdują się w klitkowanym przedpokoju, skąd — zdjąwszy kurtki i buty — przechodzą do małej, z gustem urządzonej kuchenki. Siedząca na taboretach trójca podnosi się na ich widok — w kuchni robi się natychmiast ciasno. Andrzej przygląda się obecnym; duża blondynka w ciąży i dwaj, mniej więcej w tym samym wieku, mężczyźni — pocziwe, spokojne twarze.

Spotkanie przemienia się w półfamilijne: pani domu poleca napar na suszonej śliwce (niby przedsmak Wigilii), Waldek prosi o kawę, Andrzej ma ochotę na czystą i gorącą herbatę. Jest ciepło, cicho i przytulnie — nic nie wskazuje, że może się tu dziać cokolwiek nielegalnego.

Dziewczyna, jej brodaty mąż i Waldek przechodzą pod jakimś pretekstem do pokoju, by Andrzej i ten trzeci (przedstawił się jako Leszek) mogli spokojnie omówić sprawę. Oferta jest interesująca: na początek broszura Wyszyńskiego o komunizmie, Gombrowicz i Bór-Komorowski („Jeszcze ze szczecińskiej puli...”), a także wybite z okazji pobytu papieża medale. Płaci od ręki, umawiają godzinę i dzień następnego spotkania, ustalają jeszcze jakieś drobiazgi i przechodzą już do tamtych, rozmawiających w przyćmionym świetle niewielkiego pokoju. Andrzej spostrzega łóżeczko z małym dzieckiem: pochyla się i przygląda chłopięcym rysom otoczonym falbanową czapeczką twarzy. „Będzie następca — szepcze do wyraźnie zadowolonego ojca. Teraz, już po części służbowej, mogą wrócić do pełniącej rolę salonu kuchni. Prześliznąwszy się przez przedpokój siadają gdzie kto może, a pani domu rozlewa resztę herbaty; kończą rozpoczętą w pokoju rozmowę.

— Trusty i kartele — mówi Waldek. — Ten trop to jest wersja na przyszłość.

— A banki? — Andrzej zaczyna od razu z ironią; zna te dyskusje aż nazbyt dobrze. — Państwowe?

Waldek nie wyczuwa i odpowiada:

— No pewnie. Inaczej wpadną w ręce Żydów, a to gorzej niż u komuny.

— Bardzo jesteś chrześcijański — mówi Andrzej. — Jak ty to godzisz? Zorro też pewnie był Żydem, co?

— Kolega żydofil? — włącza się dostawca. — To może nie bierz wszystkiego?...

— Nie o to chodzi — odpowiada spokojnie i dodaje: — Dyskutujemy jak parlament, a chodzimy boso.

Patrzą zaskoczeni; widać, jak powoli przybierają wyraz dyskretnej niechęci. Andrzej urywa; jeśli nie są w stanie znieść kilku ironiczných słów, to szkoda gadać.

Zapada niezręczna cisza. Panowie kręcą się nieswojo, jakby zorientowali się, że wpuścili między siebie trędownego, dziewczyna próbuje zatrzeć wrażenie nietaktu nową porcją herbaty. „No, będzie Waldek miał za swoje...” — myśli Andrzej. Na razie jednak, popijając gorący napar, przechodzą na tematy neutralne.

- Kiedy wracasz? — pyta Waldek gospodarza.
- Zaraz po świętach — wzdycha tamten. — Cały dzień jazdy, a potem jeszcze na poligon...
- Armia? — wtrąca chcący odzyskać dawną pozycję Andrzej.
- Żeby tylko! Branka do Zomo... Ładna koincydencja, co? — i kręci głową nad swoim losem.
- Pogadują jeszcze trochę, ale widać, że to na wychodnym; już nic nie da się skleić. Jeśli Andrzej ma zdążyć na dwudziestą, to powinien się zbierać. Podnoszą się i znikają równie cicho jak weszli.
- Wiesz — mówi Waldek już na ulicy. — Niepotrzebnie się wygłupiłeś. Postawiłeś mnie w niezręcznej sytuacji. Przepraszam cię, ale to było trochę szczeniackie.
- Andrzej nie odpowiada; przepraszać nie będzie.
- Masz prawo do własnej metody — dodaje Waldek.
- Niemniej ja bym się tak nie zachował.
- Wiem: za dobrze jesteś wychowany, akurat na dziewiętnasty wiek... Nie zrobiłem tego *pour épater*.
- Tylko?...
- Za drugim razem potraktują jako normę. Poprzeczka w górę, mój drogi.
- Tym sposobem? Raczej poczytałbyś coś z tego — i wskazuje na nesesor.
- To akurat mam za sobą... co wcale nie znaczy, że dam się tym blokować. Czy nie wydaje ci się czasami, że wchodzimy w nowy rodzaj zakłamania? Tym groźniejszy, że potrzebny i słuszny? Przecież ty sam się zawężasz! Ja zresztą też...
- Czeka, czeka, jeszcze z dwa lata i Piotrek zacznie cię pytać. O te luzy.
- Wtedy kupię mu obrazek Papieża-Polaka.
- Waldek milknie nastroszony, jak mokry borsuk. „Jeśli obrażać, to sensownie...” — myśli Andrzej i zaczyna to, co od dawna chciał mu powiedzieć.
- Ciągłe zamykamy się w jakichś klatkach, jakby nie dość, że nas zamykają! Czepiamy się to doktryny, to zagranicy, to znów Pana Boga. Ale jakiego... Bóg na użytek Polaków, niemal ich własność. Jesteś tego najlepszym przykładem — odregowuje dalej swój stress. — Węszysz jak milicyjny Ruslan; żydokomuna, masoni lub jacyś inni agenci. I te twoje zarzuty, że biorą pieniądze. A niby skąd mają brać — od partii?! Poszukaj dobrze, to może znajdziesz asasynów,

albo i samurajów!... Zresztą nie tylko ty — łagodni. — Imię ich legion. Wiesz, czego nam ciągle brakuje? Odwagi bycia, w czymkolwiek silnym, dojścia do jakiejś krawędzi, ostateczności... a my utykamy ciągle w pół drogi, rozpuszczamy się. Polityka takich rzeczy nie darowuje. Trzeba przełamać strach, błagania papieża i ich propagandę; w nosie mam zwycięstwa moralne, gdy siedzę po uszy w gnoju. Chociażby terroryzm: czy naprawdę to nie sposób, by się z tego wy dostać? Może to byłoby moralniejsze, co? Przynajmniej raz doszlibyśmy w jakimś myśleniu — i działaniu — do końca. Bierność, pasywność, pozwalanie by ci pluto w twarz — to jest zwycięstwo nad nimi i sobą? To męstwo? Jeśli tak, to bardzo dziękuję. A rozpijanie ludzi i morze kłamstwa, a demoralizacja od przedszkola, a dawać się okradać — to być górą? Od kiedy to marazm i strach są cnotami?... Co mi tam księża i inne pięknoduchy, oni nie muszą przedzierać się przez codzienne gówno. Czy nie widzisz, jak ten naród z dnia na dzień głupieje, daje się prowadzić jak pies za kielbasą, z serialu na serial? Czy tacy jak ty czy ja nie czują się, nie powinni się czuć odpowiedzialni?

— No, no... — odzywa się Waldek. — Ciekawy dajesz występ. Taka sama demagogia, jak czerwonego.

— Zarzucano nam — Andrzej puszcza uwagę mimo uszu; mówi już tylko do siebie. — Zarzucano, że chcemy władzy. Ja bym coś innego zarzucił: żeśmy jej nie chcieli! Z jakiej racji i w imię czego oddajemy ją (i siebie) w ręce zawodowych bandziorów? To honor? Godność, duma? Czas postawić kropkę nad „i”, mówić to, o co naprawdę chodzi...

— To sobie postaw... Oto i początek obłędu pieniaczego, takie są pierwsze objawy, wiesz? Zajmij się lepiej domem, wychowaniem dziecka, przyjaciółmi, a nie tu...

— Chcieliśmy ich tylko „kontrolować”... Cha, cha! Tak, chcemy władzy, bo to nasz kraj, chcemy wypierdolić ich na łeb, na szyję, niech wracają tam, skąd przyszli. Do budy, kurwa, do Moskwy — tam wasz car-otiec! Ty też — zwraca się do idącego z boku — tłumisz w sobie te myśli, ale dopóki tak będzie, to nie ruszymy z miejsca. Siedzimy jak w cylindrze czarownika, a tu trzeba odblokować, sprawdzić działanie — może nawet nieskuteczne — ale dopiero po tym będzie możliwość pójścia dalej. Kisimy się ciągle w tym samym kotle.

Milknie. Waldek także się nie odzywa; nie wiadomo, czy to lekceważenie, czy opór. Idą kilka kroków, nadal bez słowa

— wygląda na to, że słuchacz zabarykadował się na dobre. Andrzej postanawia docisnąć pedał jeszcze bardziej.

— O co walczyacie — o związki zawodowe? Czyście już całkiem otumanieli? Walczcie o wielkie, małe samo będzie, naturalną koleją rzeczy. Zarzucacie tej bandzie nieprzestrzeganie konstytucji uknutej w nocy stalinowskiego terroru! Tak daliście się ogłupić! Porównaj sobie żądania z pięćdziesiątego szóstego i dzisiejsze — aleśmy zjechali, nie do wiary!... To bunt niewolników, którzy chcą lepszej michy, ale nie wolności.

Wyciąga paczkę, zatrzymuje się na moment i zapala. Waldek czeka parę kroków z przodu. Bierze w rękę nesesor i nie zdążywszy jeszcze do niego dobrze dojść, zaczyna znowu:

— Pewnie każesz mi być cichym robotnikiem dzieła Pańskiego, co? Nie chcę, rozumiesz? Nie mam ochoty. Ciągłe to samo rozwiązanie: błogosławieni, cisi i ciemni. Czy nie zostało nic, tylko plagiatawać ciągle tamto rozwiązanie? To jest pójście na łatwiznę, wiesz? Jeszcze ci się ten Chrystus nie znudził! Rusz się, czego się boisz? Więzienia? Rok, trzy — to tak wiele? Tak ci zależy na trochę dłuższym sparcerniaku?... A może ty też wyślesz mnie do psychoanalityka, co? No śmiało, zawijanie w mokre prześcieradła to najlepsza terapia!...

I, jakby doprawdy nie dość było tego, co już napłótł, dodaje:

— Ciekawe, co wy wszyscy zrobicie, gdy posada papieża się zwolni... Zbiorowe samobójstwo?

Urywa i czeka na odpowiedź; czuje, że się zagalopował, nic więcej nie może już dodać. Waldek milczy. Dochodząc do przystanku wyciąga rękę:

— Leć już, bo nie zdążysz... Pozdrów Ewę.

Ściska mu prawicę, ale wzrok ma daleki i niekontaktowy. Nie czekając na przyjazd autobusu odchodzi.

Andrzej znowu zostaje sam. „Naplotłeś jak w delirce” — myśli, jednak dobrze wie, że musiał i powinien był to z siebie wyrzucić.



## VI

Przesuwa się korytarzem wagonu trzymając cięższą torbę z przodu, a lżejszą z tyłu, balansując między nimi, by zachować równowagę; przy dobrym rozstawieniu nóg może dość szybko iść do przodu. Większość przedziałów jest zajęta. Powinien pojechać na „Zachodni” i tam zająć miejsce; zawsze to sobie obiecuje, ale nigdy nie starcza mu czasu.

Przedziałów, których firanki są zasunięte, nie próbuje nawet otwierać — jakby nie chcąc ingerować w czyjąś, stworzoną na krótki czas jazdy intymność. Zna to aż nazbyt dobrze: zaglądasz do wypełnionego rozmową wnętrza i od razu czujesz się intruzem; słyszysz zdawkowe odburknięcie lub wyraźną, udzieloną z triumfującym uśmiechem odpowiedź, że wszystkie zajęte. Te uśmiechy są jak ostrza: odcinają tak, że nawet widząc wolne miejsce, ale czując przez szybę niechęć całej wspólnoty, wolimy przesiedzieć na korytarzowym krzeselku, budzeni i potrącani.

Przechodzi cały wagon, w drugim sytuacja też nie lepsza. Wreszcie na samym końcu pierwszej klasy trafia na przedział zajęty tylko przez dwie osoby — młodą kobietę w okularach i umajonego szeregami baretek pułkownika. Waha się — najwyraźniej nie on pierwszy — i rozsuwa drzwi.

— Dobry wieczór, wolne może te miejsca?

Głowy zwrócone w jego kierunku: niebrydka okularnica oraz tamta — krzaczaste brwi i jowialna twarz. Pułkownik czeka na decyzję dziewczyny, ta nie bardzo rozumie, o co chodzi.

— Tak, proszę — mówi pokazując wolną część przedziału gościnnym gestem gospodarza.

Andrzej ustawia bagaże po stronie wojskowego, siada i wyjmując z chlebaka zaczęta wczoraj książkę. Ktoś, jakby odgadując jego ostatnie zainteresowania, polecił mu Terleckiego, ale Andrzej już po kilku stronach wie, że oplecione dramatycznymi zwrotami fabuły przygody zawodowych rewolucjonistów, porywaczy i dyplomatów nie bardzo tutaj pasują. Przypominają mu się poznani dziś ludzie, ich naiwne, okolone stylizowanymi na powstańcze brodami twarze, a potem jeszcze tamto zdanie z Malraux; nie, to wszystko nie tak. Gdybym musiał wybierać, to raczej wolałby ową wieśniaczkę spod Lublina, u której przez kilkanaście miesięcy drukowali

gazetkę; jedna z niepozornych kobiet, które na wyjazd do miasta wkładają lepsze gumofilce, a po podwórzu, między kurami chodzą w przydeptanych, czarnych butach wdowy. Zawsze po wydruku robiła dla nich wielką jajecznicę ze skwarkami, a od czasu do czasu wyjmowała z beczki peklowane kotlety, jakich nie jadał nawet u swojej matki. Kręciła się wokół gospodarstwa obserwując jednocześnie ulicę i sąsiadów, a potem przychodziła popatrzeć, jak idzie robota. Zakładała na nos pomężowskie okulary i sylabizowała świeży wydruk; „Dobre, może iść do ludzi” — mówiła, a oni wiedzieli wtedy, że wszystko jest w porządku.

Patrzy przez okno na umykające światła; pociąg pokonał już rozjazd i nabiera szybkości — zatrzyma się dopiero w Pilawie. W tyle została kolistą łuna miejskich świateł, z pola migają okna tkwiących w ciemności domów; ktoś patrzy stamtąd na prześlizgującego się przez noc, błyszczącego światłami węża wagonów, a potem opuszcza firankę i wraca do wieczornych zajęć. Andrzej kładzie książkę do góry grzbietem i wychodzi na korytarz: zdawkowa rozmowa współpasażerów nie pozwala na czytanie. Obróciwszy się plecami do okna przygląda się dyskretnie tamtym dwojgu. Kobieta jest z tych, które mimo młodego wieku nie sposób nazywać dziewczynami; nie tylko kanciasta męskość rysów, ale i obrączka na palcu i krój ubrania mówią, że należy do wybierających model życia szybko i raz na zawsze; oficer ma jowialną twarz i przyprószoną siwizną, korzystnie nawiązującą do szarży i munduru głowę. Są z tych samych sfer — tyle zdążył wywnioskować z rozmowy; służba, rozkazy, musztry, rytuał codziennych zajęć, sposób dowcipkowania — wszystko tak różne od jego świata, że chcąc to zatrzeć, trzeba by przebywać ze sobą latami. Pułkownik jest podobny — uświadamia to sobie teraz — do starego Pietraszkiewicza: są z tego samego pokolenia i tej samej formacji, tylko rozwiązania końcowe wypadły im inne. Nawet ich twarze zawierają spore podobieństwo; krzaczaste, miłoszowe brwi, bystre spojrzenie i przysługujący nie tyle wiekowi, co będący wynikiem konsekwentnego wyboru rys nobliwości.

Pietraszkiewicza poznał przypadkiem: popsuł się piecyk gazowy i trzeba było wezwać specjalistę. Przyszedł pan szacowny, z nosem zwyczajnym — nie sinym, jak to u fachowców — i po kilku kurtuazyjnych zwrotach zabrał się do pracy. Ewa z Andrzejem siedzieli w kuchni, on dłużył coś w łazience, wychylił się i poprosił o pomoc. Rozmowa zdaw-

kowa, w której przypadkiem pada, że pan jest dorabiającym sobie do emerytury inżynierem instalacji sanitarnych. Ewa wyszła do sklepu, pan przechodzi do kuchni, poprawia coś przy bateriach, pada coś o Rosjanach, pan mówi, że siedział u nich w obozie... Andrzej też coś dorzuca, napomyka kilka zdań o sytuacji; są sami, bez świadków. Pan hydraulik z głową pochyloną nad zlewozmywakiem dodaje, że znalazł ich wywiad angielski, w ostatniej chwili, gdy już mieli iść *pod stienku*. Okazuje się, że wzięto go dopiero po wojnie, gdy zmuszono część AK do wstępowania w szeregi nowej armii; wcielono go w Chełmie. Skoro walczył u boku Czerwonej, to dlaczego — dopytuje się Andrzej — po wojnie wzięto go jako niepewny element i przedwojennego podoficera? W czasie wojny stał razem z Berlingiem pod Warszawą, gdy płonęła w powstaniu, był jednym z tych, którzy domagali się zezwolenia na pójście stolicy z pomocą. Zrobiono — opowiada — odprawę, przyszedł Rokossowski i stanowczo zabronił. Wreszcie pozwolono na małą grupkę rozpoznawczą: znalazł się w niej i Pietraszkiewicz, przeszedł Wisłę bez żadnej osłony i przygotowania artyleryjskiego, zdobyli przyczółek czerniakowski. Ofiary, mówi, były potwornie wysokie, bo Ruscy ani drgnęli... ani nie pozwolili naszym. Wraz z innymi dostał się do niewoli, uciekł i znowu zgłosił się do wojska; po Berlinie capnęli go do łagrów. Wrócił do kraju i jakoś przetrwał, a po pięćdziesiątym szóstym zaczął uczyć w technikum.

We wrześniu osiemdziesiątego był jedną z czternaściorga zakładających w regionie „Solidarność” osób. Tych, które siedziały w biurze po dwadzieścia cztery godziny na dobę, przepisywały na własnej maszynie, drukowały na ramie, jeździły po zakładach miasta i województwa uczyć i instruować. Oni to, gdy ludzie byli jeszcze niezdecydowani i czekający, co z tego wyniknie, rzucili wszystko na jedną szalę.

Wypuszczając go po aresztowaniu w Gdańsku przedstawiono mu nakaz internowania w jednej i paszport w drugiej ręce; wybrał wyjazd z prawem jednokrotnego przekroczenia granicy. Był rok we Francji, kilka tygodni w Niemczech i w Anglii — jeździł po spotkaniach i wiecach, wyjaśniał, przemawiał; był nawet na Sorbonie.

Po roku wsiadł w samolot i przyleciał do Warszawy. Kapitan na lotnisku nie chciał go wpuścić, zrobił się tłok, zdenerwowani ludzie zaczęli pytać o co chodzi, aż w końcu rozszelony tłumek naparł na funkcjonariusza tak, że o mało

nie przewrócono go wraz ze stolikiem... a Pietraszkiewicz, popchnięty przez pasażerów, znalazł się nagle po drugiej stronie bramki. Po powrocie do Lublina obawiał się, że go wróć — i dopiero po upływie miesiąca poszedł oddać paszport. Pan ubecki przyjął go bardzo uprzejmie, poczęstował „kluboro”, zdziwił się troszkę i przyjął, mówiąc jeszcze sakramentalne „w porządku”.

Stuknięcie drzwi, obrót Andrzejowej głowy i zdziwienie: na końcu korytarza pojawia się sylwetka Tymka „Libido”; ten zauważa go także.

— O, cześć. No i jest ktoś znajomy, zawsze się kogoś w warszawsko-wiedeńskiej spotka, nie?

— Witaj — odpowiada Andrzej. — Nie widziałem cię na „Centralnym”...

— Wsiadałem na „Wschodniej”, wracam z sąsiedniego zaboru. Są tu wolne miejsca?

— Cały przedział. *Danzig*?

— *Nein, Posen*, odwiedziły rodziców. Czekaj, zostawię bagaże i skoczmy do „warsu”, dobrze? Coś ty taki elegant? Koszulka *à la* Słowacki...

— Mochnacki.

Tymek zamontowuje się w przedziale i wraca. Mijają po drodze sztywnego jak szpadel konduktora („uwalony jak konduktor” — komentuje Tymoteusz), przepychają się przez zapełnione „dwójki” i docierają do celu.

W „warsie” luźno.

— Można tu zapalić? — zwraca się Tymek do barmana, który podaje im herbatę.

Barman pokazuje bez słowa tabliczkę z przekreślonym papierosem.

— A o cukier można prosić?

Drugi z podpitych bufetowych, ten w przyciemnych okularach, przesuka po blacie głęboki talerz.

— Elegancka cukiernica — komentuje w rewanżu znany z pozytywistycznego zacięcia Tymek.

— Prawda? Zupełnie wystarczająca.

— Niewiele panu trzeba — i odwraca się do Andrzeja z pogardliwą miną. — Ty pewnie służbowo, co? — mówi, jakby przenosząc na niego część niechęci. — Masz coś nowego?

— Coś tam się znajdzie — odpowiada potencjalnemu klientowi polubownym tonem. — Wyszyński i „Bór”...

— Drugiego biorę od razu dwa egzemplarze — deklaruje się Tym.

— Iście heretycki wybór. Weź i Stefana, to o komunie — zachęca.

— Dziękuję bardzo, mam tego *die Nase voll...*

— Rzeczywiście? Każdy z was tak mówi — i siedzi u nich dalej. Pamiętasz, jak prawie że przysięgałeś, jeszcze w osiemdziesiątym pierwszym, że jeśli tę szansę zmarnują, to oddasz książeczkę? I co, czekasz chyba na następną pięciolatkę, nie? — Tymek wpatruje się w aluminiowe, przymocowane ampulowymi śrubkami, obramowanie stolika. — Nie zrobisz tego nigdy, wiesz? — dodaje Andrzej. — Mam ci mówić, dlaczego? Tak, mój drogi, powoli, małymi kroczkami, określaliśmy sobie naszą wersję.

— Ty też — ratuje się Tymek. — Tyle, że trochę inaczej — mówi nie spuszczać wzroku z wyciętych w śrubkach krzyżyków.

— Tak, masz rację. — Ustępuje. — Za parę lat pudła. — Najwyraźniej zaczyna być znów agresywny.

— Nie rozmawiajmy o tym, dobrze? Nie mam dziś weny, chodź. Te szklanki za kaucją?

Po drodze urywa się w poszukiwaniu wody, zaś Andrzej wraca do przedziału.

Przeciera twarz dłońmi, jakby chciał zetrzeć całodienne zmęczenie i starając się nie słuchać rozmowy tych dwojga wciska się w kąt. Ma ochotę na drzemkę, ale dziewczyna pytluje o odwiedzinach u męża, opowiada o wyprawie do teatru rozrywki, żartuje na temat słomianych wdowców i narzeka na kryzys — nie ma tematu, który byłby jej obcy; renesansowa. Na widok jej olbrzymich, rozsadzających bluzkę piersi Andrzej przypomina sobie młodzieńcze wyobrażenia. Sądząc z socrealistycznych rzeźb myślał zawsze, że są twarde jak marmur, kiedy więc dotknął ich po raz pierwszy, był święcie przekonany, że dziewczyna jest chora. Dopiero z biegiem czasu nauczył się cenić te — jak mawiał — zakończone smakowitym rodzynkiem delicje.

Pułkownik wysłuchuje gderañ dziewczyny z pobłażliwym uśmiechem kogoś, kto kiedyś też zaczynał i od czasu do czasu kiwa jej głową. „Będzie tak pieprzyła — myśli Andrzej — całą drogę”.

— Przepraszam, że się wtrącam — mówi z kąta. — Sądzę, że pani, a i pan także, nie macie aż tak wielu powodów do narzekania; inni muszą uporać się z kłopotami z dużo

większym nakładem sił. Pani — dodaje, dbając o niejaką elegancję wypowiedzi — narzeka, mam wrażenie, trochę dla mody, a trochę z przyzwyczajenia...

Pułkownik obraca się na miejscu, by go lepiej widzieć.

— Wie pan — mówi. — Wcale nie jest tak dobrze, to już nie te czasy...

Andrzej uśmiecha się z oddali; ci, którym dobrze, zawsze narzekają. Odwieczna asekuracja.

— Pan się śmieje... — mówi kuzyn Pietraszkiewicza.

— Tak, bo nie wierzę.

— Tak się panu wydaje, a jednak trudności są. A chłop, panie — wskakuje na dobrze znaną nutę — nie ma tak źle; nigdy nie miał lepiej. Zabije prosiaka, kurę ma, jajko ma — czego mu więcej trzeba?

— Sądzi pan, że niczego? To inny sort ludzi? Być brudnym i uwiązanym jak pies, to wystarcza?

— Przesada — odpowiada stary spokojnie. Dziewczyna przysłuchuje się z zaciekawieniem. — Coraz więcej chłopów ma samochody, murowane chałupy...

— Pan ma też, nie? I proszę nie porównywać z lepianką i sochą.

Pułkownik zasępią się, więc Andrzej postanawia odczekać; szkoda go płoszyć.

— Pan ma skrajne poglądy — zaczyna wojskowy oglądając wielkie dłonie.

— Ekstremet? — śmieje się Andrzej.

— Nie lubię tego słowa, to propaganda. — Kręci głową robiąc do tego pełną niesmaku minę. — Nie widział pan w telewizji ferm? Państwo to popiera; gdyby miało zamiar zniszczyć, to by nie reklamowali.

— Różne rzeczy widywało się w telewizji. Pan wie lepiej, co to pozorowana obrona i pozorowany atak. Pokazywanie wyjątkowych...

— Właśnie! — wskakuje pułkownik w pół słowa. — To są, niestety, wyjątkowe, a państwo chciałoby...

— Chcieć to móc, proszę pana — odparowuje Andrzej.

— ...chiałoby mieć ich wiele. To przecież czysty zysk!

Dziewczyna jest trochę znudzona: znowu te niekończące się dyskusje; zaraz zaczną o „Solidarności”. Wstaje i z usprawiedliwiającym uśmiechem wychodzi na korytarz. Andrzej postanawia wykorzystać moment i dopowiedzieć myśl do końca.

— Na zdrowy rozsądek ma pan rację. Tylko że prymat

nie należy do ekonomii... ani do zdrowego rozsądku.

— Ale to przecież piękna idea — wyznaje stary. — Gdyby ludzie chcieli zrozumieć!...

— Albo gdyby ją można było zadekretować, nie? Już dziś mielibyśmy arkadię. Ze spacernikiem.

— Bzdury pan mówi — obrusza się stary. — Czytał pan choć raz klasyków? Marksa, Engelsa? Lenina?

— Nowy trynitaryzm? Czytałem, czytałem, choć szkoda czasu. Marzenia kaprali o falansterach, mundury zamiast kostiumów... Istny ogród rozkoszy, gdyby tylko nie te kraty... Wie pan, słyszałem niezłą myśl; że wcale nie chodzi o realizowanie utopii — dziś chodzi o to, aby jej uniknąć. Można to wytrzymywać przez czterdzieści dni, no — miesięcy, ale nie lat!... Dlaczego nie spróbowano najpierw na królikach?

— A te wasze pomysły, to co? — odcina się od innej strony. — „Druka Japonia”... — szydzi. — Mrzonki, mój panie, mrzonki!

— No cóż, jeśli usunięcie totalnych bzdur nazywa się mrzonkami, to dziękuję. Można tylko jedno, nie? Gęby w kubel i do roboty. A wy już zadbacie o nowy kształt. Kija i marchewki.

— Gdyby ludzie zrozumieli... — nawraca pułkownik prawie że błagając o wiarę. — Można by cuda, mój panie, cuda!

— Ale socjomasa nie daje się przesterować? Najlepiej, gdyby po służbie w wojsku wstępowało się do służby w fabryce, nie? Ale cóż, sekta Marleny nie chwyciła... mimo, że macie nieśmiertelnego. Byle się lodówka nie popsuka — syknął z niemal prawdziwą obawą.

Stary milczy, Andrzej — choć z lekka przestraszony tym, co robi — jest zadowolony; co innego pisać w gazetkach, a co innego powiedzieć wprost to, co od lat tłumione. Mimo niezbyt sprzyjających warunków (pełne nesesery) dodaje:

— Nowego człowieczka już stworzyliście... A i w gospodarce niezłe rezultaty: słyszał pan, że pegeer Babin wyhodował dwunastometrowej długości świnie? Sama potrafi wejść przez rynnę na pierwsze piętro! — dziwi się jej paranormalnymi umiejętnościami. — Jest to tak zwana świnia Epikura.

Milknie. Robi się cicho, jak makiem zasiał. Andrzej wie, że zdrowo przesadził. Czeką, aż wrażenie ostatnich słów osłabnie. Chciał przeprowadzić tę rozmowę jak od niechcienia,

a jednocześnie powiedzieć — i dowiedzieć się — jak najwięcej. No cóż, nie udało mu się.

Wraca Tymek. Zatrzymuje się naprzeciwko przedziału i zapalwszy papierosa wdaje się w pogawędkę z dziewczyną; ten nie przepuszcza żadnej.

Stary nie zdradza ochoty do dalszej rozmowy; ma go najwyraźniej powyżej uszu. Andrzej jest chyba zmartwiony. W dodatku nie może nawet wyjść — po czymś takim nie wypada. Powinien to czymś, jakimś ustępstwem, załagodzić.

— Proszę o wybaczenie ostrych sformułowań — mówi. Uważam jednak, że jeśli jakaś idea zdolna jest wzburzyć masy, to coś z nią nie tak... Rzeczy ważne dzieją się w samotności.

Otwierają się drzwi — wraca współpasażerka. „To pewnie ta nowa Diana... — myśli Andrzej. — Z rajy realnego socjalizmu”. Tymek zostaje na korytarzu.

— Dojeżdżamy do Dębina — informuje kobieta, siadając na swoim miejscu. — Za godzinę będziemy w domu.

Pułkownik nie reaguje, Andrzej czuje się zobowiązany być uprzejmym za obydwo.

— Pani także do Lublina?

— Tak — odpowiada zadowolona. — Mój stary w Modlinie, a ja sama... — śmieje się nerwowo i natychmiast, by zatrzeć dwuznaczność, rzuca od niechcenia paczkę „caro” na mały stoliczek przy oknie; dokłada zapalniczkę i jeszcze — na wszelki wypadek — zakłada nogę na nogę. No, teraz już równowaga: terapia ruchowa zrobiła swoje.

— Często pani jeździ? — dopytuje się Andrzej.

— Raz, czasem dwa w miesiącu — mówi ze spokojną neutralnością. — Czas, byśmy dostali mieszkanie.

— Chciałaby pani w Lublinie czy w Modlinie?

— Modlin to dziura, nie ma co robić. Moglibyśmy mieszkać w Warszawie, a stary by dojeżdżał... Potem może trafiłoby się coś lepszego.

— Modlin to ładne miasteczko — odzywa się wreszcie pułkownik. — Dużo zieleni, do stolicy blisko, warunki pracy bardzo dobre, ośrodki sportowe... — wylicza plusy dobrze mu znanego terenu.

— No i z tradycjami — dorzuca na zgodę Andrzej. Ale w myślach dodaje: „Tak właśnie ma wyglądać ten paradis...”

— Tak, tak, szacowne miasto — przytakuje oficer. Andrzej oddycha już z ulgą; najgorsze minęło, obecność kobiety stymuluje nastrój. Czując się zwolniony od dalszej



rozmowy — niech dziewczyna zrobi resztę — przeprasza ich i wychodzi z przedziału.

— Widzę, że flirtujesz z wojskiem polskim... — śmieje się Tymek.

— Jakie tam ono polskie; wszyscy po szybkobieżnej z Riazania. Albo uczeni nocą.

— Ale panienska niezła... Światowa.

— Tak? Diana z ichniej sielanki.

— No, była we Francji, Anglii. Grecję też zna...

— Tę to obowiązkowo... Jeździ po Europie, ale studiuje w Moskwie. A potem ciepłe posadki. Tatuś załatwi...

— Ty chyba jesteś kryształowy, co? To normalne, że istnieje wymiana.

— Tak, tak... A stacjonujący w Polsce żołdaci mogą już występować w naszych barwach. To może też w ramach normalnej wymiany?

Tymek jest zaskoczony.

— Skąd to?

— Z gazet, mój drogi, z oficjalnych. Biorą nas bez mydła, nawet nie czujemy.

— Powiesz mi kiedyś? — pyta Tymek z ironią. — Zachowujesz się, jakbyś miał na pieńku z całym światem.

— Z połową na pewno — śmieje się sztucznowo. Tymek milczy; znudził go swą zacieklą paranoją.

— Siadasz? — pyta *pro forma* i rozsuwa drzwi.

— Za chwilę — odmrukuje. Też chce być sam.

W końcu korytarza majaczy postać grubej konduktorki, idzie więc do części dla palących i dopiero tam — rozkruszywszy papierosa w palcach — podaje sobie równie dokładnym jak Hans Castorp ruchem ogień. Oparty o szklaną ścianę któregoś z przedziałów patrzy w mijaną za oknem noc. Całodzienne zmęczenie ustąpiło i teraz czuje, że wchodzi w godziny nocnego przebudzenia. Teraz, gdy inni kładą się spać, on rozpoczyna drugą część doby, gotów do długiego siedzenia i nocnych rozmów. Żyłka hazardzisty znowu daje o sobie znać: wie, że weźmie górę nad rozsądkiem i nakaze dokończyć zaczęta w przedziale dysputę. Na myśl o jej przebiegu uśmiecha się do swego odbicia w ciemnej szybie wagonu; jest nie wiadomo czemu przekonany, że wojskowy nie wyrządzi mu krzywdy, że jest z natury życzliwy i dobroduszny. Nie wie o nieświadomym identyfikowaniu go ze starym Pietraszkiewiczem, z którym zewnętrzne podobieństwo niczego przecież nie gwarantuje. Ma do tego poczucie

przewagi, nad której istotą też się nie zastanawia: gdyby go zapytać, to odpowiedziałby prawdopodobnie, że to przewaga racji, a nie sprawności... a już tym bardziej nie wynikającego z niespełnienia ładunku fanatyzmu. Do tego trzeba jeszcze dodać postawę Tymka; zostawił go samego, więc nie ma już nic do stracenia. Podaje mijanej w drzwiach konduktorce bilet („Zawsze mają farbowane włosy...”) i wraca do przedziału.

Towarzystwo rozmawia o programie telewizyjnym, aktorach, narzeka na niski poziom i nudę. Tymek w tym wszystkim smali cholewki do europejskiej; na widok Andrzeja uśmiecha się z zażenowaniem.

— Wiesz — próbuje swobody. — W tym, co mówiłeś, nie ma nic dziwnego. Obcokrajowcy występują w różnych klubach, więc czemu nie?

— A ci też na kontrakcie? — replikuje korzystając z możliwości odzyskania przewagi. — Nie wiesz, iluletnim? — I nie zmieniając rytmu przyskakuje do tamtych:

— Ależ, proszę państwa, pozwolę sobie być innego zdania; ten w Gdańsku grał dokonale. Profesjonalista... Gestykulacja, mimika — cóż za swoboda i dezynwoltura! I te kropelki na końcu nosa... Pocił się jak prawdziwy.

Zaskoczenie; nawet stary nie wie, do czego on zmierza. Tymek patrzy wzrokiem pod tytułem: „Czyś ty oszalał?”, Andrzej zaś zamysła się niby głęboko; robi minę, jakby ciągle nie mógł wyjść z podziwu dla tamtego organizatora wyobraźni. Dodaje:

— No, może tylko zabrakło zdecydowania... Powinien wejść w lud i natrzaskać go po pysku. Awangardowym. A resztę, powiedzmy, internować.

Pułkownik ogląda paznokcie; nie będzie gadał z głupim smarkaczem.

— Ma pan rację — odzywa się niespodziewanie i łagodnie. — Myśmy też u siebie rozmawiali, że nie powinien. Dyrektor na naradzie... ale i to nie. Nie wypada — kończy.

— Hm, można na to różnie spojrzeć — kontynuuje Andrzej bawiąc się wziętą w niekontrolowanym odruchu zapalniczką kobiety; wygląda, jakby medytował nad lepszym bonmotem. — I tak był delikatny. Mógł przyjechać na czółgach, troszkę pogazować, a tego i owego — oczywiście tylko dla przykładu — zabić. A on nie, nawet krawat zdjął; jak *détente*, to *détente*...

— Panie! — wybucha pułkownik, dla którego jest to

wreszcie za wiele. — A co mieliśmy zrobić? Czekać, aż wejdą i zafundują drugie Węgry? Dywizje stały na granicy — i to azjatyckie! Cóż to dla nich wybić sześć milionów inteligencji?! I znów byśmy zaczęli od początku. Pan tu sobie żartuje, łatwo mówić! Towarzysze radzieccy pytali, czy damy rękę sami... A długo trzeba, żeby w terenie coś wybuchło?

— Komu by wybuchło? Chyba te bimbrownie.

— Żeby zdobyć władzę — pułkownik jeszcze bardziej odwraca się w stronę rozmówcy. — Nie trzeba wcale mieć wojska. Wystarczy w paru miastach wojewodów, dyrektorów kluczowych fabryk — i po krzyku. A wtedy weszliby na pewno. Pan zna historię i wie, że oni z niczym się nie liczą! Z niczym, tylko z siłą!... — Odsapnął. — A nasz naród... Do dziś by to trwało. Trzeba patrzeć i z tej strony. Mamy niepodległość dopiero sześćdziesiąt lat, a...

— Niepodległość?

— Niepodległość, panie! — odparowuje mundurowy. — Jaka jest, taka jest, ale istniejemy! A musimy myśleć stuleściami!...

— Inni też myślą. I może nawet mają czasem rację.

— Racje! Cóż tu racje mają do rzeczy? Liczy się tylko jedno — siła! Siła i nic więcej. A kto jej nie ma, musi się podporządkować. Takie są reguły gry, realia! Realia, drogi panie, a nie jakieś nieodpowiedzialne politykierstwo!

— Pan już myśli ich kategoriami... A mundur polski.

— Proszę mnie tu nie obrażać — zwalnia wściekłość i patrzy na niego piorunującym wzrokiem. Andrzej nie cofa się i gra dalej.

— To nie dla obrazy; ja to wykażę...

— Niech pan na to spojrzysz z wojskowego punktu widzenia — przerywa mu stary; najwyraźniej przestał się kontrolować. — W enerde stoi sześciomilionowa armia: kto, pytam, pozwoli, by na jej zapleczu działały się podobne rzeczy? Wie pan, kiedy był pierwszy termin? Pierwszego stycznia! Ale przeważało zdanie, że się opamiętają, zrozumieją... Skąd! A potem był pierwszy kwietnia...

— Znów magia nowoczesna?

— ...zaraz po ogłoszeniu strajku.

— A skąd wiedzieliście, że się to stanie? — strzela błyskawicznie i przypina się do starego wyczekującym spojrzeniem. Pułkownik zatrzymuje się i patrzy zaskoczony.

— Byliśmy przygotowani cały czas — mówi wreszcie. — Takiej akcji nie przeprowadza się z dnia na dzień... A potem

trzeba było czekać, bo ludzie rzeczywiście mogli pójść do lasu. To nie była kwestia decyzji, lecz momentu.

Milknie. Za oknem przesuwa się światła wyglądających jak wielkie kosmiczne pojazdy zakładów; pociąg zbliża się do Puław. Do końca podróży zostało nie więcej, niż czterdzieści minut.

— Kwestia czasu... — podejmuje Andrzej. — Czyli wszystkie gesty to obłuda?

— Polityka, nie obłuda! Nie wiedzieliście o tym? — stary patrzy ironicznie, jak na naiwnego chłopca.

— Acha... — próbuje ratować się grą na zwłokę. — I to jest właśnie ta sielanka braterstwa? Nie lepiej od razu podać się do dymisji?

Bezsilny ruch ręki i uśmiech politowania; teraz on będzie mówił abece.

— Przecież to nic nie zmienia! Przyszliby inni, a nas by rozstrzelali.

— Trudno rozstać się z miską, nie? — pyta Andrzej zadowolony, że odzyskał inicjatywę.

— Słucham?

— Nic, nic... Czemu więc nie stanęliście okoniem, wszak liczy się siła, nie? A mamy jedną armię, która dała im wciery.

— Z czym, proszę pana? — pyta już spokojniej. Żołnierz jest bitny i wyszkolony dobrze, to jednak nie wszystko. Trzeba mieć sprzęt, a nie złom. Zakręca kurki i po trzech dniach nas nie ma. Myśmy to dobrze rozważyli: nie było wyjścia... A odpowiedzialność wobec narodu i świata? — rzuca retorycznie. — Dosyć, że druga zaczęła się od nas...

— Chwileczkę, chwileczkę... To znaczy, że Polacy winni wybuchu wojny? Już nie Hitler i Czaja?

— Winni, niewinni, mój panie, ale fakt jest faktem! Zaczęło się od nas i koniec!

— Nooo, jeśli tak... Dobrze wiecie, że przewrót zmiotłby was, jak...

— I was też, drogi panie! Musiało się stać, jak się stało, nie było wyjścia. Wystarczy, że było zagrożenie. Nie można takich rzeczy ryzykować, naród by nigdy nie wybaczył.

— Naród akurat stanąłby po waszej stronie, pierwszy raz.

— Pan mówi, jak mój syn... — oficer po raz pierwszy od dłuższego czasu uśmiecha się. — Tylko że wy, młodzi...

— Proszę mnie nie infantylizować — przerywa mu Andrzej i wtyka w rozmowę wymyślone kiedyś, pasujące mu niby spostrzeżenie: — Wy to byście nawet Jezusa zamknęli w komsomole; wszak młody, nie?

— Wielu spraw nie rozumiecie — ciągnie stary nie zwracając uwagi na wtrącenie. — Naród, dopóki żyje, da sobie radę; sposoby na przetrwanie się znajdują.

— Zgoda; czasem tylko koszta są olbrzymie.

— Tak pan sądzi? — pyta nagle pułkownik tonem śledczego; Andrzeja przechodzą ciarki. Jeśli jednak popełnił błąd, to i tak jest już za późno. Rozglądają się po przedziale: kobieta patrzy na niego z niepokojem, Tymek jest przerażony od dawna. Trudno, stało się.

— Właśnie tak — odpowiada. — To nie są zresztą żadne odkrycia.

— A pan sądzi, że my tak wszystko możemy? — podchwytuje stary od najmniej spodziewanej strony. — Że nam na rękę taka na przykład rozbudowa przemysłu ciężkiego? A wie pan, ile owoców zmarnowało się w tym roku? Tylko z tych dostarczonych do hurtowni!... A zakorkowana ropa? A węgiel? Koleje, rzeki, mosty? To są, panie, sprawy strategiczne, o tym się nie rozmawia!

Przycicha i cofa się w siebie, obrażony, że musi mówić oczywistości. Andrzej zagryza wargi; powinien się odezwać. Pozostawić wojaka w ciszy byłoby niełojalnością.

— No tak... Ale myśmy to sobie przynajmniej powiedzieli.

— I trzeba rozmawiać — odpowiada pułkownik z mocą sloganu. — Pan myśli, że tam byłoby to możliwe? Ludzie jadą cały dzień i nikt się nie odezwie.

— U nas też już tak bywa... To już ta sama zona.

— Bywa, bywa — przyznaje.

— To w końcu — Andrzej nawraca raz jeszcze — jaka jest szansa?

Stary uśmiecha się do siebie.

— Pracować na różne sposoby... Chronić to, co jest i czekać.

— A wy będziecie wsadzać nas po kolei do bani, tak?

— I cóż w tym strasznego? Rok, trzy... Prędzej się dojrzeje.

— Piękna kuracja, dziękuję... — Andrzej puszcza powietrze przez nos. — To się nazywa cynizm. A pan nie chciałby sobie tak podojrzewać?

— To nie cynizm, drogi panie, to coś głębszego... A poza tym, jeśli chce pan wiedzieć, mam to już za sobą. Coś zmienić się musi, to oczywiste. Już się zmienia.

— Tak, tak, na gorsze. Znow rozpoczynają te swoje dyskusje o dalszym doskonaleniu...

Pułkownik rozkłada ręce.

— Wie pan, gdzie popełniono błąd? Trzeba było trzymać się Lenina, tam jest dużo dobrego.

— Oczywiście, to wprost róg obfitości. Ma pan poczucie humoru, nie powiem...

— W każdym razie mielibyśmy argumenty w rękę. Bo gdy towarzysze pytali, to co mieliśmy odpowiadać?

— Pan chciałby racjonalizować swoje lęki, ale to by nie pomogło. Gdyby poczuli, że tracą panowanie, zaczęliby o odchyleniach.

— Panowie, dojeżdżamy — odzywa się Diana. — Widać już LSM.

— To Nałęczów już był? — dziwi się do niej Tymek.

— Jak się rozmawia, to czas szybko leci — odśmiechuje się dopinając płaszcz i sięgając po lisi kołnierz.

Tymek wstaje także, pułkownik i Andrzej jeszcze się nie ruszają, widocznie w oczekiwaniu, aż zrobi się więcej miejsca. Kobieta zbliża twarz do lusterka i poprawia szminkę na ustach, a potem rusza nimi kilkakrotnie, by równo rozprowadzić pomadkę.

— Nie przekonał mnie pan, ale dobrze, żeśmy rozmawiali — mówi Andrzej po raz drugi.

— Może się jeszcze spotkamy — wstał i podaje rękę.

Krótkie spojrzenie w oczy: Andrzej przytrzymuje przez chwilę ciepłą, mięsistą dłoń starca. „Pewnie jest na emeryturze...”

Idą teraz korytarzem, między błyszczącymi od sztucznego światła szybami i trzymającym w karchach niklowym oprzyrządowaniem. Dziewczyna jest najdalej, za nią Tymek, a potem Andrzej z neseserami. Tymek odwraca się i puszcza porozumiewawczo-usprawiedliwiające oko.

— Tylko nie sypnij się przed Basią...

— Czuj duch — uspokaja go Andrzej.

Zerka za siebie: pułkownika jeszcze nie widać. Zobaczy go dopiero po dłuższej chwili, gdy kolejka czekających na taksówkę zdąży się zmniejszyć; oficer powoli, ze spuszczoną głową, skierowuje swe mało wojskowe kroki w stronę wejścia do dworca. Andrzej zobaczy jeszcze, jak spośród stojących

tam ludzi wysunie się naprzód mężczyzna w cywilu, jak przywita pułkownika z atencją i rozmawiając poprowadzi do stojącego na parkingu, białego „poloneza”.

W tej chwili wóz znika w biegnącej obok parku ulicze.

Zamknąwszy furtkę na klucz rozgląda się dokładnie po pustej ulicy; prawie zawodowy nawyk. Gdy taksówka zjeżdżała z pierwszej sławinkowskiej góry, wydawało mu się, że w okolicach jego osiedla dzieje się coś niedobrego — jasna luna błyszczała na niebie tak, jakby któryś z domów stał w płomieniach. Ale kiedy wdrapali się na drugą z gór, poświata zniknęła. Nie mógł teraz ustalić, czy były to reflektory jadących od strony Kurowa samochodów, blask bijący od ujrzanego z innej perspektywy oświetlenia ulicy, czy może coś jeszcze innego. W każdym razie bryła domu tkwiła na swoim miejscu, nienaruszona.

Naprzeciwno, na przystanku, widzi dobrze mu znajomą czarną plamę, którą kiedyś brał za swego „anioła stróża”. Sprawdzał to wielokrotnie i wiedział dobrze, że to tylko cień jednej ze ścianek wiaty, ale przecież — myślał — gdyby ktoś miał go pilnować, to usiadłby w takim właśnie miejscu. Chwyta się na tym coraz częściej: zaczyna bać się własnego cienia. Ewa ma rację — czas odpocząć.

Kierowca znów nie chciał wjeżdżać na nieutwardzony trakt: Andrzej zmuszony był — poślizgując się na rozmiękłym błocie ulicy (tutaj też padało) — dźwigać nesesy sam. Widział po drodze zabłąkanego przechodnia — skojarzył mu się z wracającym od chorego grzesznika księdzem — i pomyślał, że byłoby nie od rzeczy, gdyby tamten zaproponował mu pomoc, lecz owinięty w pelerynę jegomość gramolił się możliwie spieszenie w kierunku asfaltowego traktu i ani mu w głowie była jakakolwiek uprzejmość. Andrzej obserwował, jak stawiając stopy w bardziej suche miejsca odrywał je szybko, jakby powłoka Ziemi była pod spodem gorąca i rozbulgotana, a on próbował oderwać się od niej choć na sekundę, mimo że z góry wiedział o czekającym but klapnięciu w nieuchronne w tym zaułku błocko. Myślami był już zapewne w ciepłym pokoiku na plebanii; kończył szczęśliwie całodobowy obchód.

Potem, tuż przed zakrętem w Kryniczną, usłyszał nagle strzępki rozmowy: zza rogu wyszli prosto na niego trzej mężczyźni z panienką, wszyscy na niezłych obrotach. Wtargnęli tak nagle, że odczuł ich obecność, jakby spadli z nieba.

„Pewnie z jakichś imienin...” — pomyślał, nie zdążywszy zdać sobie sprawy, że to koniec tygodnia. Zagadnięty niespodziewanie o ogień podał zapaliki z ulgą; postawione na skrawku trawnika nesesery pozwoliły dłoniom — jeszcze chwilę po tym, jak tamci odchodzili śpiewając — na kilkadziesiąt sekund odpoczynku.

Po ciemku wchodzi na klatkę. Posuwa się ku górze na wycucie, słysząc jak torba z lewej ręki szura chwilami o ścianę. Trafia po omacku na klamkę i dopiero w kuchni zapala światło: jest u siebie. Wszystko wygląda normalnie, nic się pod jego nieobecność nie stało, może odetchnąć. „Gdy nas zabraknie, też nic nie drgnie” — dodaje chcąc doprowadzić lęki do absurdu. Denerwujące są te wyjazdy: będąc daleko nie jest się w stanie niczemu zapobiec, ani w niczym pomóc. Wyjąwszy z lodówki kawałek sera, a z pojemnika na chleb lekko zeschniętą kromkę, chodzi z kąta w kąt, wyganiając z siebie resztki niepokoju. Zawsze, gdy jest w domu, zaczyna się to samo: kilka minut przed szóstą zaczyna się bać, siedzi w napięciu prawie do wpół do siódmej, potem oddycha z ulgą i w czasie dnia nie wraca do tego myślami prawie nigdy.

Przypomina sobie słowa zaśpiewanej mu prosto w nos piosenki:

*A kto ma żonę i czworo dzieci*

*Niech się nie bierze za takie rzeczy*

— krzyknęła mu, zapaliwszy papierosa, czwórca. „Aż dziw — broni się teraz — że nie pomyślałeś o ‘Solidarności’... Na pewno chodziło im o to. Powinieneś doszukać się ukrytych sensów, a i symboliki. Szkoda, że nie szukasz, bo ta czwórka... Wcale obiecujące wieloznaczniki...” — ironizuje.

Zagląda do dziecka: Piotrek śpi rozkopany, ze spokojną twarzą i wysuniętą poza szczebelki łóżeczka ręką; jak u Wyspiańskiego. Przechyliwszy się głęboko przez poręcz Andrzej całuje dzieciaka w czoło; małe porusza się i otwiera oczy.

— Kocham cię bardzo, wiesz? — szepcze mu z uśmiechem.

— Mamusię kochaj też — odpowiada chłopiec czystym, prawie dziecięcym głosem. Odwraca się i zakrywa głowę kołderką; natychmiast zapada w sen. Andrzej stoi, jakby dostał w twarz.

Poprawia machinalnie kołdrę, tkwi przy nim jeszcze przez chwilę — jakby nogi nie chciały dopuścić do ucieczki — i wymyka się, delikatnie zaciskając drzwi.



Zapala nocną lampkę w sypialni — i w pierwszej chwili nie poznaje pokoju: Ewa przesunęła materac w drugi koniec, gdzie — podług opinii domorosłego radiestety — znajduje się najlepsze do spania miejsce. Wydaje mu się, że ciało pod przykryciem, inaczej niż zazwyczaj usytuowane względem znajdujących się w pokoju mebli, odpoczywa w jakiejś nienaturalnej pozycji — takie ułożenie widuje się u kogoś, kto uległszy wypadkowi leży bezładny i złamany. „Żyła — myśli Andrzej. — Żyła wodna. Jeszcze trochę, a zaczniesz wierzyć w horoskopy”.

Zanosi torby do swego gabinetu: tu też są zmiany. Ewa wykorzystała wyjazd, by zdjąć zasłony i posprzątać przedświątecznie w kątach. Przez chwilę nie zapala światła, przyglądając się leżącej na podłodze poświacie księżycy, tak silnej, że widać dokładnie arabeski dywanu; nadgryziona tarcza błyszcząca na niebie jak sceniczna punktówka. Stoi u stóp utworzonego z cienia przesłot okiennych krzyża i chłonie nastroj podobny barokowym obrazom wnętrza. „Brakuje tylko kwartetu...” — myśli. Wcisnąwszy się w fotel, patrzy długo w prostokąt okna i rozpościerając się za nim noc, przypominając sobie noce inne, na wsi, kiedy zdarzało mu się wstawać z pościeli i wchodzić po cichu lekko skrzypiącymi schodami na strych, aby stamtąd przyglądać się śpiącej pod czujnym okiem księżycy okolicy. Będąc dzieckiem przemieszkował tam całymi dniami, pograżony w wakacyjnej lekturze lub obserwujący siwiutkie myszy, które — oswojone z jego obecnością — wychodziły z zakamarków, by pozbierać porozrzucane odrobinki ziaren czy próbować wejścia po szorstkiej belce stropu. Wystarczało mu wtedy wrażliwości, by ze zbieranych tu i ówdzie drobiazgów tworzyć żywe i atrakcyjne światy; teraz patrzy na leżący w oddali Lublin i wie, że w tym nowym świecie nie ma już miejsca na sentymenty czy estetyzujące rozczulanie się nad niuansami. Wszystko legło w gruzach: dom, rodzina, kraj, a przede wszystkim on sam — i dziś, gdy to sobie nieopatrznie uświadomił, musi odbudowywać słowo po słowie, pojęcie po pojęciu, by dojść do spraw najprostszych i trwać przy nich z kurczowo zaciśniętymi rękami. Program jest elementarny i trzeba go sobie przyswoić — lub rozpaść się na zawsze w bełkot i gnój.

Osuwał się w to latami, rozplęwał jak ten cukier w kawie — wszystko, co najcenniejsze, odpadało zepsutymi kawałkami — i teraz jest już zagrożony w ostatniej ostoi. Dłużej tak być nie może, bo jeszcze krok, a darnina kłamstwa,

goryczy i nienawiści pokryje go na zawsze. Kilka dni temu porządkował stare listy i fotografie; tak, inny świat istniał, ma na to dowody, dlaczego więc nie miałby istnieć nadal?

Światło księżyca rozplywa się po pokoju jak łagodzący olej. Wzrok rozpoznaje pozostawione w porannym pośpiechu przedmioty: podręczne książki, kubek z przyborami do pisania, cukierniczkę o wygiętych jak łabędzie szyje uchwytach, błyszczący nikiel nożyczek. Wstaje, ciągle po ciemku, by wziąć z posłania dwie małe poduszki i usadowiwszy się wyżej patrzeć na pustą ulicę; chce, by samotna noc trwała jak najdłużej. Cichy, spokojny bezruch bierze we władanie miasto; gdy druga zmiana dojedzie do domów, ulice pustoszeją. Zamknięte sklepy, kawiarnie i biura, tkwiące na poboczach i chodnikach samochody, które — doprowadziwszy do wyczerpania jedną z możliwych wersji życia — stygną i nieruchomieją. Tam, w oddali, gdzie pasy czerni stają się matowe i szorstkie, kryją się w zapadłościach oświetlone mizernym światłem zwaliste garby domów. Chropowata noc połyka je wraz z ciemniejszym od wypukłości kraterem ulicy, w którym nie tak dawno zniknęła podchmielona czwórca. Tam spotkał w którąś z mroźniejszych nocy pijaną kobietę z urwanym obcasem, która po każdej próbie wstania natychmiast przewracała się z powrotem, zapłakana i obołała. Siedząc teraz w pokoju niczym w oceanie ciszy przypomina sobie inne, ciągnięte za rękę przez przedszkolne dzieci, pijane matki. Tak, to jest jego kraj, symbol, Polska, kraj śmierdzący na każdym kroku jak popielniczka, gdzie — jak rasowy nałogowiec — nie może ani zostać, ani spokojnie wyjechać, bo porzucony na obcym brzegu będzie konał latami jak przystosowana do życia tylko w akwarium ryba. Czy ci wszyscy — połamani, rozpici, zniszczeni i sponiewierani — zostali wezwani tu jedynie po to, by on czuł się lepiej? Dlaczego musi się ciągle użerać z pocziwą i dobrą z natury głupotą? Za jakie przyjemności jest owo cło, które płaci? Cóż tu robić, w miejscu zamkniętym i izolowanym, uciekającym coraz dalej w niemal średniowieczne koncepcje, którym nie zaszkodzi już posypywanie ulotkami czy nawet żrąca jak siarka, sól i rtęć substancja pojedynczej woli. I cóż mogą ci wszyscy ludzie, którzy jak kryminaliści, z pokorą lub wisielczym humorem godzą się na swój los? Ta Gomora pozostanie przez długie jeszcze lata, mimo osypywania się i zniszczeń, niewzruszona. Ktoś spycha go w fantasmagorie sprzed pięciu wieków — i czuje się władny

kreować go niczym nowego onisa, smakującego dopiero w syntetycznych produktach fabryki telewizyjnego dobrobytu. Czyż ma się — zrezygnowawszy, jak wielu — godzić na to jedynie dlatego, że otorbiono go ze wszystkich stron firmamentem kłamstwa i niemocy tak szczerze, że prawie nie można się już poruszać? Nie, mówi sobie, nie, powtarza: Jeśli przyszło się w tym znaleźć, to — póki oddechu — trzeba próbować wydostania się z dusznej retorty bezdusznego czasu możliwymi tu do osiągnięcia sposobami. Musi istnieć, zaszyfrowane właśnie w ramach ich hermetycznej a wszechorganizacyjnej i naukowej paranoi, wyjście. Jakiś rodzaj jedynie możliwego, pośród wielu błędnych, cudu samoródtwa. Nie, koledzy, nieprawdą są nasze klęski, bo ciągle jeszcze jesteśmy młodzi i ciągle jeszcze silni. Cóż nam gorycze i chropowatości!... Nie poddawajmy się już przy drobnych kłopotach z rozgrzewką, o których potem zupełnie zapomnimy. Jest jeszcze czas dokonać rzeczy wielkich — i na pewno wszystko nam się uda.

Za kilka godzin kamienne tunele ulic wypełnią się znowu tłumem spieszących do pracy przechodniów i kolejkowiczów, rozpętlającymi się na wszystkie strony pojazdami i zawsze zadowoloną dziatwą. Ci, którzy wstaną, usłyszą z radia delatorskie głosy donoszących o nowych klęskach korespondentów, matki denerwować się będą przy ubieraniu niechętnych do wyjścia przedszkolaków. Nerwowy ruch ogarnie domy i przystanki. Tylko uczniowie z zarzuconymi byle jak tornistrami wlec się będą niedbałym krokiem do cierpliwie czekających szkół.

Czuje już zmęczenie. A jednocześnie, jak to bywa w nocnych iluminacjach, gdy obudzeni rozglądamy się dokoła, nie bardzo wiedząc gdzie jesteśmy, odczuwa nagle całą przypadkowość swojej tu obecności. Błat stołu leży przed nim obojętny, gotów tolerować każdego innego, za ścianą śpi bliska mu niegdyś kobieta, kąty i zakamarki pokoju zdają się wieść w nocnej ciszy obce, niezauważalne za dnia życie. Ten świat, za oknem, to miasto, ten kraj mogłyby wyglądać zupełnie inaczej, być wypełnione innymi głosami i innym kolorem, ludzie mogliby czytać nieznanne im dziś gazety i książki, bo przecież to musi być możliwe — musi gdzieś istnieć inna prawda i inne życie, normalne i pełne!

Ufundowany tutaj świat jest tylko szczególnym przypadkiem, wariantem nieskończonej liczby możliwości, które — jeśli dają się pomyśleć — to niewykluczone, że gdzieś

t a m, w innym układzie dalekich konstelacji, poza sferami widzialnych gwiazd, krążą po orbitach istniejąc tak samo realnie jak my tutaj. Istnieją światy i myśli, których nie potrafimy opisać ani sformułować — i gdzieś t a m istnieją też odmiany ciebie samego, poczynając od najgorszych, a kończąc na idealnych. Więc jesteś możliwy, swobodny i twórczy, a ten tutaj to tylko nędzna maskara z mułu i gliny, android, parodia, efekt nieudanego eksperymentu złośliwie uśmiechającego się demiurga. Czyż możliwe, że nie ma t a m nikogo, kto się nie załamał, kto nadal przypomina i pyta o życie wielkie, godne i szczęśliwe? To nie fantasmagoria: tam na pewno panują prawo, porządek i sens — wyczuwasz to nawet receptorami własnej skóry, które przenika strumień bijącego z niezemskiej harmonii światła i który przechodzi tak samo przez inne, rozbite doświadczeniami istoty. Więc dość tego: czas, najwyższy czas, wydość się z jarzma mięśni i błędnych nerwów, z toreb powięzi i robaczkowych ruchów ciała. Nie daj się zamknąć w bani mamideł, rozbij ją, wyzwól się, ucieknij stąd, choćbyś w tym swoim locie miał się spalić na popiół. Przebij kopułę spleśniałych myśli, bo tam — na zewnątrz, za kryształiczną pokrywą — obowiązują już inne prawa i są inne mieszkania, to pewne nie tylko dlatego, że mówił o nich długowłosego rówieśnik sprzed tysięcy lat. Nie liczy się to tutaj, całe ich chciejstwo: liczy się to, co sam z siebie możesz zrobić.

Wrażenie jak ułamek sekundy: Andrzej replikuje epizod szybkim grymasem ust: „Z jednej utopii w drugą?...” Wstaje. Przegiąwszy ruchome ramię lampy taki nisko, że klosz dotyka prawie stołu, maca ręką za wyłącznikiem i przyciska klawisz. Niewielkie, żółtawożółte i pleśniejące światło rozprasa się po pokoju, zmieniając po raz któryś jego wygląd. Mężczyzna, zastanawiając się nad niezadanym pułkownikowi pytaniem, stawia nesesery za regałami i przełamując znużenie rozbiera się, by wziąć prysznic; rano, świeży i wypoczęty, zacznie dzień na nowy rachunek.

Wróciwszy z łazienki pisał jeszcze dość długo, a potem światło w oknie zgasło i w całej dzielnicy zapanowała ciemność; ospałe żarówki na ulicznych latarniach proszą trochę oświetlającego bardziej słupy niż drogę blasku. Andrzej śpi. Noc, ciemna i miękka jak puszysty koc, zstąpiła na pokój otulając skulone w pozycji embriona ciało; kołdra jest ciepłą niszą, poza którą nie wydostają się nawet jego drobne części.

Tu, na zewnątrz, zaczyna kropić deszcz: pogoda psuje się znowu. Cienkie strumyki wody stukają o dach, obmywając go i spływając do tworzących się dokoła domu kałuż. Z głową skierowaną ku drzwiom, dotykając wąskich żeberkowań tylnej ścianki regałów, kuli się odruchowo, tak, jakby znów chciał być dzieckiem.

## VII

— Andrzej! Andrzej! Obudź się, ktoś dzwoni do drzwi! Andrzej!

Stoi nad nim Ewa, owinięta w podomkę i zupełnie rozbudzona; Andrzej domyśla się od razu. Zrywa się z materaca i idzie po szlafrok; jest dziesięć po szóstej.

Ewa patrzy za nim, gdy schodzi po stopniach w dół. Na półpiętrze ogląda się w jej stronę — wie, także, czeka tylko na potwierdzenie.

Jeden z nich stoi przy oszklonych drzwiach, trzej pozostali z tyłu, oparci o mur. Widziani zaspanymi oczyma wydają mu się szarzy i bez wyrazu, mimo że ubrani w zdecydowanie ciemne kolory. Otwiera.

— Dzień dobry, czy to mieszkanie Ewy Choynowskiej-Winrych?

— Tak, to moja żona. Słucham pana.

— Porucznik Farel ze służby bezpieczeństwa — przedstawia się i wyciąga rękę z legitymacją; niewielki, oprawiony w czarne płótno dokument, w środku legitymacja i grube, kaligraficzne pismo. — Mamy nakaz przeszukać mieszkanie pańskiej żony.

Andrzej ogląda podany mu świstek. Wszystko się zgadza.

— Proszę — mówi, a tamci odklejają się od muru i ruszają schodami w górę; jeden z nich nosi wałęsowskie wąsy. „Trzy czy pięć?” — myśli Andrzej idąc na czele peletonu: maruder rozgląda się już po klatce.

— Ewa, ci panowie z milicji, mają nakaz przeszukać mieszkanie. — Uśmiecha się niewyraźnie, starając się zakryć rezygnację straceńców spokojem ludzi pewnych siebie.

— Jak trzeba, to trzeba — mówi Ewa jak echo. — Proszę bardzo. Czterech. Dwóch pierwszych rzuca ubrania na

oparcie krzesła, od trzeciego odbiera Andrzej; czeka na ostatniego.

— Nie trzeba — broni się tamten. — Nic im tutaj nie będzie.

— Zawsze to pewniej, gdy będą wisieć — odpowiada zdając sobie natychmiast sprawę z niezamierzonej dwuznaczności sformułowania; jest już całkiem trzeźwy. Dwaj pierwsi schylają się, by podnieść z krzesel swoje; spod marynarek wyslizgują się skórzane kabury. „To aż taka Ameryka?...” — dziwi się Andrzej, przesyłając Ewie uspokajające spojrzenie.

— Panowie napiją się herbaty? — zwraca się do gości. Są zbici z tropu; będzie się starał utrzymać inicjatywę tak długo, jak tylko to możliwe.

— Nie, nie, dziękujemy — odpowiada za wszystkich ten najważniejszy i uśmiecha się niezdecydowanie. — Jesteśmy po śniadaniu — dodaje, by do końca odeprzeć pokusę.

— W takim razie pozwolą panowie, że zrobię coś dla siebie?

— Proszę bardzo, tylko możliwie szybko, dobrze?

Idzie do kuchni, cichutko otwiera lufcik i wysuwa na zewnątrz pełną aktualnych materiałów reklamówkę; słyszy, jak torba stuka miękko o wybetonowane podwórze. Wygląda przez wąską szyjkę lufcika: plastikowa torba utknęła bezpiecznie między ścianą, a stojącą jeszcze z czasów budowy skrzynią na piasek. Na nic więcej nie ma już czasu; wraca do pokoju ze szklanką wody z sokiem.

— Macie państwo prawo wezwać kogoś na świadków — informuje ten ważny. — Nie więcej jednak, niż dwie osoby.

Andrzej waha się; przemyśla każdy krok. Uspokoił się sukcesem z reklamówką.

— Dobrze, zejdę po kuzyna.

Rusza ku drzwiom. Ważny daje znak oczyma jednemu z pozostałych, ten podnosi się i idzie za gospodarzem. Wracają z Jurkiem — wygląda na bardziej przestraszonego, niż oni.

— Proszę bardzo, możecie czynić panowie swoją powinność — robi zapraszający, trochę ironiczny gest i natychmiast go przerywa; nie ma sensu drażnić bez potrzeby. Wie, że w miarę upływu czasu pozostaną mu w rękę tylko dwa atuty: trzeźwość umysłu i spokojna grzeczność.

Od razu trafiają na zbierane z mozołem książki. Najwyższy z nich przegląda je z uśmiechem samozadowolenia i odkłada na stolik.

— Ile macie państwo pomieszczeń? — pyta ważny.

— Cztery pokoje, kuchnia, łazienka — wylicza Ewa jak urzędnikowi biura kwaterunkowego. No i przedpokój — dodaje z przesadną dokładnością.

— Strych? Piwnica, garaż? — dopytuje się dalej.

— Bez tego ostatniego — włącza się Andrzej, zdecydowany wpuścić ich do prawie nie zajmowanych pomieszczeń.

— To może zaprowadzi pan tam kolegów, a my zostaniemy tutaj, dobrze? Kurczę — mówi ciszej i jakby do siebie. — Żyją jak u Pana Boga, a jeszcze im się czegoś zachciewa...

Zanim wyjdą na klatkę, Andrzej zdąży zauważyć, że wysoki natrafia na zielony zeszyt z notatkami i fragment powieści. „No, to już po wszystkim... — myśli czując, że serce przyspiesza mu w klatce jak samotny zwierzak. — Wyjmą mnie jak noworodka”.

Strych przeglądają szybko i pobieżnie, jest prawie pusty. Gorzej z piwnicą — Andrzej patrzy z cichą satysfakcją, jak tarmosząc się ze starymi gratami stają się coraz brudniejsi i zniechęceni. Przystawili wędki, zajrzeli do kilku słoików, pogrzebali w skrzynce z narzędziami, w starych gazetach — i dopiero natrafiwszy na czyjś kalendarz, ożywili się nieco. Lecz biurowy diariusz jest całkowicie pusty, bez żadnego adresu; odkładają na bok, rozczarowani.

Wracają na górę z pustymi, zabrudzonymi rękami. Tamci dwaj siedzą już w fotelach i czekają. Ewa jest spokojna, Jurek jakby trochę mniej blady. „Chyba w porządku?...” — myśli Andrzej.

— No i...? — pyta szef.

— Skończyliśmy — odpowiada ten z wąsem *à la* Wałęsa. — Nic. A u was?

Rozmawiają tak, jakby byli sami; oskarżeni się nie liczą.

— Też już po. Państwo macie telefon, nieprawdaż? — Skierowuje się niby do Ewy i Andrzeja, ale nie czekając na odpowiedź rusza od razu do przedpokoju. — Proszę za mną — mówi do Andrzeja już w drzwiach. — Ktoś powinien ze mną iść.

Wykręca numer i informuje kogoś, że zakończyli; Andrzej sterczy z boku jak podsłuchujący czyjaś rozmowę intruz. Jak czekający przy ulicznym automacie; dom i telefon przestały być jego. W kuchni na stole widzi otwartą puszkę z zielonym groszkiem: „Hm, zajrzeli i tam, podejrzliwi. Zaproszę ich na sałatkę...”

— Możesz przyjechać — mówi ważny w słuchawkę, a potem dodaje: — Nic, no prawie nic... Parę starych książek.

Odwiesza mikrofon na widelki i przyglądając się elektronicznemu, przywiezionemu z Zachodu na fali mody urządzeniu mówi:

— Hm... Ładne cacko. Drogie jest u nich?

— Godzina pracy — mówi Andrzej, żeby go trochę podrażnić. Wracają do pokoju.

— To co, piszemy protokół? — Wyjmuje z teczki formularze i usadawia się przy stoliku.

— A ten pokój od klatki schodowej to państwa? — odzywa się wysoki.

— Tak. — odpowiada Andrzej patrząc na protokołującego. — Wynajmujemy.

Ewa ma rozpogodzoną twarz; już po wszystkim. Zachowała się doskonale.

— Komu? — dopytuje się tamten.

— To co, może ja już pójdę? — wtrąca Jurek i tytułem wyjaśnienia dodaje: — Mam na siódmą do pracy.

— Proszę bardzo — zezwala ważny.

— Dziękuję ci — mówi Andrzej, gdy ten jest już w drzwiach. Ubek posyła mu ostatnie spojrzenie.

— Komu państwo wynajmujecie? — pyta znów natręt, zanim jeszcze zamknęły się drzwi.

— Studentce z akademii rolniczej. Z weterynarii. — Andrzej czuje niemal namacalnie, że wskaźnik adrenaliny zmniejsza mu się z minuty na minutę; napięcie ustępuje. Szkoda książek, a najbardziej notesu, ale w sumie jest zadowolony: mogło być dużo gorzej.

— Można tam zajrzeć?

— Nie wiem, czy pod jej nieobecność... — odpowiada ze spokojem i dodaje: — Jeśli panowie macie nakaz, to proszę bardzo. Chyba jednak zamknęte.

— Wyjechała?

— Tak, wczoraj wieczorem, na święta. Ale proszę sprawdzić.

— Państwo nie macie zapasowego klucza? — dokucza dociekliwy.

— Nie, jest tylko jeden. Zazwyczaj otwarte; zamyka, gdy wyjeżdża na dłużej.

— Acha... — Ubek kiwa głową ze zrozumieniem i starając się o zrezygnowany wyraz twarzy wyjmuje — jakby grał na efekt — z własnej kieszeni złoty klucz od Andrzejewego gabinetu. Andrzej blednie, a rysy grubieją mu na powrót: jest to jedyny klucz jaki istnieje. Jeszcze przed chwilą — przy-



sięgnąłby na głowę — czuł go palcami w kieszeniach szlafroka.

Tajniak patrzy na niego ze źle maskowaną satysfakcją.

— To co, idziemy? — Pozostali podnoszą głowy i przyglądają się ze zdziwieniem.

— Proszę bardzo — odzywa się głosem tak drewnianym, jakby pierwszy raz w życiu mówił po polsku. — Ewa, idź z panem, dobrze?

Błada jak papier kiwa głową. Wysoki przejmuje inicjatywę.

— Ty przejdź jeszcze raz do pokoju dziecka, a ty pójdziesz ze mną.

Wychodzą we troje, a trzeci z nich uchyla drzwi do pokoju Piotrka. Ten, który jeszcze niedawno wydawał się być najważniejszy, pozostaje na miejscu i wypełnia kwestionariusze; siedzi jak zgaszony. Andrzej oddycha głęboko, jakby chciał dotlenić się przed decydującym skokiem. „Teraz się dopiero zacznie...” — myśli, odcięty nawet od wzroku spisującego tytuły książek ubeka. Ćmiący, usadowiony we wszystkich splotach ból ogarnia go niczym pułapka niedźwiedzia. „No — mówi sobie — tylko mi tu bez atawizmów!” Próbuje raz jeszcze zdystansować się od strachu, ale głęboki oddech wraca znowu. Czuje, jak od środka twardej jeszcze bardziej: gromadzony latami opór przeciw wszystkiemu i wszystkim osiąga wreszcie swoje apogeum; będzie mógł zetrzeć się z nimi w bezpośredniej walce. Teraz tylko nie sygnąć, nie dać się wciągnąć w dyskusję, nie odpowiadać na żadne pytania. I wytrzymać choćby i bicie: chwila próby nadeszła. „Krwi mam dosyć... — myśli z głupkowaną fachowością. — Herbata rozwodniła”.

Protokolant nadal wypełnia formularze. Kiedy natrafia na notatnik, odkłada długopis i przekartkowane kilka stron. Patrzy na Andrzeja, a teraz, spokojnym jakby nigdy nic ruchem chowa zeszyt do wewnętrznej kieszeni marynarki. Andrzej, zdziwiony, już ma otworzyć usta, gdy tamten powstrzymuje go ruchem ręki.

— Przecież rękopisy nie giną — i przez ułamek sekundy patrzy mu w oczy, po czym wraca do odnotowywania znalezionych w czasie rewizji książek.

W tej chwili wracają tamci, z Ewą na końcu: niosą obydwu nesesery.

— Jak nazywa się ta studentka? — pyta z kpiną w głosie wysoki akuszer nieszczęścia. Ewa ma w oczach łzy.

— Pan dobrze wie, że to są moje rzeczy — odpowiada

nie mogąc się powstrzymać od nuty pogardy; gdy już wszystko skończone!...

— Tak, wiem. — Pauza. — Proszę się ubierać.

Andrzej kręci się niezdecydowany po pokoju, a teraz — przypomniawszy sobie instrukcję — idzie po szczoteczkę i pastę, potem bierze jeszcze kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu: „Kryminal z jednym trupem... — uśmiecha się gorzko pod nosem i patrzy na Ewę. — Dobra nowina”. Nie ma już odwagi zajrzeć do Piotrka.

Z progu wraca po pieniądze, chowa je w kieszeń spodni i wychodzi.

Idzie teraz na początku milczącego szeregu z pochyloną do przodu — trochę jak przebijający się na zewnątrz noworodek — głową; czarno odziana czwórka przeprowadza go w nowy świat. Dwóch zamykających szpaler niesie nesesery.

Biały „polonez” stoi naprzeciwko, dwoma kołami na krawężniku.

Widać wyraźnie, że jest to połączenie dwóch technik, fotograficznej i piórka — jakby artysta, nie dowierzając sztuce naśladowczej, chciał wręcz ostentacyjnie poprawić zdjęcie i wyeksponować kontury przedstawionego fragmentu miasta. Andrzej bez trudu rozpoznaje łuk drzwi wejściowych, szyld i okratowanie okna „Czarciej Łapy”, kawiarni, gdzie ledwie trzy dni temu wpadł na małą czarną i pączka. Teraz ten świat wydaje się równie nierealny, jak pejzaże Niemiec czy krajobrazy Hiszpanii — on jest tutaj, w pokoju za obitymi skayem, numerowanymi drzwiami. Podnosi się z krzesła, przechodzi pokój wzdłuż, staje przed obrazkiem i przygląda mu się dokładniej. Dla kogoś z boku wygląda tak samo, jak kręcący się tu na co dzień pracownicy: z lekka nalana, nieruchoma od ciągłego maskowania myśli twarz, urzędniczo matowa cera i prawie flegmatyczne ruchy. Odróżnia go od nich tylko spojrzenie: nie jest to rozbiegany wzrok okrągłych jak naoliwione oczek, lecz spokojna czujność zwierzęcia które wie, że dzięki opanowaniu i rozwadze uda mu się bez większych kłopotów uciec i z tej obławy. Stoi przed obrazkiem nie widząc.

„Doigrałeś się, braciszku... Wreszcie masz formę, o którą ci chodziło: zabutelkowany prawie hermetycznie — szyba, siatka i jeszcze krata! Zadowolony? Pośmiej się teraz, pośmiej, jest z czego; zaraz cię tu odpytają. Nie ma to jak autoterapia, co?”

Będą ci tu głądzić godzinami, możesz być pewny: przekonywania, sugestie... jakby to w ogóle leżało w sferze dyskusji. Gdy się już wybierze i zacznie robić, to nie ma dla nich innego wyjścia, niż zatłuc — materiał nie nadaje się do obróbki. Te dwa lata są nie do odwrócenia, choćbyś nie wiem co robił, więc niech sobie gadają, ile chcą — wszystko i tak na nic. Cóż więc tam oni!... Ilu naprawdę mogą złapać — dwudziestu? Setkę, dwie? A co z resztą?

Na to się w końcu przygotowywałeś, po to ćwiczyłeś się i czytałeś tyle lat — dla takiej chwili, jak ta. I mówili do ciebie przez wieki, a ty wsłuchiwałeś się, próbując powtarzać parę prostych prawd, niby uczeń w ławce; wstań więc teraz i idź już do odpowiedzi.

I nie przeklinaj swego losu. Mów: taka była moja droga, taki był wybór, a raczej w ogóle go nie było.

I nie śmieję się z siebie, ani nie ironizuję — kpinę i gorycz zostaw innym, a wzdargę dla ust pełnych lepkiej śliny. Nie uciekaj w groteskę, ani w następne kłamstwo. Mów po prostu: tak było, takie to było normalne, tak to co dzień zbierałem. Bo wszystko inne byłoby łatwizną.

Tak mów.

Jesteś tylko następnym pokoleniem w fatalnych dziejach tego narodu, pokoleniem które odejdzie nie zostawiwszy — prócz tego jednego słowa — nic.

Nie daj się ponieść sentymentom, ani nie narzekaj, że stoisz tu sam, bo to nieprawda. Są z tobą ci wszyscy, którzy próbowali. Nieudanie, pechowo, beznadziejnie — ci wszyscy, którzy nadal próbują, bo przecież nic się jeszcze nie skończyło, bo wszystko nadal trwa.

I są ci, którzy odeszli, których pochłonał nienasycony w ziemi korowód.

Nie żartuj sobie z siebie, dowcipnisiu, bo to wszystko było i jest — jest naprawdę, jak sklep, gdzie codziennie kupujesz swoją ćwiartkę chleba...”

Chrobot klucza w zamku: na progu staje młody chłopak w dzinsach i skórzanej, dobrze skrojonej kurtce.

— Pan Winrych, tak? — I nie czekając na reakcję dodaje: — Proszę za mną.

Znów idą korytarzem, ale nie do celi, lecz w bok, w któreś z licznych odgałęzień. Żółte ściany odbijają światło jarzeniówek, dokładnie pozamykane drzwi milczą jak zaciągnięte, a leżąca na błyszczących od czystości płytkach wykładzina wycisza ich miarowe kroki. Milicyjny Charon w

pewexowskim eks-komisie zatrzymuje się przed którymiś z drzwi, otwiera je i wpuszcza Andrzeja jako pierwszego, potem wchodzi sam.

Łysawy blondyn około pięćdziesiątki i ze skąpą podściółką tłuszczową obrzuca delikwenta szybkim spojrzeniem; na biurku „klubowe” i zapalniczka, szklanka z kawową dolewką, przed biurkiem krzesło — wszystko jak w tuzinkowych kryminałach. Młody znika w sąsiednim pomieszczeniu, do którego prowadzą wewnętrzne drzwi. „Gabinet dla braci podłączonych, trick na zaufanie” — myśli patrząc na ubeka prawie obojętnym spojrzeniem.

— Siadajcie Winrych, proszę — znów ten urzędowo uprzejmy gest. — Winrych Andrzej, tak? Słyszałem, że są z wami kłopoty: nie chcecie mówić. Bądźcie rozsądni, po co wam to wszystko? Tyle razy się mówi i pisze... Mogliście przyjść i nic by się wam nie stało. A tak trzy latka jak nic. W waszym wieku... Nie szkoda wam?

Rutynowa rozgrywka. Andrzej milczy wbiwszy oczy w blat; stary przemawia tak dobrotliwie, że należałoby się rozplakać.

— No, powiedzcie nam wszystko, to postaramy się, byście dostali mniej: potrafimy to docenić — i podsuwa rękę z papierosami. Andrzej, zastanawiając się nad zmianą taktyki, wyjmuje jednego z paczki i pochyla się w kierunku wyciągniętej przez biurko dłoni z jednorazówką. — Skąd te książki, kto je wam dał, gdzie i kiedy?

— Wiesław Lipiec — mówi odczekawszy dłuższą chwilę. — Spotkaliśmy się na ulicy. Na przystanku — precyzuje.

— No, widzę że mam do czynienia z rozsądnym człowiekiem — uśmiecha się zadowolony ubek. — Macie rację: upór nic nie da, a tylko pogorszy wasze położenie.

W tej chwili otwierają się drzwi sąsiedniego pokoju i staje w nich ten, który go przyprowadził. Stary posyła mu porozumiewawcze spojrzenie i tamten siada z boku, gotów do protokołowania.

— Adres tego Lipca... Wiesława.

— Lublin, ulica Niepodległości pięć przez dwanaście.

— Gdzie wam to dał: na ulicy, czy na „skrzynce”?

— Na przystanku, przy Świętoduskiej.

— Hanki Sawickiej — poprawia młody.

— Większość mieszkańców używa dawnej nazwy — mówi twardo, za twardo jak na taki drobiazg. — „Hanki Sowieckiej, jeśli już...”

— Mniejsza o to — włącza się stary. — Mielicie to rozprowadzić sami, czy roznieść na punkty?

— Nie; miał po nie ktoś przyjść, ale się nie zgłosił.

— Kto mianowicie?

— Nie wiem, nie znam człowieka.

— Zaraz, zaraz... Miał przyjść, a wy go nie znacie? Goździk w klapie, czy jak? — pyta wypuszczając słowa razem z dymem.

— Nie — prycha uprzejmie z dowcipu. — Po prostu miał powiedzieć, że przychodzi po lipcowe nesesery.

— Tak bez hasła? — pyta pomocnik; on także zdecydował się zabłysnąć.

Andrzej przenosi wzrok na ucznia i dopiero teraz przygląda się dokładniej jego twarzy; ubiór i rysy mówią, że bardzo chciałby uchodzić za kogoś z „dobrego domu”, ale dłonie są wiernym powtórzeniem innych, równie dużych, które gdzieś daleko stąd trzymają pług. „Mógłbym cię, wesółku, awansować, jednak nic z tego”.

— Bez żadnego hasła — mówi, próbując ukryć pod powiekami drwiący wyraz rozżarzonych oczu.

— Kiedy miał przyjść? — nie gubi tropu stary. — W tym tygodniu?

— Nie — kręci głową. — Miesiąc temu, w listopadzie.

— I siedzieliście tak spokojnie wiedząc, że to zakazane? — podnosi z niby-zdziwieniem rudawe brwi.

— Przecież nie mogłem wrzucić do Bystrzycy: nie są moje. A poza tym... wydane w osiemdziesiątym pierwszym.

— No, no — stary zmienia głos na mitygujący. — Są poza debitem, to wystarczy. A ten Lipiec działa w zakładowych czy w Regionie?

— Wątpię, aby w tej chwili...

— Tylko nie udawajcie tu niewiniątka: zaraz go ściągniemy! — I łagodniej: — Dawno go znacie?

— Chyba gdzieś od osiemdziesiątego czwartego. Ze studiów — uprzedza pytanie.

— Wyście, zdaje się, długo studiowali? — ironizuje dobrotliwie.

— Nie ma się do czego spieszyć.

— Ten Lipiec to był chyba w jakimś teatrze — wtrąca adept; mógł studiować mniej więcej w tym samym czasie. — W „Nagich” czy „Bosych”...

— W „Ubogich” — prostuje Andrzej.

— Mała uczelnia, wszyscy się znają — dopowiada na

dokładkę, chcąc nadal uchodzić za wszechwiedzącego. — Chyba nawet niezłe sztuki, nie? Coś tam nawet widziałem.

— Takie sobie. Nowa formuła: trochę bosy, trochę nago, lustra, no i dużo świeczek... — Chce mówić recenzję dalej, ale stary przerywa mu ze zniecierpliwieniem:

— I nadal jest w tych „Prowizorkach”?

— Nie, skądże. Po studiach otworzył sklep z koszulami, dopóki go przyjaciel nie wykiwał... — uśmiecha się, jakby teraz on opowiedział mały dowcip. — Potem był wychowawcą, a później w Regionie.

— Ach, to ten ptaszek! — reflektuje się szybko stary. — Sądziłem, że to tylko zbieżność nazwisk. I wy chcecie nas przekonać, że nie macie z tym nic wspólnego?

— Bo i nie mam: to była jednorazowa przysługa. Nie mogłem...

— Dobra, dobra, możecie sobie darować! Zaczynacie, widzę, kręcić. Narobiliście sobie bigosu i teraz... — i rzuca rękę. Patrzy na Andrzeja jakby oczekiwał skruchy. Ten zatrzymuje wzrok na brzegu biurka.

— Na razie wystarczy — rzuca stary zerkając na zegarek. — Podpiszcie to i będziecie mogli iść pod celę.

Przelatuje przez pełną drętwych sformułowań notatkę i kładzie u dołu swój podpis; stara się to zrobić zupełnie inaczej, niż zazwyczaj. Młody bierze formularz i określa protokół czarnym flamastrem tak, by nie było można nic dopisać. Wstają.

— Jesteście głodni? Papierosy macie? — i podaje mu swoje, ledwie napoczęte. — Proszę to, zdaje się, wasza marka? A na obiad coś wam podadzą. Odprowadź do czwórki — zwraca się do młodego.

Cela jest niewielka, ale czysta: ubikacja w rogu, u góry małe okienko, po lewej od drzwi przykryta szarym kocem prycza. Klucz chrzęści w zamku i Andrzej zostaje sam. Powinien się skoncentrować i nabrać sił, bo najgorsze jeszcze przed nim. Dopóki jest w „jedyńce”, może unikać zbędnych rozmów czy podejrzeń o prowokację. „Będzie utwór bez dyskusji pod celą... — stara się asymilować w nowej sytuacji. — Mogą nie kupić”.

Był już kiedyś w podobnym kotle, w osiemdziesiątym drugim, kiedy przewencyjnie zamknęli go na Północnej. Zostało mu z tego czasu kilka popisowych anegdot o wykwi-

nym menu, klawiszach proponujących kolorowy telewizor i „kompot z agrestu”, czyli szklankę wody do picia. Ten budynek też mu jest trochę znany: przyszedł tu parę miesięcy temu, niby odebrać zarekwirowane książki, a tak naprawdę przełamać barierę strachu i tajemniczości, poza którą znalazł się teraz znowu. W drzwiach zatrzymał go wtedy wąsaty strażnik progę, sam w sobie już zabawny; na widok obcego zerwał się z miejsca i chwycił za karabin, jakby co najmniej wykonywał komendę.

— Obywatel dokąd? — spytał groźnie.

— Do porucznika Węsada, w sprawie przeszukania — informował pełniej, niż trzeba; ma się ten odruch.

— Wezwanie jest?

— Nie — odpowiada, a przez głowę przemyka mu anegdota instruująca, że do komendanta się nie przychodzi, ani się z nim nie umawia: do komendanta można być tylko wezwanym.

— Zaraz zapytam — mówi strażnik. — Jakie nazwisko?

— Węsad. Stefan. „Skąd oni biorą takie... tytuły?”

Wyjmuje posmolony skoroszyt — jego komputer — i naciskając palcem na literkę otwiera na odpowiedniej stronie. Andrzej rozgląda się po korytarzu, starając się zapamiętać kręcących się z aktami typów — wydawało mu się, że niektórych skądś zna.

— Tu taki nie pracuje — mówi służbista i zamyka skoroszyt z głośnym klapnięciem.

— Jak to? Był u mnie na rewizji! Miałem w ręku jego legitymację!...

— Tu taki nie pracuje — i odwraca się do lepszego interesanta.

Cóż tu robić? Zakręcił się w miejscu jak mucha w smole — szkoda książek — ale w końcu wyszedł. A tu, cóż za szczęśliwy traf, na schoda spotyka swojego ubeka.

— Dzień dobry panu — wyciąga do olbrzyma rękę. Ten, zaskoczony, czerwieni się, ale przyjmuje dłoń z zadowoleniem. — Przyszedłem w sprawie zarekwirowanych książek, chciałbym je odebrać.

— Tak? No to proszę bardzo, proszę za mną.

Wchodzą: strażnik zrywa się z miejsca i wali kopytkami, stukając do kompletu w daszek; porucznik uspokaja go generalskim ruchem dłoni i idą dalej, jakby nigdy nic.

Skręcili w lewo, potem w prawo, a za przedzielonym kratą węzłem korytarzy jeszcze raz w prawo — wreszcie

wchodzą do jednego z numerowanych pomieszczeń. Ubek jest ciągle zmieszany: widać, że wizyty nie wzywanych nie należą tu do codzienności. Daje Andrzejowi arkusz papieru i długopis.

— Proszę napisać, o jakie pozycje panu chodzi, a my prześlemy podanie do urzędu kontroli publikacji.

Andrzej siada. Pisze, kluczy, wymyśla, daje folę inwencji i karkołomnym argumentom — wiadomo, że i tak nic z tego, niech czyta elaborat i uśmiecha się.

— No, zgrabnie napisane, nie powiem... Powiadomimy pana, gdy dostaniemy odpowiedź — wchodzi powoli w służbowy ton i z minuty na minutę odzyskuje animusz. Andrzej zbiera się do wyjścia.

— Proszę zaczekać, samego pana nie wypuszczą.

Odprowadza go do drzwi i... wyciąga rękę. Andrzej odwzajemnia uścisk. W obojętnych oczach stróża progu pojawia się na chwilę ciekawość.

Wychodzi już z budynku, ale ciągle czuje się trochę nieswojo; wie, że książki idą na podpałkę, po co więc ten cały ceremoniał z rękami? Gdy zbliżał się już do ulicy, był prawie tajniakiem — widział to w spojrzeniach dobrze poinformowanych przechodniów.

Za chwilę połknął go tłum i wszystko się na szczęście skończyło.

Myślał potem o tych rękach i o pochwalę za styl z ust przeciwnika? „To też ma swoją wartość; zadedykuję mu w rewanżu jakiś poemat dygresyjny dla ubeka”.

Betonowa posadzka niesie odgłos czyichś kroków: pewnie kalifaktor z pieczystym i zupą. Ustają pod jego drzwiami, na chwilę zapada cisza, a teraz znów chrobot klucza. Ten dźwięk stanie się leitmotivem i cezurą, musi oswoić go także. Odwraca głowę; młody trzyma rękę na futrynie.

— Chodźcie ze mną.

Denerwująca arytmia przesłuchań — nie minęło nawet dziesięć minut, widocznie na zmęczenie. Wracają tymi samymi schodami i tym samym błędnikiem korytarza, mijając szeregi drzwi, które chciałoby się otworzyć, by zobaczyć takiego samego pechowca i takiego samego oficera, pograżonych w czymś na kształt tonącego w zawijasach dymu dialogu. Świadomość że nie jest osamotniony dodałaby otuchy — bo skoro machina, w której władaniu się znalazł, ma do przemienienia więcej niż jego, to jej siła musi, proporcjonalnie



do ilości wrzuconych na przemiał ofiar maleć. Ale żadne drzwi się nie otwierają. Wygląda to tak, jakby cały budynek, spirale przejść i kręte, zapomniane prawie skrzydła tajnych wydziałów wzniesione były przez nieznanego wynalazcę tylko i wyłącznie dla niego. W niepisanym regulaminie tego rodzaju siedzib — myśli — jest zapewne zasada nakazująca unikać niepotrzebnych spotkań. Choćby po to, by poszukiwacz nielegalnych przygód odczuwał na każdym kroku swoją wobec potężnego aparatu znikomość — i aby tym prędzej zdecydował się ulec. Andrzej nie ma czasu uświadomić sobie, w jak dużym stopniu jest to wynik projekcji z kafkowskich lektur, a na ile chodzi po prostu o to, by wezwany nie zapamiętał przypadkiem skazanych na anonimowość twarzy; gdyby mogli, to najchętniej występowałyby w maskach.

Wchodzą teraz do pokoju innego niż poprzedni, ale z jego — dopijającym kolejnej kawy — oficerem. „Czwarta dolewka na tych samych podzespołach...” Także wśród tych urzędników panują te same, co we wszystkich biurach zwyczajne. Stary odsuwa szklankę i zapraszającym wiecznym gestem wskazuje na krzesło. Następna wizyta; są prawie znajomymi. Przewodnik siada tak jak przedtem, w charakterze protokolanta. Stałość ludzi i manier dodaje Andrzejowi otuchy; spróbuje zapewne posuwać się nadal po tej samej linii. Do końca musi zachować bezwzględne minimum swobodnej energii, nie wiadomo bowiem, co go jeszcze czeka.

Teraz adept, naśladowując zachowanie mistrza, wyciąga dłoń z papierosami.

— Pan pali z filtrem, nie?

Już chce odburknąć coś złośliwie, gryzie się jednak w język i udając zażenowanego grzecznością, kiwa na zgodę; niech nadal będą wszechwiedzącymi bogami.

— Może kupić? — serwuje dalej z ubeckim szpanem; zapomniał o ofiarowanej mu przez starego paczce.

— Nie mam pieniędzy — bluffuje Andrzej. — „Wyjdę stąd z zapasem na tydzień...”

— Drobiazg — wtrąca z lekceważącym gestem szef. — Pan wie, co one dzisiaj warte... Lechu, może byś skoczył, co? Mogę cię prosić? — i wyjmuje z portfela smutnego Waryńskiego; gaża służbowa.

— Nie, doprawdy... — broni się jak panienka. — „To się nazywa niszczeniem siły ekonomicznej przeciwnika”.

— Nie ma o czym gadać. Weź dwie paczki, dobrze?

Młody wstał już wcześniej i teraz kieruje się ku wyjściu. Drzwi się zamykają. Rudawy podaje ogień do ciągle niezapalonego papierosa i przesuwa popielniczkę na środek biurka.

— Wie pan — zaczyna kładąc zapalniczkę na blacie; Andrzej widzi teraz, że jest przerobiona na wielorazową. Jest nam często bardzo przykro, gdy mówi się o nas już nie „ubecja czy „esbeki”, ale po prostu „Gestapo”. Nie mają pojęcia, co mówią. Jesteśmy takimi samymi ludźmi, jak wy: mamy rodziny, dzieci, te same kłopoty... Tu nieraz siedzą różni, przepraszam za wyrażenie, gówniarze i albo nie chcą rozmawiać, albo obrzucają stekiem wyzwisk. Mogliby dostać zdrowo w skórę, ale człowiek nie chce łamać życia na progu.

Milknie, próbując zorientować się w efekcie. Andrzej, strzepując przez czas przedmowy niewidoczny popiół, zastanawia się, jak zareagować. „Jesteśmy takimi samymi urzędnikami... — pokpiwa sobie w myśli. — No, może tylko te specjalne uprawnienia do użycia broni”. Oficer czeka na niego, a teraz, obawiając się, by nawiązana łączność nie uległa zerwaniu, ciągnie dalej:

— Mieszkamy w tej samej ojczyźnie, prawda? — puszczają w ruch wielkie kwantyfikatory. — Różni ludzie są krajowi potrzebni, także o różnych poglądach. Pan wygląda na rozsądnego — przerywa znowu i patrzy baczny wzrokiem. — Takich ludzi... Wie pan, chciałbym coś zaproponować, małą transakcję — i znów wahanie. Czyżby przychodziło mu to z trudnością? — Możemy odpuścić całą tę sprawę, w końcu są to stare rzeczy, a pan w zamian zrobi coś dla nas. Zgoda? — wyrzuca na koniec jakby z ulgą; ma to nieźle przećwiczone.

Andrzej zagryza wargi: milczy. Ubek, nie chcąc dopuścić do dłuższej przerwy, mówi:

— Nie musi pan odpowiadać od razu, mamy czas. Pan wie, że świat nie jest czarno-biały i że tacy jak my są niezbędni. Pan jest po filozofii, prawda? Filozofowie są nam potrzebni.

— A nie ci od prac ręcznych — wyrzuca i zaraz żałuje. Kusiciel jest zdezorientowany.

— Może jest i szaro — dodaje szybko Andrzej, choć dobrze wie, że niejedną się tu przed nim wymądrzał, trzeba jednak zatrzeć niepotrzebny wyskok. — Może jest i szaro, ale za wybory odpowiadamy sami. — Kręci głową. — Dzięki za zaufanie, ale nie.

Milknie, patrząc jak tamten bawi się niedopałkiem; ma minę prestidigitatora, który nie wyciągnął jeszcze wszystkich kart. Zar papierosa dotyka zapalki i siarka wybucha gwałtownym płomieniem; stary podnosi popielniczkę i zdmuchuje z blatu rozpylony popiół.

— Wie pan — przerywa zabawę. — Moglibyśmy, sędzę, bardzo panu pomóc: talenty należy chronić, stwarzać warunki... W ostatecznym rachunku liczy się tylko dzieło, prawda?

— To przedwojenna koncepcja, nieaktualna — Andrzej pozwala sobie na lekki uśmiech. — Teraz jest odwrotnie... Nie, proszę pana, ta propozycja mnie nie interesuje. — Poważnieje.

— Noo — stary pochyła się do przodu i opiera o biurko ostre łokcie. Niech się pan zastanowi, ma pan w rękę swój los. Może pan mieć życie, na jakie zasługuje.

Andrzej nie odpowiada.

— Porozmawiajmy inaczej — obraca się w krześle szukając dogodniejszej pozycji startowej. — Pewnie, że pieniądze to nie wszystko...

— Wie pan, co dzisiaj warte — żartuje Andrzej z niespodziewanego petenta.

— No właśnie. Spróbujmy spojrzeć z innej strony — dialektyzuje. — Zna pan tych ludzi i wie, że większość z nich to miernoty, przeciętność. Oczywiście — poprawia — trafiają się, tak jak wszędzie, ale... Co pan będzie poświęcał dla nich czas — i tak dwa lata zmarnowane — a oni nigdy nie zrozumieją, o co właściwie chodzi. Przecież pan nimi w głębi ducha gardzi: to glina, z której nic się nie ulepi. Niech sobie trochę pokrzyczą, mają złudzenia... Lżej będzie tyrać, do tego tylko się nadają. Pół litra na łeb i macanki — oto pełnia marzeń. To brud tego świata, łajno — zawsze było i będzie. I pan wie, że nic nie zmieni. Prometeusz? Ofiarnik? Solidarność? — wykrzywia ironicznie usta. — Z kim solidarność? To hasła dla maluczkich. Debilna hołota płodzona po wódzie, pan dobrze wie. Bat i kielbasa — oto czego im trzeba. A pan marnuje najlepsze lata — dla kogo? Poważne zadania na dziś są całkiem inne... Stworzyć nowego człowieka, giganta, wprawić świat w zupełnie nowy ruch, zadbać o przyszłość — to są zagadnienia generalne, o które warto się bić. I nie będziemy czekać na żadne zmartwychwstanie... Pan wie, że w niektórych językach w ogóle nie ma kategorii,

za które wy tutaj gotowicie zginąć? Są sprawy tego warte, ale ich nie robi się z ludem! Myślę, że po cichu pan się ze mną zgadza, tylko nie chce się tu przyznać. Jestem święcie przykonany, że wy i my, że tacy jak pan i ja, mamy w gruncie rzeczy bardzo podobne cele...

— No, niezupełnie — nie wytrzymuje Andrzej. — Wasze są okratowane.

Oficer przerywa przemówienie, patrzy na kpiarza, a potem najspokojniej w świecie wystukuje z paczki kolejnego „kluboro”. Andrzej wyciera o spodnie spocone ręce.

— Przepraszam — reflektuje się rudy. — Zapali pan? — Andrzej kręci głową, więc inkwizytor obsługuje sam siebie, a potem ciągnie dalej: — Opozycja... To dobre na wejście, ale na dłuższą metę skarła i oślepia. Czy pan nie zauważył, że żyje w ciągłym skurczu? To wam świat robi się czarno-biały, wy we wszystkim widzicie diabła, oczywiście czerwonego, wy demonizujecie i upraszczacie. Biedni idealści: potrzebują wroga!... Jest pan wielce rozczarowany, bo wokół same klęski, bo nic nie można, ale tak naprawdę to jesteście zadowoleni: nasze istnienie nadaje wam sens. Bez nas byłibyście nikim, skazani na nudną egzystencję bez poświęceń. A poza tym cóż za rozbijająca naiwność, błędne założenia od początku... Bezsilne oferty skamłace, że dwóch czy trzech zabito! Zapomnieli — a może nigdy do nich nie dotarło — że to jest czymś normalnym, a spokój i szczęśliwość luksusem. Luksusem niewybaczalnym, gdy przesuwają się go w założenia, bo przecież trafia się od przypadku do przypadku. „Świat jest okrutny...” — mówią. Też mi odkrycie! Zawsze takim był. Ziemia... Żyjemy na cmentarzu depcząc miliony czaszek — czy pan sobie wyobraża tych wszystkich poległych, od Abła zaczynając? To idzie w miliardy! Wojny, zarazy, ludzie ginący z głodu czy topora, pławieni, paleni na stosie... Więzienia od chwili powstania ani przez moment nie były psute. To jest prawdziwy obraz ludzkości, a nie ta wasza czysta twarz! Trzeba zmienić perspektywę, przyjmować to zwyczajnie, to i odporność się zwiększy, i nie będzie tylu tragedii... których po cichu chcecie.

Sięga po szklanekę i przechyla ją, czekając, aż resztki kawy oddzielią się od fusów. Siorbie jednym łykiem, przygląda się trzymanemu w ręku naczyniu, odstawia je na spodek i mówi dalej ze wzrokiem utkwionym w szklanekę jak w czarodziejską kulę.

— To, co pan robi, nie jest wcale tym, co trzeba. To jest zagłuszanie się, narkotyk, tylko pozornie inny niż woda. Pan też, że się tak wyrażę, łązi we dwóch... Wszystko co robicie — ale i dom, i praca, i dzieci — wszystko to nie tak. Przecież was tam naprawdę nie ma — i tu też nie ma was do końca. Robol, gdy się zaleje, to przynajmniej wie, że żyje — wszystko klei się no... w całość. A wy nawet nie pijecie — czyścioszki!...

„No, no — myśli Andrzej. — Nieźle się obstukał. Czytał pewnie 'Nowe Ateny'... Czynownik wyższego sortu”.

— Minie parę miesięcy — wraca do monologu — i pan nie będzie już w stanie odreagować swoich zahamowań. Coś się zamknie, o tu — puka palcem w skroń — i już się nie otworzy. To tak, jakby się przestało odczuwać zapachy czy przełączyło z koloru na zwykły; nie będzie wrażliwości, innego spojrzenia, zmian. Widzi się wtedy tylko to, co się chce: resentymenty i złość. Tak, starość, ale przedwczesna, niekonieczna, za którą winę ponosi pan sam. Że tak kurczowy, ślepy, w jednym kierunku — jak katarynka. Wszystko się uprości, zredukuje do kilku przyczyn, z których na koniec zostaną jedna czy dwie. I zamkniesz pan jakimś snem wariata czy innym „horrible”, po którym nie chce się już nic, tylko czym prędzej zwinąć maneł.

Te wasze gazetki i książki... Klawisze, przesłuchania, więzienna egzotyka! Naiwniacy. A ich język, przecież pan się na tym zna, jak wycięty z „Trybuny...” — tyle, że fatamorgana inna. Ale i błędy taktyczne: trzymacie się jednej idei i jednego modelu działania. Klęska jako program... Drogi panie, to już minęło i trzeba inaczej. „Solidarność” blokuje wam — i będzie pewnie przez długie lata — myślenie normalne. Jesteście zaszpunktowani i już niegroźni.

Tak, drogi panie. Przyjąć brud i walczyć, ale po męsku, a nie poszczypując. Wziąć we własne ręce, łącznie z odpowiedzialnością, a nie obrażać się i boczyć. Pyskować w gadzinówkach, to potraficie, o tak!...

Zamilkł patrząc w bok i zaczyna postukiwać palcami o blat, jak gdyby dopisywał pokrywający resztę wielokropkę. Zalega milczenie: czeka widocznie na spowiedź dziecięcia wieku, ale Andrzej nie kwapi się z odpowiedzią. Mija jeszcze kilka chwil i stary — korzystając z tego, że Andrzej się poruszył — przenosi na niego wyblakły wzrok. Wzdycha, jakby wypuszczał z siebie powietrze.

— Myślisz, że ja nie widzę co się dzieje? Że nie ma mnie na dworcach, po knajpach, że nie przechodzę nocami obok popuchniętych, którzy włączają się przez place i drogi? Zajrzyj do pierwszego z brzegu komisariatu czy na melinę, posiedź sobie z jakąś kurwą czy siniakiem na autovidolu — wtedy zmienisz perspektywę! Dużo więcej cenię tych, którzy coś przekształcają, pozostawiają jakiś ślad...

— Myśli też są rzeczami, proszę pana — wtrąca Andrzej. Tamten jednak jakby nie słyszał: rozsmakował się w dawkowanych bodźcach aż do rozimponowania.

Znów wypuszcza westchnienie, o stopień niżej, dodając do tego nerwowy ruch długich palców i mówi już ze spokojem:

— Nie spodziewam się odpowiedzi, ta w waszych gazetkach się nie mieści, może pan sobie darować. Pan jesteście krukami karmiony, ale my też coś tam czytamy.

Andrzej zaplata dłonie między kolanami i pochyla głowę. Mimo wszystko stary wzbudził w nim podziw: „Toż to prawdziwy agent uniwersalny...” — myśli.

— Doceniam pańską szczerłość, jednak pan się pomylił z adresatem; myślę o tym podobnie jak pan.

Oficer zastyga na sekundę — tylko oczy omiatają Andrzeja krótkim, gniewnym spojrzeniem. Opanowuje się szybko, jakby przełknął rutynową witaminę.

— Chcecie się nadal upierać?

— Nie upieram się; to prawda. Wie pan, że były psy, u których w żaden sposób nie udało się wykształcić odruchu warunkowego?

Zalega cisza. Siedzą w podobnych pozach po dwóch stronach biurka, każdy w swojej, hermetycznej jak twierdza roli, mija jeszcze kilka chwil, jakby zapadli w odrętwienie i nawzajem o sobie zapomnieli. Przerywa je niespodziane otwarcie drzwi; staje w nich, znów tak dokładnie jakby wszystko słyszał, ten w dżinsowych spodniach. W rękę trzyma dwie paczki papierosów.

— Ta panienska więcej na plotkach niż pracuje — rzuca ze sztuczną swobodą tytułem wyjaśnienia. Stary nie reaguje.

— No, panowie — próbuje zażartować Andrzej. — Myślałem, że choć w jednej firmie jest jaki taki porządek... — urywa.

— To co, możesz protokołować?

Adept siada na krześle i bierze długopis. Szef przerzuca dotychczas zapisane kartki.

— Zeznaliście, że współpracujecie z Lipcem. A ten drugi jak się nazywa?

— Nie: mówiłem, że dał mi książki.

— Dostyc żartów; jak się nazywa?

— Nie znam go.

Czuje, że dopiero teraz zacznie się szarpanina. Jest zmęczony. Nie tym, co ma za sobą, lecz seriami czekających go pytań. Na oślepię, bezsensownych, próbujących wmówić mu coś, z czym nigdy nie miał nic wspólnego. Wyjaśnienia i zaprzeczenia, płatanina odpowiedzi, imitacje i czza gadanina posypią się jak grad; już teraz słyszy ich puste dudnienie o wypukłość czaszki. Powinien nadal milczeć; to był błąd.

— Dobrze wiemy, że macie system trójkowy...

— Akowski — dorzuca uczeń z uśmiechem wtajemniczonego.

— Odbiorca jest waszym drugim, tak? — kończy stary.

— Używa pseudonimu?

— Nie wiem, czego używa, nie widziałem go na oczy. „Muszę wyglądać na niezwykle zaciekły egzemplarz paranoika...”.

— Te bajki zachowajcie dla siebie! Dawno robicie w opozycji? — I jeszcze raz zmieniając przerwutkę: — Posiedźcie na dole, to zaraz zaczniecie śpiewać.

Andrzej milczy. Musi odczekać, aż gniew tamtych rozplynie się w powietrzu: wtedy wjedzie z odpowiedzią.

— Naprawdę nie znam. To wszystko, co tu słyszę — dodaje bezczelnie — to dla mnie czarna magia.

— Naprawdę? — zaciekawia się inkwizytor. — No to wiedzcie, że i na was znajdzie się protokół. Cuda się zdarzają...

— Wtedy nie podpiszę.

— To się okaże.

Patowa sytuacja: jeśli ktoś może się cofnąć, to tylko oni. Jednak tamci czekają. Oficer zakłada ręce na piersi i odchyła się w tył. Wreszcie próbuje z innej strony:

— Macie bodaj córeczkę, nie? Nie chcecie chyba, by się jej coś przytrafiło?

Spuszcza wzrok.

— Pan też ma dzieci, prawda? — przychodzi mu nagle do głowy. — No i żyjemy w tym samym kraju... a nawet mieście, nie?

Ubek patrzy zaskoczony, młody też otworzył usta; wi-

docznie nigdy nie pomyśleli o takiej ewentualności. Andrzej zdaje sobie sprawę, że defensywa była błędem.

Musieli ujrzeć w wyobraźni swoje własne dzieci, bo stary, zaniepokojony, czym prędzej zmienia temat. Jest jak trener, który z braku innego konceptu wypuszcza obsadę zastępczą.

— Zaraz tu przyprowadzą Lipca, wtedy zobaczymy...

— Gdzie on pracuje? — włącza pomocnik swój *pressing*. „Tak, to znajoma twarz; w czasie studiów wpuszczał na dyskoteki...”

— Nigdzie nie pracuje — odpowiada. Jest zdecydowany zakończyć już tę ciuciubabkę. Przeciwwstawienie sprytu sprytowi przestaje go bawić; chce spotkać się z nimi twarzą w twarz, choć wie, że tamte zawsze pozostaną zakryte.

— A to jeszcze lepiej — pasożyt! Niebieski ptaszek! No, to dostanie z kilku paragrafów jednocześnie — i rozsada się w krzesła, jakby już ferował wyrok.

— Nie pracuje — odpowiada już spokojny i gotowy. — Bo półtora miesiąca temu musiał wyjechać do Australii.

— Co takiego?! — stary podrywa się z miejsca. — Kpiny sobie urządzasz?! To coście tu pieprzyli, co?! Gorzko pożałujesz, gówniarzu!...

— Nic nie mówiłem, może pan sprawdzić — mówi obojętnie i z rezygnacją. — Nie pytał pan.

— Kpiny! — krzyczy. — W żywe oczy kpiny! Słyszałeś? — zwraca się do ucznia. — A to ci kombinator, no! Spryciarz od siedmiu boleści! Ale nie ze mną takie sztuczki, o nie! Grubo się pomyliłeś! Gru-bo — dodaje z naciskiem.

Sięga po papierosa, zapala, wstaje i odwraca się do okna. Andrzej dopiero teraz spostrzega, że utyka na jedną nogę; pewnie dlatego cały czas nie wstawał. Tkwi tak przez chwilę patrząc przez okratowane okno na szare plecy kamienic, a teraz — odwróciwszy głowę — mówi do młodego:

— Odprowadzić zatrzymanego do celi.

Zwalił się na pryczę i zasnął jak kamień. Obudziło go szarpanie za ramię — dopiero po chwili dotarł czyjś, wymawiający jego nazwisko i imię (tę kolejność uświadomił sobie z całkowitą ostrością) głos. Światło żarówki kłuło wzrok, jakieś cienie poruszały się po celi.

Przetarłszy oczy spuszcza nogi na beton. W małym okienku pod sufitem panuje ciemność, noc jeszcze się nie skończyła. Czuje się przepalony i zmięty jak po niezłej liba-



cji; chciałby się chociaż umyć, o kompociku z agrestu nie ma nawet mowy, ale tamten głos znowu zaczyna przynaglania:

— No szybciej, zbierajcie się! To nie sanatorium!

Patrzy dokładniej w stronę natręta: jest sam, wyolbrzymiony przez światło i załamane na kątach celi cienie. Brunatno-brudny mundur zwiększa jeszcze wrażenie mroku; zomowiec wielki jak Boruta. Następne szarpnięcie, tym razem bolesne, uświadamia mu, że nie ma do czynienia ze zjawą.

— Prędzej, nikt nie będzie godzinami czekał!

„Idź do diabła!... — myśli Andrzej obudzonym zakątkiem mózgu. — Nie śpią nawet w nocy. Ale harpagon, no — brakuje mu tylko wideł...”

Wychodzą z celi, nie idą jednak znaną mu drogą; po kilku krokach korytarz skręca w lewo, za zakrętem są schodki, potem znów w lewo i drugimi schodkami w górę. Rozespany liczy machinalnie piętra; na trzecim skręcają za narożnik i zatrzymują się przed drzwiami windy. Niedźwiedziowaty przyciska guzik i wlepia wzrok w czerwone światelko: Andrzej chwytą się na tym, że gapi się tak samo — jakby stali na piętrze najnormalniejszego w świecie wieżowca.

Zjeżdżają w dół. Andrzej rozgląda się z ciekawością po nowych pomieszczeniach; korytarzyk przy wyjściu rozwidła się na trzy strony, oddzielony od miejsca w którym stoją masywną kratą. „Mam i swoje podziemie — myśli ironicznie. — Specjalnie dla wtajemniczonych, z węzłami i splotami wszelkiej maści...” Czujnie obojętny przewodnik podchodzi do środkowej z krat i dłubie przy zamku; rozsuwa ją i ruchem głowy wskazuje kierunek. Idą wąskim korytarzem, oświetlonym schowanymi za siatką (jakby i one siedziały za karę) żarówkami. Druty siatki tworzą na szarych boazeriach i niskim suficie rombówate, zniekształcone w rogach figury.

— Stój — mówi brunatny, otwiera jedno z drzwi i wpycha go do środka. Sam wchodzi także i przekręca klucz.

Podróż dobiega końca. Pokój jest jasno oświetlony, tak jasno, że Andrzej znowu musi zmrużyć oczy. Naprzeciwko, na tle pomalowanej państwowym kolorem ściany, stoi metalowa komoda, przy drugiej ze ścian szafa. Nie ma tu nikogo. Andrzej patrzy zdziwiony, ale obojętna twarz tamtego ani drgnie.

— Tędy — burknął olbrzym i kieruje się ku szafie. Andrzej patrzy z niedowierzaniem, ale tamten mija ją i skręca: pomieszczenie posiada jeszcze jedno, ukryte na pierwszy

rzut oka, zapomniane czy też kiedyś zamurowane drzwi — przemyślny system niewidocznych pokoi i salek. Boruta cofa się i wychyla zza rogu głowę:

— No, szybciej!

Krypta taka sama jak poprzednio, za biurkiem mężczyzna w średnim wieku, przy szafach trzech zomowców. Tworzą coś na kształt szpaleru, którym Andrzej, choć nie proszony, przechodzi w strachu aż do krzesła. Ze ściany uśmiecha się do niego panienska na motocyklu marki „yamaha”. Uświadamia sobie nagle, że mógłby — jak na filmach z Bondem — próbować na górze obezwładnić strażnika i starać się zbiec; tutaj, w jaskini, był już bez szans.

Stuknięcie drzwi: ogląda się i widzi, że konwojent opiera się o nie i splata ręce na piersi; Andrzejowi robi się gorąco.

— Siadajcie! — Ostry głos nowego, który nie ukrywa, że zauważył jego przestrach. Uśmiecha się błyskając z satysfakcją bazyliżkowatymi jak dwa węgielki oczyma. „Acha, wybitny przedstawiciel podgrupy ubeków...” — żartuje Andrzej przed sobą tak, jakby chciał wywołać z wyobraźni kogoś swobodniejszego, niż sam w tej chwili jest.

— Weź mu odciski — rozkazuje czarny najbliższej stojącemu starszakowi. „Ten to pewnie wzięty na ochotnika ormowiec — pokpiwa sobie dalej. — Jeśli wykupują, że masz pietra...”

— Branie odcisków bez zgody prokuratora jest bezprawiem.

— Nie pleć tu banialuków, dosyć wymądrzania! — Popycha w jego kierunku złączony spinaczem plik zeznań. — Zrobisz sam, czy siłą?

Andrzej chowa ręce za siebie. Spogląda twardo w stronę ubeka, choć w rzeczywistości czuje się tak, jakby miał się za chwilę rozpaść na kawałki.

— To jest bezprawie.

— A to nie bezprawie?! — Oficer rzuca na akta tomik Grudzińskiego. — Kto wam pozwolił drukować, co? Może sam autor?! — wyrzuca z siebie i urywa oburzony, jakby to jego prawa zostały naruszone.

— Nie mam z tym nic wspólnego — odpowiada ze spokojnym uporem; wie, że eksperyment zbliża się ku końcowi.

— Tak?! A ta kartka, to co?! — Ubek bierze do ręki byle jak spięty tomik i wyjąwszy ze środka mały świstek pa-

pieru zaczyna rozczytywać czarne hieroglify: — „Na jutro — sylabizuje. — Płótno dla W., farba z garażu, kupić taśmę, benzyna — pani S., Grudziński z drukarni — wieczór, „Przegląd Powszechny”, prezenty dla Ewy i Piotrka..” — to nie wasze?! Bierz odciski, nie mam się zamiaru cackać!

Nie zdąża nawet otworzyć ust: ornowiec wyszarpuje mu rękę i przyciska do biurka; trzymając jedną w przegubie chwyta drugą za kciuk, pakuje w czarny proszek i przykłada do kartki. Z istic diablą sprawnością wybiera pozostałe palce: komplet linii papilarnych pozostaje na kwestionariuszu. Andrzej jest zaskoczony, iż nie spostrzega, że mógłby się bronić drugą, wolną ręką.

— No i co? — chichoce tamten jak w rokinie. — Nadal będziesz się stawiał? — Wziąwszy kartkę przygląda się odciskom w świetle stojącej na biurku lampy. — Prima sort. A zgoda prokuratora będzie, nie martw się. — Cmokając ustami z zadowolenia odkłada druczek na plik zeznań i podsuwa białą kartkę.

— Pisz nazwiska tych, z którymi to robiłeś.

— Nic nie będę pisał, wszystko już powiedziałem.

— Znowu potrzebna pomoc? Pomóż mu — zwraca się do stojącego w pogotowiu olbrzyma, który od razu robi krok naprzód. W ostatniej chwili szef powstrzymuje go — jak dobrze dawkujący strach reżyser — ruchem ręki.

— Więc jak, piszesz?

— Nie.

— Nie!!! — Zrywa się z krzesła. — Będziesz tu robił hopsztosy?! Pisz, bo cię, kurwa, posiekam na kawałki!

Szybkie spojrzenie w kierunku pozostałych, potem jakiś elektryczny trzask i gorący ból od ucha na całą głowę; rozkraczone nogi biurka na poziomie twarzy i czyjaś zasmolona dłoń. „Nie, to twoje... Podnosić się? Lepiej poleż”. Skurczony czeka na dalsze wstrząsy.

— Będziesz pisał, czy nie? — słyszy głos z wysokości.

Przekręca głowę na nie bolące ucho: twarze już rozgrzane, złe złością ułatwiającą uderzenie, jednakże na dany przez tamtego znak cofają się jak wytresowani. Andrzej wstaje i machinalnie otrzepuje ubranie.

— No więc? — przynagła mistrz ceremonii. — Starczy? Czy znów chcesz potańcować?

W odpowiedzi wlepia wzrok w sufit: w rogu czernieje jakiś otwór — to kratka wywietrznika. Ucho piecze jak opa-

rzone, drobne dotknięcia palców zdają się być uderzeniami młota. Cofa rękę szybciej, niż ją podniósł.

— Zależę ci sadła, że popamiętasz — straszy tamten. — Tu masz kartkę.

— Nie ma nic do dodania.

Znów jest na podłodze; chłód płytek studzi twarz. Stracił na chwilę przytomność? To było czarne jak skrzydło kruka. „Tam dalej to chyba brzeg szafy? — pyta sam siebie z niezrozumiałą ciekawością. — Pewnie przesuwali...”

— Nic mu nie będzie, nabierze szacunku dla władzy — bagatelizuje któryś z pozostających na żołdzie najemnika pragmatyków. — Na takich to najlepszy sposób — dodaje ze znawstwem. — Podnieś go.

— Jeszcze lula.

— Nie, podnieś.

Czyjeś silne jak kleszcze ręce chwytają go pod pachy.

— Łysiejesz durniu, a jeszcze nie zmądrzał.

— Daj mu spokój — przerywa mu ten zza biurka. — Słuchaj, po coś przedwczoraj laźł na Kochanowskiego?

„To już po tobie... — Ciało zaczepione o krawędź krzesła kurczy się jeszcze bardziej. — Mają Karola”.

— Mogliśmy cię zwinąć już tam. A może to sobowtór? — pokpiwa ze swobodą, przez którą, mimo ciągłych prób panowania nad manierami, upodobnił się do podwładnych.

— Całą środę siedziałem w domu.

— Tak? Widziałeś go?

— Ten. Na pewno.

Andrzej obróciwszy się na krześle patrzy na swego anioła-stróża z nieukrywaną ciekawością; ma wiecznie przybrudzoną twarz stojącego przy tokarce robota. „Mógłby być na plakacie” — próbuje raz jeszcze podnieść się na duchu pierwszym z brzegu dowcipem.

— Nie znam pana — odzywa się słysząc, że niechący brzmi to jak stanowczy, dany chamowi przez arystokratę odpór. Trochę go to przeraża, jednak za późno się wycofywać.

— Już się przedstawiam! — Przybliży się tamten ze ścietym agresją wzrokiem. — Co, zaniósłeś teksty?

— „Teksty”? Pan się myli.

— A ty sukinyń! —

Ciosy na kabląk pleców; szybko dołączają i pozostali. Andrzej zatacza się, wykonuje coś na wzór spiralnego tańca i zwinięty jak embrion kłęczy już na błyszczących czystością i

odbitym światłem płytkach. Pokornie czeka na ciąg dalszy, nie widząc, że dobrze ćwiczona asysta odsunęła się teraz pod ścianę. „Przestali grzać? — dziwi się w nim ten drugi. — Tak krótko?”

— Wstawaj kutasie.

Podnosi się do siadu i obejmuje rękami kolana. Pokój kręci się jak w kalejdoskopie; puszczony nagle w ruch równie nagle zastyga. Andrzej próbuje ruszyć nogami — są ciężkie jak stępory. Płacze się na podłodze czując, że coś jest z nim nie tak.

— Fuj, ale śmierdzi! Zesrał się, kurwa!...

— Co ty? Och, rzeczywiście! Otwórz drzwi, ależ fetor.. Tego jeszcze nie było! Sra jak zerwany koń! Wstawaj, smrodziarzu, słyszysz?

Kłęcząc i oparty na rękach toczy dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Ciemne, człekokształtne sylwetki (nie jest w stanie rozpoznać nawet tego, który go tu przyprowadził) poruszają się po grocie w zwolnionym tempie dobrze naoliwionych robotów. Zdaje mu się, że gdzieś daleko trzaskają drzwi windy, a echo roznosi ten dźwięk do najdalszych — mrocznych teraz i opuszczonych — zakamarków i korytarzy.

— Weź go pod ścianę — słyszy daleki, niczym zza kilku szyb, głos. Oparcie, tak, oprzeć się choć na chwilę: ściana wydaje się obła jak zeppelin. — Sieknij go w łeb, zaraz się zmieni — doradza jeden drugiemu. — Nooo — zwraca się chyba do Andrzeja — trzymaj poziom, o taak, aniołku, my też znamy się na sztukach...

Przysunąwszy się bliżej i patrząc Andrzejowi w oczy wsuwa stopę między jego nogi.

— Padnij!

Podcięty zwała się na posadzkę, tamten zdąży odskoczyć. Czółga się teraz kawałek i zastyga z rezygnacją; wbija bezmyślny wzrok w czarną szparę między płytkami.

— Ładnie padał, nie? — dolatuje go głos kogoś z androidów. — Ma wprawę. No, dalejże, tak łatwo się dajesz? Zobacz jak się nadyma, zaraz się przestraszę...

— Czekaj, może skruszał. No, jak tam — ugotowany?

— ...

— Odpowiadaj, jak pan pyta!

Chce ruszyć szczękami, ale nie może: mięśnie jarzmowe trzyma skurcz. Spogląda w stronę spowitego kłębami dymu oficera próbując mu pokazać, co się stało, ale tamten wydaje

mu się jakiś dziwnie nieobecny i lekki, rzekłbyś nieosiągalny; w dodatku zaczyna mu nagle pachnieć ziołami...

„Co oni robią — czyżby nowa sztuczka? Usta ruszają się same... A tam w rogu? Ona... ona też tu? To drogo... Głowa, głowa, osłoń! Wypłuj z ust ten smar!...

Pada. Pałki zatrzymują się w połowie zamachu, wszyscy stają jak zdziwieni, ale któryś z nich podskakuje już do leżącego i kopie jako pierwszy.

„Kurwa, ale boli!...” — myśli ktoś za niego raz jeszcze, ale czarna jak rozpacz szpara poszerza się już i jasność poraża go w oczy.

1984



ACHEVÉ D'IMPRIMER  
LE 21 MAI 1990  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE NOUVELLE  
16-24, RUE SOUBISE,  
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 2<sup>e</sup> trim. 1990

N° d'imprimeur 2746

---

Photocomposition : AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris

*Imprimé en France*



